



35825

✿ LEO BELMONT. ✿

# SPRAWA

## przy drzwiach zamkniętych.

Zagadka psychologiczna

na tle procesu kryminalnego.

Z PORTRETEM AUTORA.



NAKŁADEM AUTORA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI Powszechnej

Warszawa, Marszałkowska 139.

Rok 1910.



We wszystkich księgarniach do nabycia:

# SOCJALIZM i SPRAWIEDLIWOŚĆ

LEO BELMONTA.

Rozdziały: 1. Zagadnienie wartości. 2. Prawa podaży i popytu. 3. Praca a czas. 4. Konstrukcja nadwartości. 5. Ewolucja wymiany. 6. Założenia kapitału. 7. Na szlakach myśli Marksa. 8. Prawa moralne w gospodarstwie społecznym.

Skład Główny u Gebethnera i Wolffa.

Cena Rb. 1.50.

## TRZY ODCZYTY

LEO BELMONTA.

I. Tłum jak myśli, czuje i działa. (Psychologia tłum. Żywe słowo a tłum. Tłum na naszych wiecach politycznych. Tłum współczesny. Zbrodnie tłumów).

II. Burzycielski i twórczy pierwiastek w rewolucjach. (Oświecenie deklaracji praw. Obraz syntetyczny wielkiej Rewolucji francuskiej).

III. Walczące idee siły i namiętności czasów zamierzcztych i chwili bieżącej (Ideały religijne i narodowe. Idee polityczne. Spory partyjne).

Skład Główny w Księgarni Powszechnej.

Cena Rub. 1.

Dla abonujących „Wolne Słowo” — z ceny „Socjalizmu” i „3 odczytów” w Administracji zniżka 20% (na obu książkach).

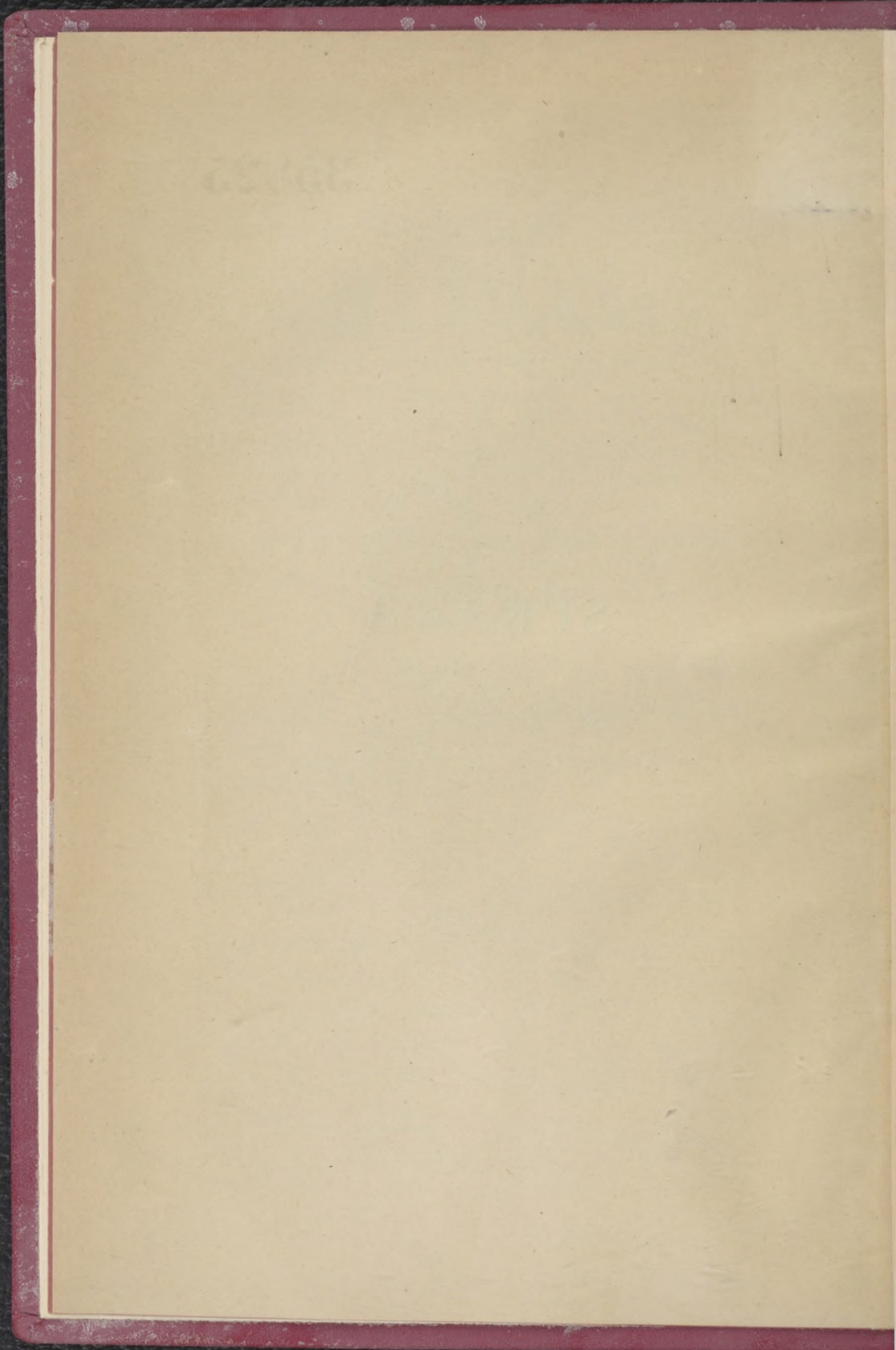
## Niektóre prace Leo Belmonta we wszystkich księgarniach.

W wieku nerwowym. Powieść w Adm. W. Sł. kop. 80. Rymy i Rymy, 3 tomy w Adm. W. Sł. rb. 2. Lew Tołstoj — Życie i dzieła. Tamten człowiek. Dla honoru, dramat. Zarys nauki handlu (u Arcta) kop. 60. Nowele i satyry, kop. 80. Polska nad przepaścią. Scena, k. 60. Różne pisma, k. 25. Najłatwiejsza metoda języka Esperanto (wierszem) kop. 15. Sonoj esperantaj kop. 60. Judasz z Karjothu i inni—Andrejewa, kop. 60. Romantyczni—Rostanda. Eugeniusz Oniegin — Puszkina Rb. 1. Filozofja pieniądza — Simmla. Jama—Kupryna.



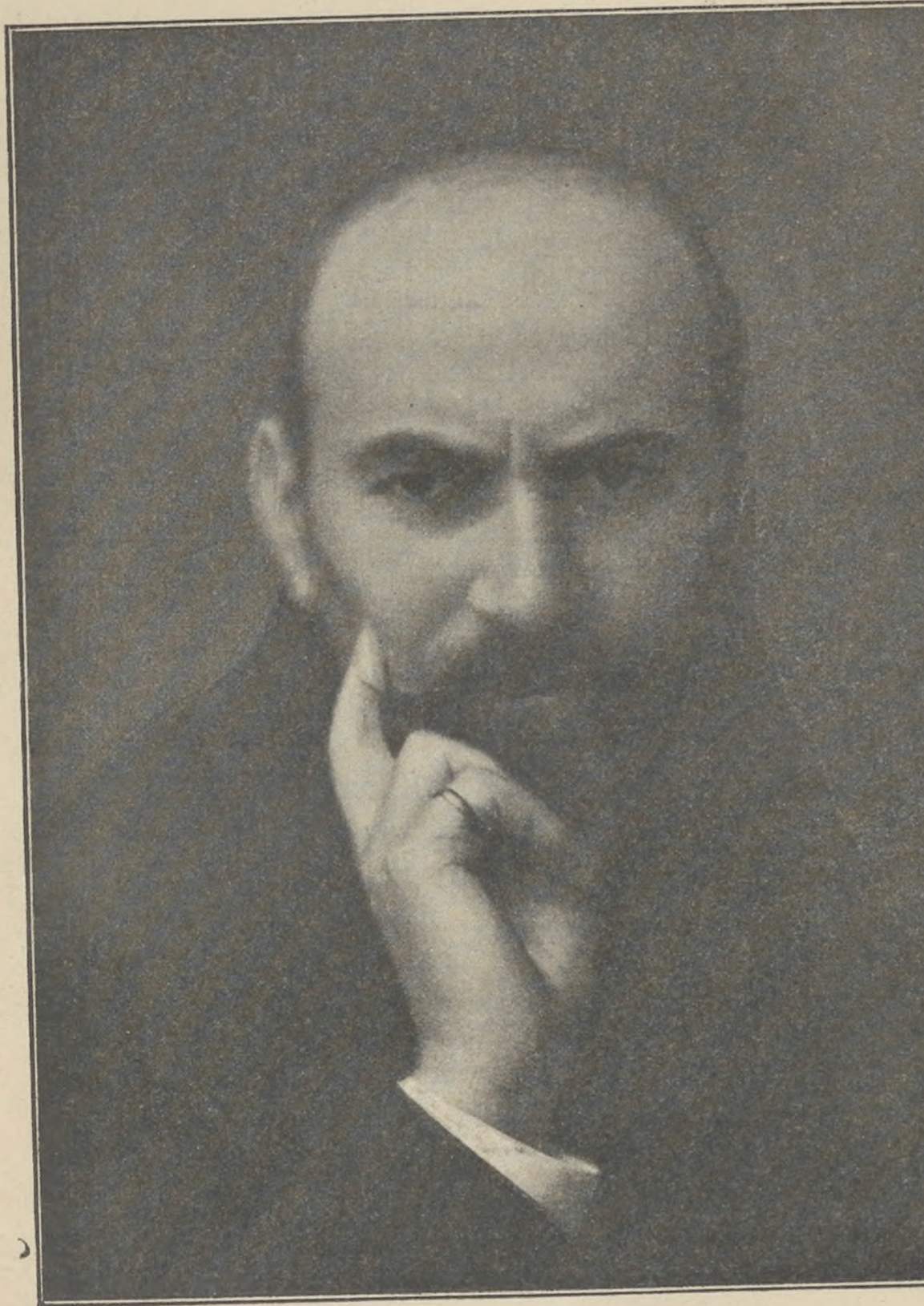
35825

SPRAWA.





BIBLIOTEKA  
37  
NARODOWA



P. B. I. +

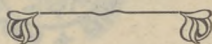


Leo Belmont.

SPRAWA  
przy drzwiach zamkniętych.

ZAGADKA PSYCHOLOGICZNA

NA TLE PROCESU KRYMINALNEGO.



Z PORTRETEM AUTORA.



NAKŁADEM AUTORA.

Skład Główny w Księgarni Powszechnej

Warszawa, Marszałkowska 139.

Rok 1910.

~~35825~~

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017207247



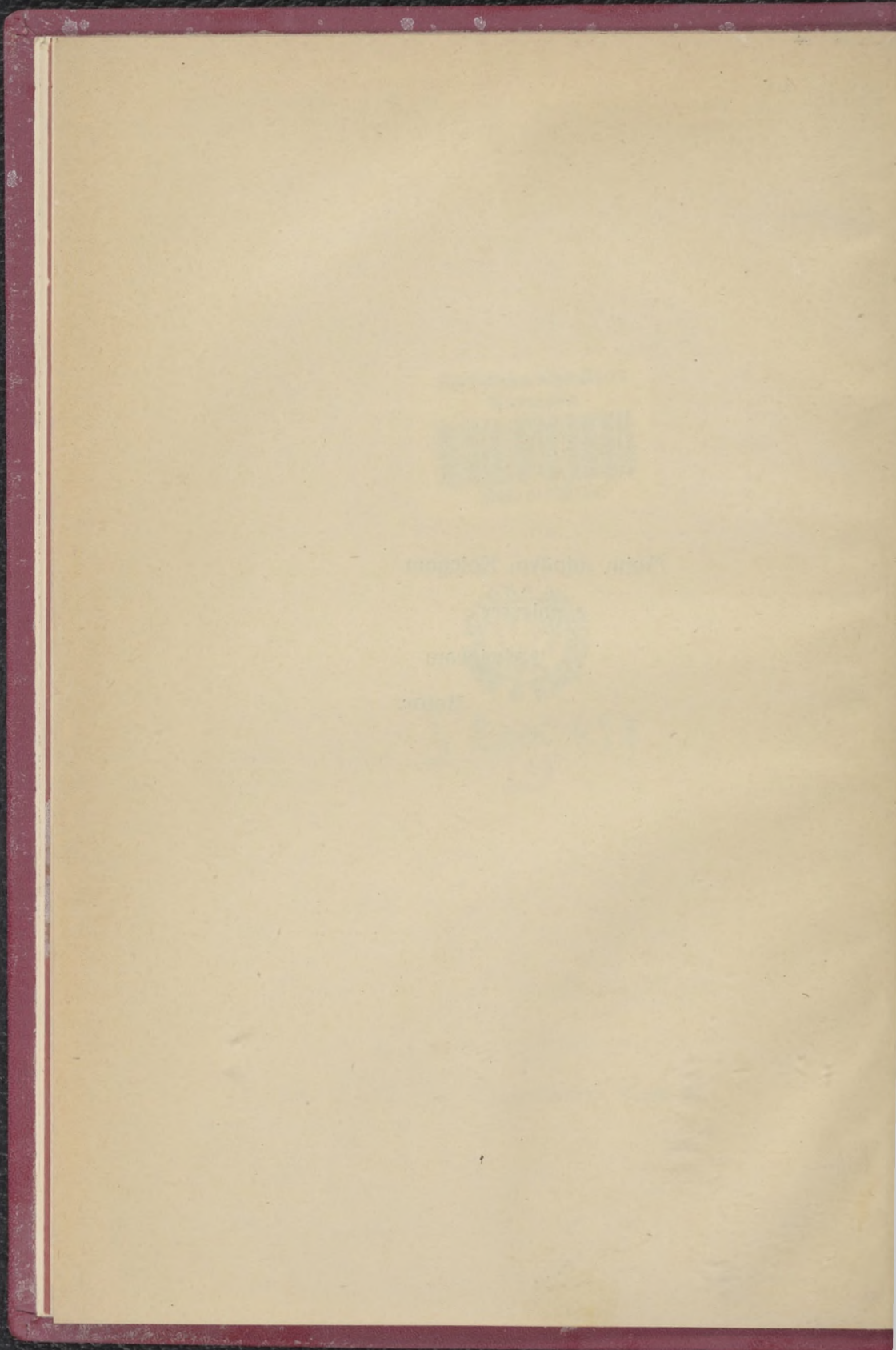
4 2,000.651  
A

Druk Kaniewskiego i Waclawowicza, Zielna 20.



Moim młodym Kolegom  
z palestry  
poświęcam

Autor.





# SPIS RZECZY.

## CZĘŚĆ I.

### Śledztwo sądowe.

#### Pierwszy dzień procesu.

	Str.
1. Dziecko . . . . .	1
2. Matka . . . . .	7
3. Ojciec . . . . .	11
4. „Biała broda“ . . . . .	18
5. Cukierki . . . . .	21
6. Laska . . . . .	30
7. Świadection przełożonego . . . . .	33
8. Doktor . . . . .	39
9. Serdeczny przyjaciel . . . . .	46
10. Jeszcze o przeszłość . . . . .	55

#### Drugi dzień procesu.

11. Tak wyglądał . . . . .	64
12. O godzinie piątej . . . . .	71
13. Pocziwy subjekt . . . . .	74
14. Książ . . . . .	79
15. Rachunek czasu . . . . .	82
16. Za prędką jazda . . . . .	85
17. Porucznikowi zdawało się . . . . .	87
18. Szwajcar ministerstwa . . . . .	92
19. Naczelnik więzienia . . . . .	94
20. Spotkanie na schodach . . . . .	98
21. Zapłakane oczy . . . . .	105
22. Przez telefon . . . . .	108

23.	Żegnaj, Masza! . . . . .	111
24.	W szyneczku na rogu . . . . .	115
25.	Widmo złodzieja . . . . .	119
26.	Prostytutka . . . . .	123
27.	Ta dziewczyna myli się . . . . .	128
28.	Francuzka . . . . .	131
29.	Żona . . . . .	136
30.	Świadek, który zgadza się na wszystko . . . . .	139
31.	Tajemnica adwokacka . . . . .	141
32.	Sprawca nieodnaleziony . . . . .	144
33.	Czerwone podwiązki . . . . .	147
	Plan sytuacyjny . . . . .	154

## C Z Ę Ś Ć II.

### Rozprawy sądowe.

#### Trzeci dzień procesu.

1.	Mowa prokuratora . . . . .	157
2.	Mowa adwokata . . . . .	181
3.	Mowa prezesa . . . . .	233
	Zakończenie . . . . .	263



## Pierwszy dzień śledztwa sądowego.

### 1. DZIECKO.

Prowadzone przez woźnego sądowego za rączkę dziecię włożyło paluszek w usta i z niepoko-  
jem i zdziwieniem rozglądało się po sali. Błede  
usteczka krzywiło już do płaczu, lecz do wybuchu,  
zda się, nie miało odwagi, znalazłszy się naraz w obli-  
czu tylu obcych panów. A może lęk przeważały  
uczucia zdumienia wobec tylu nowych wrażeń i za-  
chwytu z powodu mnóstwa kolorowych i błyszczą-  
cych rzeczy.

Pozostawione w pośrodku sali dziecię zale-  
dnie czuło, jak „prystaw“ puścił jego rączkę; nie  
widziało, z jakim zaciekawieniem zwróciły się na  
nie spojrzenia ze wszystkich stron—wodziło oczy-  
ma po pozłotach żyrandolu, po zielonem suknie  
stołu, po czerwonych dywanach estrady sędziow-  
skiej, po barwnym portrecie w ramie złoconej, zaj-  
mującym całą wysokość ściany pośród dwóch wiel-  
kich okien, skąpanych w słońcu wiosennego ranka.

W sali przez chwilę panowała wyczekująca  
cisza.

— Jak się nazywasz malutka? — zapytał pre-  
zes, pochylając się nad stołem i nadając głosowi  
swemu wyraz możliwie największej słodyczy.



Dziecię zadygotało, rączkami jęło przebierać szybko i niezgrabnie po czerwonej w białe kropki sukieneczynie perkalowej i wyszeptać:

— Mama... Mam—ma...

Obejrzało się z zakłopotaniem i trwogą.

— Nie bój się, maleńka — uspokajał prezes — mama zaraz przyjdzie. Mama poszła kupić ciastka. Lubisz ciasteczka?..

Dziecko spojrzało na prezesa tym razem ufniej i uśmiechając się, trochę zawstydzone, rzekło:

— Lubię...

— Jak się nazywasz, kochanie? — powtórzył prezes, pewny, że zdobył już zaufanie dziecka.

— Mama tam... — odpowiedziało dziecę, pokazując palcem za siebie. Ja chcę do mamy...

— Mama tu *zaraz* przyjdzie — powiedział prezes. Jak się nazywasz?

— Zaraz? — spytało dziecko.

Za stołem sędziowskim i na ławach przysięgłych powstał lekki śmiech.

— Trudno z nią będzie się dogadać — zauważył młody adwokat na głos i twarz jego zablęsnęła wyrazem zadowolenia.

— O, to nie jest świadek niebezpieczny — dodał szeptem, jakby mimowoli, współobróciwszy się ku ławom przysięgłych.

Prezes raz jeszcze podjął próbę:

— Dostaniesz ładne jabłuszko, ale trzeba powiedzieć, jak się nazywasz:

— *Mania* — odpowiedziało dziecko — a jabłuszko gdzie?

Przysięgli zakolysali się od śmiechu. Roześmieli się i słuchacze, których wpuszczono do sali



w skąpej ilości, przeważnie za pozwoleniami imiennymi i głównie z osób personelu sądowego i obrończego (sprawa słuchała się przy drzwiach zamkniętych). Młody pomocnik adwokata przysięgłego, obrośnięty czarnym włosiem, z twarzą typu ormiańskiego, śmiał się tak głośno i długo, że prezes dla ocalenia powagi sali sądowej, ujął dzwonek i mocno zadzwonił.

— Można Mani dzwonek? — spytało dziecko, zapominając naraz zupełnie o trwodze w atmosferze jawnego ciepła i wesołości.

Nowy wybuch śmiechu.

— Można — odrzekł prezes — Mania dostanie dzwonek, ale Mania musi wprzód odpowiedzieć, o co spytają.

— A o co spytają? — zapytało dziecko ciekawie.

— Ile lat ma teraz mała? — spytał, podnosząc się, jeden z sędziów przysięgłych.

Prezes odpowiedział:

— Akt oskarżenia, jak słyszeliście panowie, podaje datę przestępstwa na dzień *13 lipca*, kiedy mała miała lat sześć i dwa miesiące... nieskończone... Zatem obecnie... po dziesięciu miesiącach... ma lat prawie siedem. Zresztą odczytamy później metrykę, dla określenia wieku z całą pewnością...

— Zdaje mi się, że jest mała na swój wiek rozwinięta — mówił przysięgły, były tenor opery, głosem nieco śpiewającym. Zapewnie ten wypadek zatrzymał jej rozwój, bo w tym wieku...

— Przeciwnie—przerwał basem gruby kupiec — mała jest bardzo rozwinięta. Uważam, że jest mądra...



— To są już spostrzeżenia i poglądy Panów  
którymi podzielicie się w pokoju przysięgłych —  
delikatnie upominał prezesa sądu.

I skierowawszy wzrok w stronę prokuratora,  
rzekł:

— Teraz Pańska kolej...

— Maniusiu! — pochylił się w stronę dziecka  
elegantki prokurator w złotych binoklach — po-  
patrz na mnie i powiedz, czy mnie znasz?

Dziecko zwróciło na prokuratora zdziwione oczy.

— Widziałas mnie kiedy Maniusiu?

— Pan nieładny — powiedziało dziecko.

Śmiech. Tym razem w śmiechu bierze udział  
i dziecko.

— Manusia nie zna pana — mówi dziewczynka,  
jakby teraz dopiero uświadomiwszy sobie py-  
tanie.

— No, a tych panów, co siedzą tam? — pyta  
prokurator, wskazując ławy przysięgłych.

Dziecię ogląda wszystkie twarze i kiwa głową  
przecząco.

— No, a tego... tam... pana... co siedzi na tam-  
tej ławce... znasz? — pyta prokurator, wskazując  
tym razem ręką na lewo.

Dziewczynka przygląda się adwokatowi.

— Nie! — mówi po krótkim wahaniu.

— Nie, Maniusiu... nie tego pana... Ale tego...  
co tam siedzi na ławce wyżej... wyżej, Maniusiu...

Dziecko zadziera główkę... patrzy... nie odpo-  
wiada. Zdaje się, nie widzi dobrze podsądnego.

— Chciałbym, aby podsądny powstał nieco—  
zwraca się z konfidencjonalną prośbą półgłosem  
prokurator do prezesa.



— Podsądny, powstańcie — nakazuje prezes.

Z gęstego, dawno niestrzyżonego, kolistego blond-zarostu wygląda twarz blada, limfatyczna, o mięśniach szeroko rozlanych, naogół dobroduszną. Na czole, przeciętem zmarszczkami bądź trosk, bądź lat około pięćdziesięciu, wystąpiły grube krople potu. Łysa głowa chyli się pod ciężarem nieubłaganego oskarżenia. W błękitnych, wypłowiałych oczach, rozwartych szeroko niepokojem, stoją dwie wielkie łzy obrazy i bezsilności. Ręce, wychudłe męką dziesięciomiesięcznego celkowego więzienia, nerwowo przesuwają się po pasie aresztanckiego szlafroka.

— Maniusiu, czy ty znasz tego pana? — nalega prokurator.

Dziewczynka spogląda na podsądnego, odwraca szybko główkę i patrzy na prokuratora, rozwarłszy blade usteczka.

— Popatrz, Maniu, na tego pana — wmieszał się prezes, wskazując palcem podsądnego.

Dziewczynka zajęta jest wpatrywaniem się we wspaniałą gwiazdę srebrną na piersi prezesa.

Jeden z sędziów koronnych nachyla się nad uchem prezesa i coś szepcze. Prezes kiwa głową. Zwraca się do podsądnego.

— Podsądny, wyjdźcie z ławki i podejdźcie do świadka.

Podsądny, śmiertelnie blady, leniwie się porusza. Żołnierz, stojący u ławy podsądnych, z obnażoną szablą, ustępuje mu z drogi.

Podsądny staje za dziewczynką.

— Podejdźcie bliżej, podsądny — nakazuje prezes... Spróbujcie wziąć świadczącą za rękę...



Podsądny przysuwa się do dziecka — wyciąga rękę...

Dziewczynka cofa się z przerażeniem ku ławom przysięgłych. Z jej warg wydobywa się zdławiony okrzyk:

„Mama!”

— Podsądny, zapytajcie ją, czy chce cukierki — proponuje prokurator.

Podsądnemu trzęsą się wargi bezdźwięcznie. Dziewczynka wpatruje się weń oczyma pełnemi lęku. Kilku przysięgłych powstało w naprężonym oczekiwaniu z miejsc.

— No, podsądny, uczynicie to, czego życzy sobie prokurator — mówi prezes.

— „Czort“ wie, co to jest.. Inkwizycyjny proces! — szepce do siebie młody adwokat, błąd z oburzenia.

Podsądny waha się.. potem głuchym głosem mówi, zwracając się do dziewczynki:

— Chcesz.. cukierki?

Dziecko wydaje okrzyk przenikliwy — płową główką uderza o ławkę przysięgłych — obsuwa się i pada. Usteczka jego zalewają się pianą. Ręce i nogi biją o posadzkę w ataku epileptycznym.

Robi się popłoch. Prezes powstaje. Spieszy woźny sądowy. „Starszy“ przysięgłych\*), siwy profesor gimnazjalny podnosi dziecko wraz z urzędnikiem akcyzy, zapasowym przysięgłym. Podsądny trzęsącemi się rękoma wspiera się o stół do dowodów rzeczowych i z ustami wpółotwartymi, oczyma pełnemi bólu i przerażenia patrzy na krzą-

---

\*) Przewodniczący wśród przysięgłych.



taninę. Adwokat, pokręcając nerwowo czarnego wąsa, syczy przez zęby niemal głośno: „Doczekali się!” — i prawie z nienawiścią pogląda na pobladłego prokuratora, którego oczy z za złotych okularów patrzą jednak z tryumfem w stronę przysięgłych.

Prezes zarządza przerwę na pół godziny. Wózny wynosi na rękę nieprzytomne dziecko.

## 2. MATKA.

Po przerwie przesłuchują drugiego z kolei świadka.

Przed kratkami dla świadków stoi młoda kobieta z gładko przyczesanemi włosami, z twarzą ładnej prostaczki, z oczyma szaremi, które patrzą z podełba, z wyrazem powstrzymywanego gniewu i żalu. Ręce jej z zażenowaniem pociągają ustawicznie końce czerwonej chusty, rzuconej na plecy.

Prezes. Wasze imię?

Świadcząca. Darja Afanasjewa.

P-s. Ile lat macie?

S. Na Boże narodzenie skończyłam 24, albo 26... Nie pomnę...

P-s. Zajęcie wasze?

S. Przy mężu...

P-s. Jesteście żoną stróża?

Ś. Młodszego stróża...

P-s. No, gdzie?.. Kończcie-że...

Ś. W domu Koroliewa...

P-s. Na Grochowej ulicy № 78... Tak?.. No!..

Ś. Tak.

P-s. „Pod sądem“ nie byliście?



S. Nie.

P-s. Dobrze... Opowiedzcie, co wiecie o sprawie... A pamiętajcie, że choć wyłączeni od przysięgi, winniście mówić tylko prawdę... nic nie ukrywając, nic nie dodając... Za kłamstwo prawo surowo każe...

A f a n a s j e w a. (Chmurna... przez chwilę milczy... potem utkwivszy oczy w podsądnego, mówi gniewnie, jakby rąbiąc słowa, jedno po drugim). Popsuli mi dziewczynkę na nic...

I ścina usta.

P-s. (nachylając się w stronę prokuratora). Pańska świadkini\*). Pytaj Pan.

P-r. (przyłożywszy ołówek do ust, z naciskiem). Powiedzcie, Afanasjewa, kto wam „popsuł“ dziewczynkę na nic?

A-wa. A toć *oni!*.. Któżby inny?! (i palcem energicznie wskazuje podsądnego).

P-r. (podniósł ołówek i tryumfalnie spojrzął na przysięgłych). Co chcecie powiedzieć, Afanasjewa, mówiąc, że wam dziecko „popsuli“ na nic...

A-wa. Toć-że sąd widział sam... Dziewczynkę przynieśli mi tam chorą...

P-r. Gdzie „tam“?

A-wa. A do świadkowej komnaty.

P-r. Ocknęła się?

A-wa. Ledwo!.. Znajoma kobieta zawiozła do domu...

P-r. Dziecko często ma napady?

---

\*) Pozwolimy sobie używać tego terminu, zam. „świadek“, odpowiedniejszego dla męskich świadków, lub „ciężkiego imiesłowu: „świadcząca“.



A-wa. Bywa raz w miesiąc... bywa dwa razy w tydzień... A to i po kilka razy dziennie, jak się przestraszy... Dawniej częściej... A wszystko od onej pory...

P-r. Od jakiej pory?

A-wa. A no, jak ją... popsuli...

Pr. Opowiedzcie, jak znaleźliście córkę wtedy?

A-wa. Ja nie znalazła... Inne znalazły... Katarzyna i Waria.

P-r. Wszak to się stało na strychu?

A-wa. Na górze, gdzie wieszają bieliznę...

P-r. Dlaczegoście tam nie poszli?

A-wa. Ja nie mogłam... Byłam chora...

P-r. Cóż wam było?

A-wa. W kościach łamało... Gorączka... Leżałam...

P-r. Dziewczynkę przyniesiono ztamtąd wprost do mieszkania?

A-wa. Tak.. Z pianą u ust... Wstałam i budziłam...

P-r. Kto przyniósł?

A-wa. Różne ludzie... Katarzyna... Warja... Innych nie pomnę... Nawaliło z podwórza...

P-r. Wasz mąż był wtedy w domu?

A-wa. Nie... z meldunkami w cyrkule.. Wyjechał pan Wasniecowa... Poszedł wymeldować... U nas, co do tego -- bardzo surowo... Pilnujem...

P-r. Czy to wynosiliście dziecko w parę dni potem do sędziego śledczego?..

A-wa. Nie ja, ale kuma... Aleksandrowa... ta co służyła u Susłowej...

P-r. Ona jest tutaj?

A-wa. Nie, jej niema w Petersburgu...



Prezes, (z lekkim wyrzutem w stronę prokuratora). Aleksandrowa nie przybyła... Toć sekretarz czytał...

P-r. (zlekka zapłoniony). Zupełnie słusznie... Tak... tak... Powiedźcie, Afanasjewa... Zresztą ja nie mam więcej pytań...

Prezes (do adwokata). Pańska kolej!

Adwokat. Cóż, dziewczynka wasza *wszystkiego* się stracha? I zaraz dostaje ataków?

P-s. (z lekką surowością w głosie). Proszę nie podpowiadać świadkom, ale zadawać pytania.

A-t. (zmieszany). Ja... pytam.

P-s. (surowiej) Proszę nie prowadzić ze mną sporów, ale ciągnąć badanie...

A-t. (zapłoniony). Przepraszam... Zawiniłem... (do Afanasjowej). Czy wasza dziewczynka często się lęka?

A-wa. Tera często...

A-t. Czy zawsze taką była?

A-wa. O, nie!.. Dawniej była żywa.. Wszędy polazła sama... Tera to się boi...

A-t. Aha!.. „wszędy polazła sama...” Bardzo dobrze!.. A teraz dostaje ataków, kiedy się przełęknie?

A-wa. Tak... bywa.. Zglupiała od owej pory...

A-t. Boi się starych... obcych... wszystkich?..

A-wa. Tak...

A-t. (spojrzawszy w stronę przysięgłych, jakby dzielił się z nimi swoim tryumfem). Więcej nie mam pytań.

Prezes. Afanasjew! posłuchajcie... powiadacie, że wasza dziewczynka boi się *wszystkich* obcych, starszych. A przecie oto nas się nie zlekła. .



A-wa (zakłopotana). Bez rozsądku jest...

P-s. Więc jakże?.. Boi się, czy się nie boi?..

A-wa. Rozmaicie... Bez rozsądku jest... Przedtem nigdy się nie bała, a teraz to bez powodu krzyczy... Najczęściej w nocy... Nic z niej nie będzie...

P-s. (do przysięgłych). Może panowie przysięgli mają o co zapytać?

Jeden z przysięgłych (mężczyzna pełny, z brodą w kształcie łopaty, właściciel domu). Ja mam... Afanasjewa!.. Dlaczego młodszy stróż, a nie starszy poszedł z meldunkami? (Śród publiczności lekki śmiech. Prezes ujmuje dzwonek i marszczy czoło, ale na jego gładko wygolonej twarzy igra powstrzymywany uśmiech).

A-wa. Starszy pojechał na „daczę“ \*) p. Korołjewa z rachunkami.

Przysięgły. Aha! (siada, zadowolony).

P-s. (do podsądnego). Podsądny, przysługuje wam prawo zadawać pytania każdemu świadkowi. Macie jakie pytania?

Podsądny (wstaje... stłumionym głosem bąka). Nie... ja... nic...

P-s. Afanasjewa, możecie sięść... (Afanasjewa zajmuje miejsce na ławce świadków).

P-s. (do woźnego). Następny... Iwan Afanasjew!..

### 3. OJCIEC.

Młody chłop z rozwichrzoną płową czupryną, w dobrze wysmarowanych dzieciem butach z cho-

---

\*) Letnisko za miastem.



lewami, w niebieskiej bluzie. Nogi ustawił po wojskowemu. Wyprostowany, jak żołnierz. Odpowiada dobitnie, akcentując mocno wyrazy.

Prezes. Stróż Afanasjew... tak?

A f a n a s j e w. Zupełnie tak, Wasze Wysokobłahorodje...

P-s. Mówcie, co wiecie o sprawie..

A-w. Zgwałcili, Wasze Wysokobłahorodje...

P-s. Kto zgwałcił?

A-w. Pan Klein pozwolił sobie, Wasze Wysokobłahorodje.

P-s. Cóż wiecie o panu Kleinie więcej?

A-w. Płacił, jak należy, Wasze Wysokobłahorodje... Za „kwaterę“ dłużny nie był

P-s. Nie o to chodzi.

A-w. Przedtem żadnych niepokojów od niego nie było... Przyzwoity, można powiedzieć, pan... Zupełnie, jak każdy inny.. A ot taką, można powiedzieć, niepozwoloną rzecz zrobił.

P-s. Z waszą córką?

A-w. Zupełnie tak, Wasze Wysokobłahorodje...

P-s. Widzieliście ją zaraz po wypadku?

A-w. Nie. Wieczorem. Z cyrkułu wrócił. Dom pełny gości...

P-s. I cóż?

A-w. Powiadają: leżała... ot tak, że i opowiedzieć niezręcznie... A w buzi cukierki... I piana... Popsuli dziewczynkę na nic, Wasze Wysokobłahorodje... Darja może opowiedzieć...

P-s. (uśmiechając się mimowoli). Darja opowiedziała już, co wiedziała. Teraz was pytają...

A-w. Więcej, jak Darja, nie wiem.



P-s. (do prokuratora). Chcesz pan zadawać pytania?

Prokurator. Świadek! Na którym piętrze mieszkał pan Klein?

A-w. Na trzecim.

P-r. Czy nie mylicie się?..

A-w. Zupełnie tak, Wasze Wysokoblahorodje... myślę się... Na drugim... Na trzecim, nad „ich“ głową, mieszka pan porucznik Rosenkranz... Także przywoity lokator... Zawsze płaci...

P-r. A dom ile ma pięter?

A-w. Oficyna, Wasze Wysokoblahorodje?

P-r. Tak... tam, gdzie jest „góra“, na której stał się wypadek...

A-w. Oficyna będzie miała cztery piętra, a ot front..

P-r. O front was nie pytają... Nie pamiętacie, kto z lokatorów wtedy został.. a kto wyjechał?.. Wszak wiele osób rozjechało się... Czas letni...

A-w. Wiele... ale tak odrazu nie zmiarkuję...

P-r. Lecz w owym czasie... prawie pusto było?..

A-w. Prawie pusto...

P-r. Można było prześlizgnąć się niepostrzeżenie na strych?

A-w. Zupełnie wygodnie, Wasze Wysokoblahorodje...

P-r. Kleina widzieliście tego dnia?

A-w. Ja nie widziałem. Inni widzieli. Ot, Kodlubajew widział... Wielu widziało...

P-r. Dlaczego sądzicie, że to pan Klein „popsuł“ wam dziewczynkę?

A-w. Cały dom mówi...





P-r. Czy odrazu „cały dom“ mówił?

A-w. Odrazu, Wasze Wysokobłahorodje...

P-r. Nie wiecie, dlaczego?

A-w. Nie wiemy, Wasze Wysokobłahorodje.

P-r. Nie pamiętacie, co znaleziono przy...  
(Reflektując się, w pół do siebie, w pół do prezesa).  
Zresztą innych zapytam.

A-w. Pugilares, Wasze Wysokobłahorodje?

P-r. Jaki tam pugilares?.. Pleciecie coś.. Nic,  
nie to... (do prezesa) Ja nie mam więcej.

Adwokat. Świadek! wasza dziewczynka —  
chora?

A-w. Całkiem chora, jak należy...

A-t. Przed tym wypadkiem była zdrowa?

A-w. Zupełnie zdrowa, jak należy...

A-t. A może miała napady epileptyczne  
i przedtem?

A-w. Może miała i przedtem (adwokat uśmie-  
cha się z zadowoleniem).

Prezes (wmieszawszy się). Afanasjew!.. Jak-  
że to?.. Powiadacie, że była zdrowa przedtem.

A-w. Zdrowa, Wasze Wysokobłahorodje.

P-s. Więc nie mogła mieć napadów przedtem?

A-w. Nie mogła, Wasze Wysokobłahorodje.

P-s. (ostro). Głowę macie w porządku?!..  
Dlaczego odpowiedzieliście adwokatowi, że „może“  
miała...

A-w. Pan adwokat pytali, czy „może“ miała...  
„Może miała“ — myślę. Ja nie widziałem. Może  
pan Adwokat co wie. Ja widziałem tylko, jak  
ona krzyczała i upadła, kiedy pan Jaroszynski szli  
przez podwórze. Wtedy ja pierwszy raz ją taką  
widział.



P-s. Co za pan Jaroszyński?

A-w. Inżynier... „Oni“ teraz mieszkają w tej-  
że oficynie... w odnowionem mieszkaniu... na par-  
terze...

P-s. Mieszkał u was, kiedy się *to* zdarzyło...

A-w. Nie... nowy lokator... Przeprowadził się  
— myślę — we dwa miesiące, albo i więcej.. po-  
tem, jak p. Kleina wzięli...

P-s. Aha, tak!.. Panie obrońco, możesz Pan  
pytać dalej.

A d w o k a t. A kto mieszka na czwartym pię-  
trze tej oficyny, gdzie wam dziecko „zepsuto“?

A-w. (uśmiecha się) Hm...

A-t. Czemu świadek nie odpowiada?

A-w. Mieszka *taka* kobieta...

Prezes (nie dosłyszawszy). Kto? Kto?

A-w. K... a, Wasze Wysokobłahorodje.

Śmiech na ławach słuchaczy. Jakiś pomocnik  
adwokata przysięgłego śmieje się tak głośno, że  
Prezes ujmuje dzwonek i odzywa się:

„Publiczność winna zachowywać się, jak na-  
leży. Inaczej każę oczyścić salę“.

Sztywne milczenie powraca.

A-t. Czy dużo u niej bywało osób?

A-w. Rozmaicie.. dużo i mało... Jak kiedy..

A-t. I w dzień bywali?

A-w. I w dzień.

A-t. A kto mieszkał na pierwszym piętrze?

Prezes (do adwokata). Pan chcesz rozpytać  
się o wszystkich lokatorów w całym domu... Wte-  
dy bodaj nigdy nie skończymy.

A-t. Pan prezes wybaczy... *to* mi jest niezbęd-  
ne... Zaraz skończę badanie.



P-s. No... no... nie przeszkadzam... Afanasjew, odpowiedzcie obrońcy..

A-w. Na pierwszym piętrze...\*) mieszkała wdowa dymisjonowanego sztabs-kapitana Susłowa... Za kwaterę płaciła bardzo niepewnie... Ja chodził do niej dużo razy z rozkazu starszego... Nie daj Boże takich lokatorów.

A-t. Z synem mieszkała, tak?

A-w. Z synem.

A-t. Czy nie mówiliście u sędziego śledczego, że „taki do wszystkiego był zdolny“?

A-w. Nie pamiętam... Może-m i mówił.

A-t. (do prezesa). Proszę o przypomnienie świadkowi... Zeznanie na str. 69. Tom I.

P-s. (czyta z akt). „Syn jej zdolny był do wszystkiego“.

A-t. (j. w.) Jeszcze parę wierszy dalej.

P-s. (czyta). „Urządzał w domu pijatyki z kolegami, jakby jaki z prostego ludu. Bywały u niego różne podejrzone osobistości. Dawaliśmy znać do cyrkułu... Taki mógł i zgwałcić“...

A-t. Więc jakże, to prawda?

A-w. Zupełna prawda.

A-t. To wasze słowa... Zatem mieliście podejrzenie na Susłowa?

A-w. Nie mieli-m... Tylko tak powiedziało się jedno słowo do drugiego...

A-t. Jak to „do słowa“?.. (macha ręką). Więcej nie mam... (Zapisuje coś z twarzą zadowoloną).

Prezes. Panowie przysięgli?

Starszy przysięgły (nauczyciel matematyki w gimnazjum klasycznym). Dlaczego świadek

---

\*) Według ros. rachuby *parter*.



sądzi, że syn Susłowej zdolny był do wszelkich złych postępów?

A-w. Wiadomo... Student był... I z politycznych... Tego samego dnia była u niego rewizja...

St. przys. Jakiego dnia?

A-w. A kiedy mi dziewczynkę popsuto...

St. prz. I cóż z tego?..

A-w. Nic... Jak należy.. Wzięli gołąbka...

St. prz. Kto wziął?

A-w. Policja...

St. prz. Kiedy go wzięli?.. O której godzinie?

A-w. Nie zapamiętałem... Dawno było... Zamiatąłem w drugim podwórku...

St. prz. A o której godzinie zdarzyło się nieszczęście?

A-w. Wieczorem... Godziny nie wiem.. W cyrkułe zatrzymali.. Późno wróciłem.

Przysięgły (gospodarz domu). Mówiłeś o jakimś mieszkaniu odnowionem...

A-w. Naprzeciwko Susłowej?.. Gdzie inżynier mieszka?.. Mówiłem.

Prz-y. Remontu dokonywano wtedy, kiedy zdarzył się ten wypadek?..

A-w. W ten sam czas... Malowali...

Prz-y. No... a może to który z malarzy skorzystał z waszej dziewczynki... Hę?

A-w. Nie... malarze przychodzili malować...

Prz-y. A tego dnia byli?

A-w. Byli... tylko zdaje się, wcześniej poszli... Zostawili mieszkanie, żeby schło...

Prz-y. A mówiłeś z nimi później o zgwałceniu dziewczynki?



A-w (skrobiąc się w głowę). Może-m mówić... może-m nie mówił... Dawno było... Nie zapamiętać!..

Prezes (zauważywszy, że nikt więcej pytań świadkowi nie zadaje). Afanasjew, możecie sięść...

A-w. Mogę do domu?

P-s. Nie. Możecie być potrzebni.

A-w (kręcąc czapkę w rękę, głosem proszącym). Wasze Wysokobłahorodje, my tera z żoną z „daczy“ p. Koroljewa... Za drogę dostaniem?

P-s (do woźnego). Zapiszcie. Dostaniecie, Afanasjew, później, w kancelacji.

Afanasjew siadł obok żony.

#### 4. „BIAŁA BRODA“.

Prokurator (powstawszy, zwraca się do prezesa). Prosiłbym o ogłoszenie z akt śledztwa pierwiastkowego Tom I str. 85 ustępu o zachowaniu się Maszy Afanasjewej szóstego dnia po wypadku przy konfrontacji z podsądnym... Protokół zeznania Eufrosinii Aleksandrowej... od słów: „Dziewczynka dziko zakrzyczała i...

Adwokat (podskoczywszy z miejsca). Panie prezesie, to niemożliwe! Aleksandrowej „powiestka“ doręczona...

Prezes (do adwokata). Uspokój się Pan... (Do prokuratora z lekkim wyrzutem). Pan żądasz rzeczy niemożliwych. Aleksandrowej doręczono „powiestkę“ i nie zjawiała się ona bez przyczyn legalnych.

P-r. (skonfudowany). Zupełnie słusznie... Zawiniłem. Zrzekam się swojego żądania.



A-t. (oburzony). Zatem i tamte słowa nie powinny były być cytowane!

P-s. Cóż poradzę Panu na to, skoro je już zacytowano? Mam nadzieję, że panowie przysięgli nie przywiążą do nich wagi, jako do niesprawdzonych przez śledztwo sądowe...

A-t. Czy pan prezes przynajmniej zechce zaświadczyć, że Maszy Afanasjewej nie konfrontowano z nikim więcej prócz podsądnego.

P-s. Tak jest, zaświadczam. (Do Afanasjewa nagle). Afanasjew, podejdźcie na chwilę jeszcze. (Zwracając się do prokuratora). Przepraszam... Pan skończył?.. Czy pan jeszcze chce czego?

P-r. Właściwie... nic... Tylko... prosiłbym jeszcze z pierwiastkowego śledztwa... ze świadectwa pokrzywdzonej... na str. 83 Tom I.

A-t (szybko). Pokrzywdzona sama dawała dzisiaj tu świadectwo...

P-r. Mam zawsze prawo przypomnieć świadkowi...

A-t. Jeżeli jest obecny, ale w danym razie...

P-s. Panie obrońco, Pan mylisz się... Świadkowi zjawiała się, ale zachorowała i prokurator ma prawo...

P-r. Zresztą... nie nalegam wcale na tem, aby odczytywano wszystko. Ale może obrońca zgodzi się zaświadczyć, iż dziewczynka mówiła o tem, że „pan z białą brodą“ zapytał ją, czy chce cukierki — i poprowadził następnie na górę.

A-t. Chętnie... jeżeli pan prokurator przyzna z kolei, że w śledztwie pierwiastkowym ustęp ten brzmi dosłownie tak: „przysięgając mi dać cukierki, zwabił mnie na górne piętro“...



P-r. Tak jest... przyznaję...

A-t (do prezesa). Czy mogę uczynić pewne oświadczenie panom przysięgłym (prezes kiwa głową). Panowie Przysięgli, widzieliście tę dziewczynkę i osądźcie, czy dziewczynka, która miała wówczas lat 6 i 2 miesiące — mogła używać takich wyrażań, jak...

P-s. To są już wnioski! Uczynisz pan je w mowie.

A-t. Chciałem tylko podkreślić, że... (siada).

P-s (do oczekującego Afanasjewa). Powiadacie, że wasza dziewczynka „krzyczała i upadła“ wówczas, kiedy przechodził ten — jak go tam? — p. Jaroszyński...

A-w. Tak... Zupelnie sprawiedliwie... Jeszcze p. Jaroszyński powiadają do mnie: „Cóż to wasza mała taka strachliwa? Przechodzę — powiada — a ona w krzyk... i zemdląła biedactwo“... A ja mu opowiadam, że dziecko ma padaczkę...

P-s. A jakiego koloru brodę ma ów p. Jaroszyński?

A-w. Nie rozpatrzyłem, Wasze Wysokoblahorodje... Mnie wszystko jedno...

P-s. Afanasjewa! podejdźcie-no! A wy nie wiecie, jakiego koloru brodę ma p. Jaroszyński?

A-wa. Jak nie wiedzieć?.. Trochę niemiecka...

P-s. Jaktó, niemiecka?

A-wa (wskazując podsądnego). No będzie taka, jak u nich... u pana Kleina...

P-s. Aha!.. Możecie sięść. Woźny, wprowadzić następnego świadka!

Woźny z listą podskoczył ku drzwiom.



## 5. CUKIERKI.

— Katarzyno Pilenko, przysięgaliście opowiedzieć prawdę. Pamiętajcie, że prócz kary na tym świecie, o której mówił wam duchowny, prawo surowo karze za fałsz i opowiadajcie, co wiecie.

— A cóż to kłamać mam? — wzruszyła ramionami stara, wysoka, chuda kobieta o ruchach żywych i rubasznych, o twarzy, zeszpeconej ospą, ale z miłemi szaremi oczyma, błyszczącemi poczciwością — za cóż grzech brać będę na duszę? Nie sprzedawałam języka nikomu — obruszyła się i rumieńce oburzenia wykwitły na jej obliczu.

Prezes (mięko). Uprzedziłem was tylko, jak każdego. No, mówcie, co wiecie o sprawie..

Katarzyna. Rano tego dnia, już kiedy wstałam, wiedziałam, że coś takiego się przytrafi. Idąc po bułki, powiadam na schodach do Saszy\*): wiesz, mam przeczucie, że dzisiaj albo kogoś okradną, albo coś takiego się zdarzy, że.. choć świętych wynosić. Bo tej nocy śniło mi się, że idę przez las, a ogromny pajak..

P-s. Nie! już to, co się waszych snów tyczy, zechciejcie opuścić.

K. A oprócz tego, tamtej niedzieli byłam z panią na wsi... Tak mi bez samą drogę pop przeszedł... wysoki, czarny...

P-s. Chcielibyśmy coś usłyszeć o zgwałceniu Maszy Afanasjewej?

K. Ja też o tem mówię... Tak mi aż serce

---

\*) Aleksandry.

zara zatchnęło się... Powiadam: Paniusiu — zły znak... Pop tak nam na krzyż bez drogę przeszedł.

P-s (do prokuratora). Zadawaj jej Pan pytania. Inaczej do ładu z nią nie dojdziem.

Prokurator. „Góra“ jest u was?

K. Jakże niema być „góry“? A gdzieżby się bieliznę wieszalo?

P-r. „Góra“ — ogólna... dla wszystkich lokatorów?

K. Dla oficyny naszej... Z całego domu nie nanosisz bielizny... Ot, w naszym domu mieszka generałowa von Böhm, u której pierwej służyłam. Tak ta oddaje do pralni.

P-r. A teraz u kogo służycie?

K. U pani Jefimienko... rozwiedzionej żony podatkowego inspektora... Bardzo dobra i ładna pani... I jeżelibym była mężczyzną...

P-r. Na którym pięttrze mieszkacie?

K. Na drugim.

P-r. A gdzie mieszka p. Klein?

K. Tuż... naprzeciwko nas...

P-r. U kogo klucz od „góry“ się znajduje?

K. U kogóżby, jak nie u stróża?..

P-r. Góra zamyka się zawsze?

K. Kiedy bielizna wisi?

P-r. Tak.

K. Jakżeby?.. Nie daj Bóg, ukradną. Naród zręczny...

P-r. A jak nie wisi?

K. Bywało, zapomną zamknąć.

P-r. A jak wisi, zamykają zawsze!

K. Jak nie zamkną — nieporządek.



P-r. A ot wy... zapomnieliście zamknąć „górze“ po rozwieszeniu bielizny.

K. Chrystus z Wami!... Nie ja (żegna się z przerażeniem).

P-r. A któż?

K. Sasza!

P-r. Co za Sasza?

K. Co u Wasniecowa służy. Piętro wyżej.

P-r. (zajrzawszy do notatek) Tak, tak. Macie słuszność... 13-go lipca zachodziliście na górę?

K. 13-go lipca? Nie mogę wiedzieć.

P-r. Tego dnia, kiedy w domu waszym zdarzyło się nieszczęście.

K. Z Maszą?

P-r. Tak. Byliście?

K. Jakże nie miałam być, kiedy ja ją znalazłam.

P-r. Opowiedzcie, jak to było... Poszliście na górę...

K. (opowiada bardzo wolno). Wzięłam kosz z bielizną... Idę... Wiedziałam, że Sasza klucz zabrała rano... Pukam do niej...

P-r. No, no... to wszystko jedno.

K. Nie wszystko jedno... Pukam do niej...

Jej niema... Myślałam, że jest na „górze“. Idę wyżej...

P-r. „Góra“ była otwarta... Coście zobaczyli?

K. Rany Boskie!... Co ja zobaczyłam?... I umierać będę — a niezapomnę. Nie daj Bóg nikomu coś podobnego zobaczyć.

P-r. No, cóż takiego?... Opowiadajcie!

K. Dzieciątko... Dzieciątko leży na podłodze... Sapie... mocno sapie... W ciemności małam nie za-deptała. Ale to chrypienie zatrzymało mnie. Nachyliłam się... Ojcowie moi!... Masza, stróżowa córka, le-



ży... Nóżki rozkraczone... Sukienka zagięta .. Ślisko...  
We krwi cała... Zaraz widzisz, że nad nią paskudztwo jakies uczynione... Tak i wylatuję... — i krzyczę na ludzi... (Żegna się wzburzona i ciężko wdycha).

P-r. Cóż?... Zbiegli się ludzie?

K. Jak nie zbiedz się?... Stojalam i wrzeszczałam.

P-r. Kto mianowicie przyszedł?

K. Elżbieta Izydorówna, co mieszka tuż, i Warjeczka...

P-r Jak na nazwisko?

K. Im?

P-r. Tak.

K. A Pan Bóg ich wie. One są w pokoju świadków. Możecie zapytać.

P-r. No, dobrze. Coście zrobili z małą?

K. Powzdychałyśmy, pokrzyczałyśmy. Elżbieta Izydorówna powiedziała zara, że to te świnię, mężczyzny. Warja wzięła cukierki.

P-r Aha!... Jakie cukierki?

K. Torebka przy dziewczynce leżała. Z cukierkami. I w buzi dziecina miała cukierek. Jak znosiłam, tak jej jeszcze z pianą z ustek cukierek różowy wyleciał. Dziw, że dzieciątko nie zadusiło się... Sine było... takie sine! Jak to niosłam ją po schodach, tak myślałam, że żywą do matki nie doniosę.

P-r. No i cóż?

K. A zniosłam... Ludzie zbiegli się we drugie podwórko, gdzie stróżostwo mieszkają. Afanasjewa z łózka wyskoczyła... Krzyczy... dziewczynkę



dusi w objęciach... Łzami się zalewa... „Zabili mi dziecko.“ — woła... A ja w te pędy po doktora...

P-r. Do jakiego doktora?

K. Wojskowy doktor mieszka tuż w drugim podjeździe... od frontu.

P-r. Cóż doktor?

K. Zaklął... „Spać —, powiada — djabli nie dajecie. Co u was ciągle nieszczęścia?“

P-r. Tak powiedział?

K. Jak Matkę Boską kocham...

P-r. Cóż to znaczyło?

K. A niewiem.

P-r. Ale przecie doktor poszedł!

K. A poszedł... On też tu w pokoju świadków.

P-r. I jakże? Kto uczynił krzywdę dziecku?

K. A któż?... On!... Za to i sądzi się (pokazuje oczyma podsądnego, obrzuca go spojrzeniem pełnym wzgardy).

P-r. Z czego wnosicie, że to on?

K. Nikomu innemu nie uczynić tego, jeno jemu.

P-r. Cóż? Taki niespokojny człowiek był?

K. Nie! Chytry. Przedtem był spokojny. A ot, wziął — i takie świństwo zrobił... Dziecko!... Sześć lat!.. Nie pożałować!.. A jeszcze Pan!

P-r. Czyście zaraz zmiarkowali, że to on?

K. Tuż, zaraz... we trzy — w jeden głos... zawołałim... Żadnego tu wątplenia nie było.

P-r. A ot... coście znaleźli?.. Nie pamiętacie?! Przymomnę wam... Laskę znaleźliście przy Maszy. Pamiętacie ją? Podnieśliście ją.

K. Laskę?.. Nie podnosiłam.

P-r. Jakto? Nie było laski?

K. Była! Oczywiście była!  
P-r. Któż ją podniósł?  
K. Elżbieta Izydorówna.  
P-r. Czyja to była laska?  
K. A czyjażby jak nie jego? (Patrzy na pod-  
sądnego).  
P-r. Czyja? czyja?  
K. No, tego, co siedzi...  
P-r. Zkądże wiecie to?  
K. Warja mówiła!..  
P-r. Więcej pytań nie mam.  
Prezes (do obrońcy). Pańska kolej, panie  
obrońco!

\* \* \*

Adwokat. O której godzinie to się stało?  
K. Co?  
A-t. Kiedy znaleźliście Maszę.  
K. Nie wiem... Dopiero co pani Jefimienko  
z Mitką — takiego syneczka ma — pojechała na  
daczę — zara skończyłam pranie i niezadługo z  
bielizną poszłam na górę...  
A-t. Pani Klein mieszkała wtedy na wsi?  
K. A na wsi.  
A-t. Czy wiecie o tem, że pan Klein co dzień  
wyjeżdżał do żony na wieś?  
K-t. Wyjeżdżał.  
A-t. Co dzień?  
K. Zdaje się, co dzień...  
A-t. No, więc jakże?.. Niebyło go w domu.  
K. Nie. Do domu wracał... ze służby — potem  
wyjeżdżał.  
A-t. Czy widywaliście go, kiedy z domu wy-  
chodził?.. W obiadowej porze?



K. W obiadową porę?.. Widywałam. Naprzeciwko nas mieszkał. Drzwi z kuchni u nas często otwarte. Parno...

A-t. Prędko po powrocie do domu wyjeżdżał?

K. Prędko...

A-t. Godzinę... dwie.. trzy?

K. O, nie!.. Prędeż z godzinę... Mniej...

A-t. Bardzo dobrze!.. A ot to zdarzyło się późnym wieczorem?.. Prawda?..

K. Nie! nie późno!

A-t. Jakto nie?.. Mówiliście, że było ciemno, kiedyście dziecko znaleźli?

K. Ciemno... na strychu... gdzie okna wążu-  
tkie... Ato-ć lato było... I w nocy jasno... Cóż to  
Pan nie wie?..

A-t. Więc na dworzu było jasno... kiedy znieśliście dziewczynkę?

K. Jasno.

A-t. A wieczór mógł być późny... Sami mówicie: lato było...

K. Ja tam na zegar nie patrzałam...

A-t. Lecz tego dnia nie widzieliście Kleina w domu?

K. Rano widziałam... jak wychodził...

A-t. Aha, wyszedł... Ale Maszę widzieliście potem... na podwórzu... Co?

K. Nie... nie zauważyłam...

A-t. No, dobrze... ale to wydarzyło się nie rano nieszczęście?..

K. Nie rano...

A-t. Ot, Sasza na górę chodziła wieszać bieleznię po południu?..

K. Po...



A-t. W obiadowej porze?..

K. Chyba tak...

A-t. I ona otworzyła strych?

K. Ona...

A-t. Więc Masza dostała się tam już po jej odejściu?..

K. Po...

A-t. Bardzo pięknie!.. A ot, może p. Klein wcale nie wrócił tego dnia w obiadowej porze do domu... he?

K. Jako nie wrócił?.. Jego laskę przy Maszy Warja znalazła... Znaczy się — wraca!..

A-t. A zatem, gdyby Warja laski nie znalazła — to nie pomyślelibyście, że to Klein uczynił gwałt?..

K. Wtedy końce w wodę!.. Nikt by nie pomyślał na niego...

A-t. A! nikt by nawet nie pomyślał na niego... Doskonale!.. Więc to zapewne Warja pierwsza zawała, że to p. Klein winien?..

K. Ona — zdaje się — pierwsza...

A-t. Czy nie wiecie, ile lat ma Warja?..

K. Nie.. nie wiem.

A-t. Ale jest bardzo młoda — prawda?.. Prawie dziecko...

K. No, nie dziecko!.. Ale zupełnie młodziutka... Dziecinni się jeno...

A-t. A cóż... na jej zdaniu bardzo polegaliście?.. To jest... Wierzycie w jej zdanie... w jej myśli?..

K. Jakież to ona ma myśli?!.. Ja i nie rozumiem, co pan adwokat pyta. (wzrusza ramionami).

A-t. Więcej pytań nie mam...

\* \* \*



Prezes. Nikt nie ma więcej pytań?

Sędzia przysięgły (z zapasowych, tłusty kupiec z czerwoną gębą, w długich butach, w staromodnym surducie). Ja mam... Katarzyna, słuchajcie... A ten student na dole — to nie on zrobił? — nie?

K. Wdowy Susłowej student?

S. P. „Nu,” wdowy Susłowej!

K. Nie on.

S. P. A czemu-ż to nie on?

K. Jemu to nie w głowie było.

S. P. A co mu w głowie było?

K. Jemu książki i papiery w głowie. Zawsze z nimi chodził. Szedł bez podwórze — i czytał. Powiadali. „nihilista!”

S. P. Nu, nihilista — on i zrobił.

K. Nie on — całe podwórko mówi: nie on.

S. P. Toć że pił?

K. Pił.

S. P. No, znaczy się, jak do wódki nie był nihilista, tak i do tego...

K. Młody był.

S. P. Cóż, że młody?

K. Takie rzeczy robią stare paskudniki.

S. P. Młode paskudniki też są!

K. Nie on! Aresztowali go w ten dzień.

S. P. Kiedy?

K. Po obiedzie...

S. P. Tem lepiej. Tak przed obiadem zrobił...

K. Nie... Jego wywiedli we wrota... A Masza skakała na podwórku... Tak pani Susłowa opowiadała... Coś pamiętam...



S. P. Nu, matka!.. może pomyliła się... Syn zrobił... Tak nie chce i gadać... na syna...

K. Nie!.. już to pan Klein zrobił... Na to i Niemiec!..

S. P. Jakiż on niemiec?!

K. Przewisko takie!.. Klein!..

S. P. Nu, Bóg z wami... (siada)

A d w o k a t. Ja jeszcze chciałem zapytać... (do Katarzyny). Ot, porucznik Rosenkranc... także „Niemiec“... Może to on zrobił?

K. Nie, nie on!

A-t. A czemu-ż nie on?..

K. Za dużymi latał. (śmieje się).

A-t. Cóż was tak śmieszy?

K. (śmieje się). Miał kogoś innego...

A-t. A toć i Klein miał żonę.

K. Miał.

A-t. A więc?

Katarzyna milczy.

A-t. Jakże więc?..

K. Pan Klein zrobił. Nikt inny!

A-t. Nie mam więcej...

Katarzyna na znak prezesa podchodzi ku ławce świadków.

## 6. L A S K A.

Stara kobieta — przygarbiona — w czarnej wyniszczonej zarzutce na plecach — z zielonym daszkiem nad czerwonemi powiekami — obwieszona medalikami z mosiężnym krzyżem na piersiach — bezustannie żująca bezzębnymi ustami — wsparta na grubym, sękatym kiju — stanęła przed sądem.



Prezes (zaglądając do akt). Nazywacie się Elżbieta Izydorówna Korowina?.. Tak?..

Korowina (kiwnęła głową potakująco).

P-s. Mieszkacie w oficynie na Grochowej ulicy № 78?

K-wina (kiwnęła głową).

P-s. Na czwartym piętrze?

K-wina (kiwnęła głową).

P-s. Utrzymujecie się z własnych funduszów?

K-wina (kiwnęła głową).

P-s. Cóż wiecie o sprawie?

K-wina (podniósłszy ręce uroczyście). Swinie — mężczyzny!

(Śmiech na sali. Prezes mocno dzwoni. Cisza powraca).

Prezes. Jacy mężczyźni?

K-wina. Wszyscy!

(Śmiech. Sam prezes się śmieje).

P-s. Mówcie, coście widzieli.

K-wina. Dużo świń widziałam. Ot i naprzeciwnie takiej mieszka, co duszę szatanowi zaprzedała — tak ci do niej w dzień i w nocy łążą sprzedawcy Chrystusa...

P-s. Ale co ujrzeliście na strychu, kiedy przywołała was Katarzyna Pilenko.

K-wina (spluwa). Hańba opowiadać.

P-s. Jednak opowiedźcie.

K-wina (podnosząc nań szare przenikliwe oczka). Uchowaj Boże!.. Mężczyznom opowiadać — to jeno chucie rozpalać!..

P-s. Jednak sędziemu śledczemu opowiadaliście?

K-wina. Oni pisał. Ja tylko kiwałam głową.



P-s. Widzieliście zgwałconą dziewczynkę?

K-wina (kiwnęła głową).

P-s. Czemuż nie odpowiadacie?

K-wina. Odpowiadam! Tak!

P-s. Miała suknię podgiętą?.. Leżała we krwi?..

K-wina (spluwa i kiwa głową).

P-s. Była nieprzytomna?

K-wina (szorstko). A jakże dziecko ma być przytomnem, kiedy zbrodniarz uczynił nad niem taki gwałt?

P-s. Czy przy dziecku leżała jaka laska?

K-wina. Pod dzieckiem... pod nóżkami...

P-s. Wyście ją podnieśli?

K-wina. Ja.

P-s. Jakaż to była laska?

K-wina. Podła!

P-s. Dlaczego podła?

K-wina. Obaczcie ją.

P-s. Czyja to była laska?

K-wina. Świni!

P-s. Porzućcie te słowa!... Podsądnego?

K-wina (milczy).

P-s. Ot, tego, co na ławce podsądnych siedzi?

K-wina. I patrzeć na takiego nie chcę... Grzech spojrzeć!

P-s. Kleina?

K-wina. A ot, spytajcie mojej Wari... Ona powie...

P-s. Czy strony mają jakie zapytanie?.. Przy sięgli?.. Podsądni?..

Ponieważ wszyscy kiwają przecząco głową, prezes nakazuje Korowinej sięść.



K-wina. Mogę odejść całkiem? tu nie miejsce dla mnie.

Prezes (porozumiawszy się uśmiechem ze stronami). Jesteście wolni.

Staruszka, stukając kijem i mrużąc coś pod nosem, kieruje się ku drzwiom...

## 7. ŚWIADECTWO PRZEŁOŻONEGO.

Woźny podaje sędziemu kartkę i depeszę. Prezes, przebiegłszy papiery oczyma, zwraca się do stron:

„Świadek Merc, zmuszony wyjechać z powodu depeszy o nagłej chorobie żony, prosi o przesłuchanie go nie w kolei. Mam nadzieję, że strony nie mają nic przeciwko temu.“

Prokurator i adwokat pochylają głowy na znak zgody.

Prezes (do woźnego). Poprosić świadka Mercal..

\* \* \*

Elegancko ubrany, z podbródkiem starannie wygolonym, z ciemnymi pieśczonek bokobrodami, jegomość w wieku średnim staje przed sądem i przyglądając się flegmatycznie swoim wytwornie zaostrzonym paznokciom, oczekuje zapytań:

Prezes. (do adwokata). Pański świadek. Pytaj pan.

Adwokat. Pan jesteś dyrektorem Południowego Banku dla handlu i przemysłu?

Merc. Tak jest.

A-t. Czy świadek zna Kleina?

M. Tak jest.



A-t. Dawno?

M. Osiem lub dziesięć lat.

Pod sądny (powstając). Prawie jedenaście lat. Pan Dyrektor się myli

M. Być może.

P-ny. (w stronę prezesa). Wstąpiłem do Centrali Petersburskiej natychmiast po zwinięciu oddziału Ryskiego w Styczniu 1898 roku.

M. Tak jest. Zupełna racja. Przypominam.

A-t. Jakie stanowisko zajmował podsądny w banku?

M. Był buchalterem. Prowadził książkę przechodnich sum i korespondentów *Nostro*...

P-ny. I po części dziennik.

M. Tak jest.

A-t. Jaką pensję otrzymywał?

M. W ostatnich czasach, zdaje się Rs. 100 miesięcznie.

P-ny. 110.

M. Tak... być może...

A-t. Czy pan był z niego zadowolony?

M. Bardzo. To był jeden z najpilniejszych urzędników banku.

A-t. Spóźniał się kiedykolwiek?

M. Nigdy. Przychodził nadzwyczaj punktualnie. Naczelnik wydziału mówił mi, że Klein otrzymał od kolegów przydomek „Zegarek.“ Chwalił jego systematyczność i uczciwość w stosunkach pieniężnych.

A-t. Nie zaniedbywał nigdy roboty?

M. Książki jego były zawsze *à jour*... Czasem przepisywał listy, które wymagały pięknego chara-



kteru pisma... listy do osób „wysoko [postawio-  
nych.“

A-t. Świadek oglądał książki Kleina?

M. Naturalnie. Były prowadzone arcydokład-  
nie. Bez poprawek.

A-t. Czy świadek wie, o co podsądny jest o-  
skarżony?

M. Wiem...

A-t. On, zdaje się, zaaresztowany został w  
Banku?

M. Niestety!.. tak.

A-t. Czy świadek, sądzi że Klein mógł coś  
podobnego uczynić?.. Gwałt nad dzieckiem!..

Prezes. (przerywając). Panie obrońco! Pan  
winienesz pytać o fakty, nie zaś o przypuszczenia  
świadka. Cóż panu z tego, co świadek „przypusz-  
cza“?.. Czy podsądny winien — to okaże się z ca-  
łości śledztwa.

A d w o k a t. (mocno). Panie prezesie!.. Świadka  
wezwałem celem ustalenia, jakie były cechy moral-  
ne podsądnego... To także ważna część śledztwa.  
Zdaje mi się, że mogę...

Prezes. No, dobrze... Nie przeszkadzam...  
Świadek, możecie odpowiedzieć na pytanie obroń-  
cy... Co wam się „wydaje“?..

M e r c. Mam głębokie przekonanie, że Klein  
jest niewinny!..

Poruszenie wśród przysięgłych.

A d w o k a t (jakby porozumiewając się z przy-  
sięgłymi wzrokiem radosnym) Więcej pytań nie  
mam (siada).

\* \* \*



Prokurator. Dlaczego świadek sądzi, że Klein jest niewinien? Wszakże świadek nie zna jego prywatnego życia.

Merc. Wszyscy jego towarzysze w Banku są tego samego przekonania. Klein uznany jest za wzór wstrzemięźliwości.

P-r. W każdym razie panu osobiście nic o jego życiu prywatnym nie jest wiadomem.

Merc. Owszem. Mówiono, że wzorowo żyje z żoną...

P-r. To tak panu opowiadano!.. Ale pan sam tego nie sprawdzałeś!

M. Naturalnie... Ale też nie miałem powodu nie dowierzać...

P-r. Ja więcej nie mam...

Jeden z przysięgłych. (w czarnych okularach. Agent handlowy). Pan mówiłeś, panie dyrektorze o uczciwości Kleina w stosunkach pieniężnych. Zkąd-że to panu wiadomo? Przecie Klein nie był kasjerem i nie mogło być wypadku, żeby...

Merc. Razu pewnego... naczelnik wydziału buchalteryjnego Andronikow prosił mnie w imieniu Kleina o wydanie mu „forszusu“ Rs. 500. Kiedy wyraziłem powątpiewanie, czy można taką sumę wydać małemu urzędnikowi, naczelnik zapewnił mnie, że Klein jest człowiekiem nader skromnym w wydatkach, że błaga o tę sumę, że widocznie jest mu ona niezmiernie potrzebną i że wypłaci się...

S. Przysięgły. Wypłacił się... zapewne potrąceniami z pensyi lub z grafitykacyi?..

M. Po części — tak. Ale po części wieczornemi godzinami pracy. I nawet, o ile pomnę, po



części splatą gotówki (zwracając się w stronę Klei-  
na). Wszak tak? (ten kiwnął głową). Ot, stąd myślę,  
że jest uczciwy.

S. P. Miał inne zarówki?

M. Nie wiem... może... zapewne...

Prezes. A dawno zdarzył się ten fakt — pożyczki?

M. To było... dwa lata temu... Nie!.. przepraszam... (namyśla się) To było akurat przed moim wyjazdem do Ostendy... zatem... trzy lata temu... w sierpniu 1906 roku (uśmiecha się). Drobnostka... Jednak przypadkowo zapamiętało się...

P-s. Klein służył w banku jedenaście lat... Czy wcale nie awansował?

M. Co do pensji — tak... trochę... ze względu na długość urzędowania; co do stanowiska — nie.

P-s. Czemu?

M. Mało zdolny. Mógł robić tylko swoją robotę.

P-s. Aha!.. Jeszcze pytanie. O której godzinie kończyły się zajęcia w banku?

M. O piątej.

P-s. W lecie, w lipcu też?

M. Tak samo.

P-s. Czy Klein wychodził z wszystkimi razem?

M. Czasem później od wszystkich. Sam widziałem kilkakrotnie, kiedy zasiedziałem się w wypadkach nadzwyczajnych... Tak, on był bardzo pracowity.

P-s. Dostyc... (Do stron) Świadek nie będzie potrzebny stronom?.. Nie?.. Przysięgłym? — podsa-



dnemu?.. Nie. A zatem możesz pan odejść zupełnie.  
Nie potrzebuje pan wracać

Merc kłania się i wychodzi.

\* \* \*

Sędzia-referent szeptem mówi coś prezesowi — pokazując mu coś w aktach — chwilę trwa przyciszona rozmowa — prezes kiwa głową, referent uśmiecha się...

Prezes. Podsądny, wstańcie i odpowiadajcie na moje pytania. Zresztą macie prawo nie odpowiadać, jeżeli nie chcecie.

Podsądny. Słucham.

P-s. Kiedy podsądny potrzebował owych 500 rubli?

P-ny. (cichym głosem). Trzy lata temu.

P-s. Więc pański dyrektor nie myli się... To było w sierpniu 1906 roku?

P-ny. Tak... Zdaje się...

P-s. Na co potrzebne były te pieniądze?

P-ny. Na... (Urywa i milczy).

P-s. Przegrałeś pan w karty?

P-ny. (milczy).

P-s. Dlaczego pan milczysz?

P-ny. Nie gram w karty.

P-s. A zatem na co?

P-ny. ...Żona była chora...

P-s. Czemu pan nie odpowiedział od razu?

P-ny. Jestem bardzo zmęczony... Głowa rozboleła.

P-s. No, no, pocierp pan trochę... Niezadługo zrobimy przerwę... Zatem 500 rubli na chorobę żony... Czemu tak dużo?



P-ny. (powoli). Zona była chora... Operację robili...

P-s. Jaką operację?

P-ny. (milczy)

P-s. No?

P-ny. Kobieca choroba.

P-s. Bardzo pięknie... Kto robił operację?

P-ny. Doktor... doktor... Zapomniałem nazwisko...

P-s. Czy żona leżała w klinice?

P-ny. Nie...

P-s. Doktor otrzymał całych 500 rubli?

P-ny. Nie... Część pożyczyłem...

P-s. Komu?

P-ny. Susłowej... i...

P-s. I komu jeszcze?

P-ny. (podnosząc ręce do skroni). Nie mogę przypomnieć...

A d w o k a t. (ustając). Podśądny skarżył się, że jest bardzo znużony. W takich warunkach trudno odpowiadać...

P-s. Dobrze!.. Ogłaszam przerwę półtoragodzinną.

## 8. DOKTÓR.

Po przerwie.

Prezes. (do woźnego) Wprowadzić Barbarę Gargolinę.

Woźny. Pan Prezes wybaczy, Gargolinej niema.

P-s. JAKO? Przy przysiedze była.

Woźny. W przerwie wyszła... i nie wróciła więcej.

P-s. (z lekką surowością w głosie). Czemu puściliście ją?

Woźny. Dziewczyna skarżyła się na ból głowy... chciała przejść się na powietrzu. Przyrzekła powrócić za pół godziny. I nie wróciła.

P-s. (łagodniej). Naprożno puściliście ją. Kiedy wróci, zawiadomcie. A jeżeli nie przyjdzie, jutro rano posłać po nią. W razie potrzeby sprowadzić przez policję. A teraz poprosić doktora.

Woźny. Słucham.

\* \* \*

Wysoki mężczyzna w mundurze lekarzy wojskowych, sympatycznej powierzchowności, z piękną kędzierzawą brodą, spadającą po pas, w okularach, — długimi białymi palcami przebiera po poręczach krzeseł dla świadków, oczekując pytań.

Prezes. Pańskie nazwisko

Lekarz. Mitrofan Aleksandrowicz Zawołzin-Streleckij.

P-s. Jesteś pan wojskowym lekarzem?

L. Tak jest... Od roku 1885-go wolnopraktykującym.

P-s. Czy przypomina pan sobie, że w lipcu roku zeszłego przywołano pana do chorej... małej dziewczynki... zgwałconej?

L. Pamiętam. Przybiegła jakaś stara kobieta — zrywała.

P-s. Cóż pan znalazł?

L. Szczegółowo trudno mi będzie opowiedzieć. Za świeżej pamięci dawałem zeznanie wówczas — po wypadku. Spisywałem nawet protokół...



Komisarz dołączył do podania policyjnego. Tam jest cały obraz medycyny. Prosiłbym o odczytanie.

P-s. A ot, opowiedz pan naprzód, co pamiętasz. Dopełnimy pańskie zeznanie później odczytaniem protokołu

L. Pamiętam... Dziewczynka była dobrze odżywiana... mocnej budowy... Sądę, że inaczej bodaj by nie przeżyła... Tak wielkie były obrażenia... Zlitujcie się, dziecko lat około sześciu!.. Znalazłem sromne wargi, jedne i drugie, poszarpane... Błona dziewicza rozerwana... A co najgorsze, ciało tak w kierunku *anus*, jak i w stronę wzgórza Wenery, wzdłuż po linii otworu macicznego rozdarte... Macica w położeniu nienormalnym... Uływ krwi obfity...

P-s. Czy pamiętasz pan, w jakim stanie znajdowała się dziewczynka?

L. W ataku epileptycznym. Bez świadomości. Z godzinę zajmowałem się nią. Powoli przysła do siebie. Gorączkowała, bredziła. Kilka dni do niej chodziłem. Zastosowałem odnośne srodki. Oto i wszystko!

\* \* \*

Prokurator Czy doktor sądzi, że epilepsja była wynikiem zgwałcenia?

L. Tak. Dziewczynka, sądząc z wszystkiego, była przedtem zdrowa.

P-r. Więcej pytań nie mam.

Adwokat. Czy świadek *jest pewny*, że dziecko było przedtem zdrowe?

L. Ja tak myślę. Napewno twierdzić nie można. Ale zdaje mi się, że zgwałcenie wywołało chorobę nerwową. Mała przeżyła tak straszne wstrzą-



śnienie moralne... nie mówiąc już o bólu. Znałem dzieci, które potem umierały — inne wpadały w obłąd — czasami w formalny idjotyzm.

A-t. Dziękuję panu. Więcej pytań nie mam.

Prezes odczytuje protokół lekarski, który szerzej opisuje stan choroby Maszy Afanasjewej w zgodzie z zeznaniami Zawołżina, nie dodając zresztą żadnych ważnych szczegółów. Następnie zapytuje przysięgłych, czy nie mają pytań.

\* \* \*

Starszy przysięgłych. Czy pan doktor nie może powiedzieć, o której godzinie przywołany był do chorej?

L. Mogę... Było... 10-20 minut po siódmej.

St. Prz. O, tak ściśle! Czemu pan twierdzi to z taką pewnością?.. Toć-że to było tak dawno.

L. Mam godziny przyjęcia od 5 do 7-ej. I pilnuję się ich systematycznie (uśmiecha się delikatnie). Mimowoli pochwalilem się. Otóż mój czas przyjęcia skończył się. Właśnie położyłem się, aby odpocząć. I oto nie zdążyłem jeszcze zdrzemnąć się, przybiegła kobieta. Byłem mocno niezadowolony. Jednak musiałem wstać i iść.

St. Prz. Dziękuję panu.

\* \* \*

Prokurator. (do prezesa). Z powodu tego zeznania pragnąłbym zwrócić się z oświadczeniem do panów sędziów przysięgłych.

Prezes. Proszę, zwróć się pan.

Prokurator. (mocno podkreślając każde słowo) Proszę was zapamiętać, panowie przysięgli, że zbrodni dokonano *przed godziną siódmą wieczorem*.

Adwokat (do pr-sa). Ja też mam oświadczenie.



P-s. Zrób je pan.

A-t. (wyzywająco, z ukosa patrząc na prokuratora). Ja także proszę panów przysięgłych o zapamiętanie, że zbrodni dokonano *przed godziną siódmą wieczorem*.

(Przysięgli zapisują).

P-s. Rozumie się, jeżeli rachować 10-20 minut na zniesienie dziecka i na przywołanie lekarza. Sprawdzimy to jeszcze. Pan mieszka w tym samym domu, doktorze?

Lekarz. Tak.

P-s. Więc do Afanasjewych masz pan parę minut drogi.

L. Nie więcej.

P-s. (do Katarzyny Pilenko). Pilenko, podejdźcie tu. Długo cuciliście Maszę?

Katarzyna. Niedługo. My nie doktory, znieśli-m ją zaraz.

P-s. I zaraz pobiegliście po doktora?

Katarzyna. Duchem.

P-s. Siądźcie. (zwracając się do stron) Czy doktora można zwolnić całkiem? (Strony pochylają głowy). Jesteś pan wolny.

Sędzia przysięgły zapasowy (tłusty z czerwona gębą). A ja mam jeszcze pytanie.

P-s. (nawołując lekarza). Świadek, nie odchodź pan jeszcze. Pan przysięgły pragnie o coś zapytać.

\* \* \*

Sędzia przysięgły. Ot, wy tej kobiecie tam, co siedzi — (wskazując Katarzynę) — powiedzieliście: „Spać nie dajecie. Co to u was ciągle nieszczęścia?”... Dlaczegoście tak powiedzieli?



Lekarz. (pocierając czoło ręką). Pozwólcie — przypomnę — tak... tak... powiedziałem...

S. P. Dlaczego?.. Cały dzień dziewczynki gwałcono w tym domu?

(Śmiech w sali).

L. (śmieje się). Nie. Ale ta sama baba przychodziła do mnie tego samego dnia już raz... Pamiętam wzywała do chorego — jakiegoś wysłużonego unter-oficera. — coś w tym rodzaju...

S. P. W tym-że domu?

L. W tym... w oficynie.

S. P. Cóż mu było?

L. (śmieje się) Zdaje mi się, że to niema nic wspólnego ze sprawą. Ale mogę opowiedzieć.

Prezes. (pobłażliwie uśmiechając się). Opowiedz pan — skoro pan przysięgły interesuje się.

S. P. (z uporem). Interesuję się!

Lekarz. Znalazłem chorego... alkoholika... który poprzedniego dnia miał atak *delirium tremens*... Tak wniosłem z opowiadań francuzki, która — po mnie — bardzo niepokoiła się o chorego. Była pewna, że umarł. Płakała. Ta baba, co przybiegła po mnie, też płakała. I jeszcze — jakaś dziewczynka tam była. Ta wyla poprostu. Uspokoilem je. Znalazłem stan śpiączki. Rodzaj katepsyi. Serce biło. Choroba rzadka — bardzo interesująca. Taki stan ciągnie się niekiedy trzy... cztery dni... czasami znacznie dłużej... Bywa i miesiące.. Nazajutrz byłem u tego samego chorego. Spał jeszcze. Całe ciało jakby sparaliżowane... Tak tak... Ciekawa choroba!

Prezes. (do przysięgłego). Cóż, jesteś pan zadowolony?

S. P. (z uporem) Zaraz!.. O której godzinie to



było — kiedy pana wezwali do chorego? (widocznie stara się naśladować metodę pytań starszego przysięgłego).

Lekarz. (nieco zdumiony natarczywością sędziego, którego chwiejące się ruchy zdradzają wpływ kilku zbytecznych kieliszków, wychylonych w przerwie obiadowej). Około trzeciej — czwartej po południu.

S. P. Pan doktor sypia zawsze w dzień?

L. (Nieco zażenowany, z trochę ironii w głosie). Zapewnie rzadziej niż pan.

S. P. Nie!.. Bo pan powiedziałeś; „Spać nie dajecie!“

L. (z lekką ironją). Całą noc poprzednią spędziłem przy chorej — i pół dnia. Wróciłem po ciężkiej operacji około trzeciej — czwartej... chciałem położyć się, kiedy ta baba przyszła po mnie po raz pierwszy... Alkoholik zajął mi... Zresztą... (chmurzy się i ścina usta).

S. P. A co tamtej chorej było?

L. Gorączka połogowa... (Nagle do prezesa). Zdaje mi się, że to wcale do sprawy się nie odnosi.

Prezes. (z lekką wymówką do przysięgłego). Pan istotnie, zdaje się, trudnisz świadka niepotrzebnie...

S. P. (wypalił basem). Ja mogę nie pytać. (siada mocno urażony).

P-s. (do lekarza). Jesteś pan wolny!

Adwokat. Przepraszam. Ja mam jeszcze... Pan doktor zechce wybaczyć... Oto wspomniałeś pan, że przy łożu chorego płakała jakaś dziewczynka. Czy to nie była Masza?



Lekarz. Zkąd-że! Tamta nie była już dzieckiem. Miała lat piętnaście. A ot, kiedy na drugi dzień tam byłem — zaszedłem od Maszy na górę — to istotnie zebrała się w kuchni i w sieni gromadka dzieciaków. I urządziły koncert lamentowań nad śpiącym... Pocieszny obrazek!.. Nigdy nie zapomnę. (śmieje się). A teraz — mogę odejść?

Prezes. Mam nadzieję, że teraz już wszystkie pytania wyczerpane?.. Tak jest!.. Możesz pan odejść.

## 9 SERDECZNY PRZYJACIEL.

Zapalono lampy...

Garbusek małego wzrostu, z twarzą zielonkawą, melancholijnemi oczyma rozgląda się po sali, rzuca spojrzenie pełne współczucia na podsądnego i czeka.

Prezes. Wy — Maksym Wołkow — tak?

Wołkow. Tak.

P-s. Co wiecie o sprawie?

W. O sprawie nic. Kleina znam dobrze.

P-s. Panie prokuratorze, pytaj pan.

Prokurator. Czy przypominasz pan sobie dzień 13 lipca roku zeszłego?

W. Przypominam to był dzień moich imienin. Wtedy poraz ostatni byłem w banku wraz z moim przyjacielem Kleinem i obiadowałem z nim razem.

P-r. Czy pan dobrze przypominasz, że to był ostatni dzień pobytu Kleina w banku?

W. Tak jest... A raczej — ściślej mówiąc — przedostatni. Nazajutrz była galówka — a następ-



nego dnia niedziela. W poniedziałek zaś rano Kleina aresztowano u nas w banku. Przyjechał ze wsi — i ani spodziewał się...

P-r. Pan słyszysz w banku?

W. Tak, w wydziale ekspedycyi od dziesięciu lat.

P-r. Dawałeś pan zeznania u sędziego śledczego w tej sprawie?

W. Tak jest.

P-r. Przypominasz pan sobie, coś mówił, że Klein tego dnia upił się?

W. (z oburzeniem). Nie mówiłem, że się upił, ale że sobie „lekko podchmielił.“

P-r. No, to prawie na jedno wychodzi. Czy często upijał się?

W. (mocno). Nigdy!

P-r. Ej-że?!.. A ot, tego dnia — jak pan sam powiadasz — odrazu „podchmielił sobie.“

W. On nie pijał wcale. Ja trochę lubiłem wypić. Ale tym razem prosiłem go, żeby wypił, ze względu na moje imieniny. Postawiłem jedną butelkę szampańskiego. Przytem Klein był czegoś rozstrojony. Więc chciałem, żeby się trochę rozweselił.

P-r. Aha! rozstrojony był. Nie wiesz pan, dlaczego był rozstrojony?

W. Nie wiem. (przypominając). A! mówił, że miał jakąś rozmowę, która go rozstroiła... Jaką nie wiem...

P-r. Nalegałeś pan, żeby powiedział?

W. Tak... zdaje się... Ale nie powiedział...

P-r. Nie powiedział!.. A pan przecie jesteś jego przyjacielem?! Miał więc sekrety przed panem?..



W. Ach, nie pamiętam!.. Może powiedział.. Zdaje się, nie było nic ważnego.

P-r. Jednak był rozstrojony... smutny?.. To mu się często zdarzało?

W. Prawie nigdy! Był bardzo równego usposobienia... Bardzo dobroduszny... pogodny...

P-r. Czy pana to nie dziwiło, że jest smutny?..

W. Tak... nie... Zresztą trudno takie drobiazgi pamiętać.

P-r. O, ja nie nalegam... Ale ot — co mi pan powiedz. Wyszedłeś pan tego dnia razem z Kleinem z banku, czy też on sam wyszedł?

W. Wyszliśmy razem.

P-r. Pan to dobrze pamiętasz?

W. Doskonale.

P-r. A czy nie mieszasz pan tego dnia przypadkiem z innym?

W. Nie... My zresztą prawie zawsze wychodziliśmy razem.

P-r. Która-ż to była godzina?

W. Zajęcia kończą się o 5-ej... Ale Klein czasami dłużej pozostawał... póki nie skończył wszystkiego... tych dni mianowicie, kiedy nie jeździł na wieś... do żony.

P-r. A! on zatem nie codziennie jeździł do żony?

W. Nie co dzień.

P-r. Bardzo dobrze!. Więc tego dnia — wyszedł z banku po piątej?

W. Nie... tego dnia wyszedł przed piątą...

P-r. Pan mówiłeś, że o 5-ej kończą się zajęcia.

W. Tak... ale zrzadka — wobec letniej pory — kiedy mniej było do roboty — wychodziliśmy wcześniej.



P-r. I pan tak dobrze pamiętasz, że tego dnia wyszliście wcześniej?

W. Tak... Z powodu moich imienin... Prosiłem Kleina na obiad... do restauracji... To był mój mały *rewanż*.

P-r. Bardzo dobrze!.. Teraz, przypominasz pan sobie, że zeznawałeś, iż Klein opuścił pana pod pretekstem, że z jakimś lekarstwem idzie do domu... Prawda?

W. To nie był pretekst!.. Jego służący był chory!.. On zaniósł mu jakiś środek domowy... Zdaje się *rabarbarum*. Wstępowałem z nim razem do apteki.

P-r. Ale pan z nim razem do domu nie poszedłeś?

W. Nie... ale oczekiwałem go w sklepie tytoniowym naprzeciwko...

P-r. A zatem pan przyznajesz, że Klein tego dnia w porze obiadowej sam zachodził do domu... Tak?

W. Tak! (głosem pewnym). Ale on *tego* nie mógł *wtedy* zrobić!

P-r. To pańskie osobiste zdanie.

W. Moje osobiste zdanie, ale jestem tego pewny. Ja mówiłem to już sędziemu śledczemu.

P-r. Zobaczyłeś go pan potem w restauracji?

W. Tak.

P-r. W 20 minut potem... lub w półgodziny?

W. Niel.. myśmy razem poszli do restauracji.

P-r. A pan na niego w każdym razie oczekiwałeś długo?

W. Niel! bardzo krótko!.. Prawie natychmiast.



P-r. O, już i „natychmiast“!.. Przecie musiał wejść w podwórze na drugie piętro... potem zejść... przyjąć do sklepu... Z kwadrans czasu to zabrało... hę?

W. Nie! nie!.. jestem pewny... Nie tak długo. Nie zdążyłem wypalić papierosa — a już wrócił!..

P-r. No, zapewne pan na zegarek nie patrzyłeś.

W. Nie patrzyłem... jednakże jestem pewny!..

P-r. A może się pan mylisz, że on wtedy zaszedł do domu... Może nie zaszedł.. Ot, oczekiwałeś pan na niego... Chciał iść — i zawrócił... Dlatego panu tak szybko czas przeszedł... Może on poszedł — do domu już po obiedzie — „podchmielony“?.. Co?..

W. Nie! stanowczo nie! Pojechał na kolej!

P-r. No, pan widziałeś tylko, jak on pojechał do kolei. Na banhof nie odprowadziłeś go pan?

W. Nie. Ale pożegnałem go w chwili, kiedy wsiadł do dorożki.

P-r. Mógł przecie zajechać po drodze do domu.

W. Nie mógł!..

P-r. Pan, zdaje się, tak napewno nie twierdziłeś tego u sędziego śledczego?

W. Nic innego nie powiedziałem.

P-r. Ja panu przypomnę. Mówiłeś pan: „Zasiedzieliśmy się w restauracyi. I Kleinowi prawie nie opłacało się jechać na kolej, na co zwróciłem jego uwagę.“ No — więc cóż? Przypominasz pan..

W. Jednak powiedziałem, że pojechał na kolej. Sędzia śledczy tak zapisać był powinien!..

Prezes. (wmieszawszy się). Tu zapisano: „On widocznie pojechał na kolej.“



W. Tak... *widocznie!*..

Prokurator. A zatem *nie napewno* — tak się tylko *przywidiło*.

W. Nie, *napewno!* — *widziałem*, jak on pojechał.

P-r. Niech i tak będzie!.. Ale przecie mógł po drodze zajechać do domu?

W. Powiedziałem już... to niemożliwe!

P-r. O! czemuż zaraz aż niemożliwe?

W. To wcale nie po drodze. Dom na Grochowej, Restauracja, gdzie jedliśmy obiad, na rogu Włodzimierskiej i Newskiego.

P-r. A banhof?

W. Banhof kolei Finlandzkiej.

P-r. Może dorożkarz zawrócił przez Newski?

W. Nie!.. Z pewnością nie!.. Widziałem, jak pojechał w stronę Litiejnej!.. Zatem we wprost przeciwną, niż dom Kleina. Jestem tego pewny...

P-r. Czy pan nie jesteś zbyt pewny?

W. (zarumieniony z oburzenia). Nie!

P-r. Tymczasem nie mam więcej pytań...

\*

Prezes. Świadek, podsądny zatem jechał do żony, tak?

Wołkow. Tak ona mieszkała w lecie zwykle „na daczy.“

P-s. Gdzie mianowicie?

W. W „Jeziorkach.“

P-s. I podsądny jeździł do niej codzień?

W. Prawie codzień. Nazajutrz wracał rannym pociągiem i wprost przychodził do Banku.

P-s. Czy podsądny mógł sobie pozwolić na ten wydatek wobec skromnych swoich środków?



W. O, on urządzał się tanio. A zdrowie jego żony wymagało tego. Ona z trudem znosiła powietrze petersburskie latem.

P-s. (do adwokata). Panie obrońco, masz pan pytania?..

A d w o k a t. <sup>\*</sup> Świadek, <sup>\*</sup> zechciejcie mi <sup>\*</sup> proszę powiedzieć, czy Klein był dobrym mężem?

W. Wzorowym!

A-t. A czy pan znałeś dobrze życie małżeńskie Kleina?

W. Sadzę, że tak! W ciągu ośmiu lat byłem przyjacielem ich domu. Co środę i co niedzielę — z wyjątkiem letnich miesięcy — obiadowałem u nich. Znam ich życie od pierwszego dnia ich ślubu. I dlatego jestem oburzony (reflektuje się)... chciałem powiedzieć zboleały... że teraz to oskarżenie tak niemożliwe... tak nonsensowne... wobec tego, co... (reflektuje się) Zresztą, nie wiem, czy mogę opowiedzieć?..

(Patrzy na prezesa).

Prezes. O czym?

W. Chciałem opowiedzieć o życiu Kleinów.

P-s. Naturalnie... naturalnie... Możesz pan mówić. To nas interesuje.

W. (przez chwilę pociera czoło dłonią, jakby zbierał myśli; potem wzruszonym głosem uroczysto rozpoczyna opowieść. Oczy często zachodzą mu łzami).

Jadaliśmy zawsze z Kleinem obiad w jednej restauracji. Już wtedy — przed wielu laty — nawiązywały się pomiędzy nami węzły przyjaźni. Pewnego dnia — w grudniu — lat dziewięć temu —



poprosił mnie o pożyczkę. Miałem pensje dwakroć większą od niego. On pobierał wtedy 50 rubli miesięcznie. Spytałem, na co potrzebuje pieniędzy? Ze łzami w oczach opowiedział mi, że pragnie zaopiekować się czternastoletnią sierotą, córką kobiety zamieszkałej w meblowanych pokojach — gdzie on też mieszkał — zmarłej na suchoty galopujące. Mała Milena nie miała nikogo — żadnych krewnych, przyjaciół, znajomych — przynajmniej w Petersburgu. Jej matka przyjechała tu... na naszą mroźną północ... Chciała wyblagać, by pozwolono jej jechać na Sybir, za mężem skazanym do ciężkich robót... za jakieś polityczne przestępstwo. Nazywała się Łacka... Polka... Krewni wyparli się ich... Ograbili jej męża... skorzystali z wysyłki... Coś w tym rodzaju... Trudno dojść... Niepraktyczna kobieta bez żadnych środków, bez protekcji, tłukła się po różnych kancelariach. Nie umiała trafić, gdzie należy. Nie znała języka. Zmarło się jej w środku poszukiwań... Zostawiła dziecko na opiece Bożej... Klein zajął się dziewczyną.. Była w jednej, wytartej sukieneczynie, niemal bez koszuli. Choroba matki pochłonęła wszystko, co mogły mieć obie. Dziewczynce wypadłoby zemrzeć na bruku... z głodu i chłodu, Klein zaopiekował się nią... Pomagałem mu... My dwaj tylko z dzieckiem odprowadziliśmy zmarłą na cmentarz. Klein opłacił trumnę; pogrzeb... To był, panowie sędziowie, najsmutniejszy dzień mojego życia — aż do dnia, kiedy Kleina zaarrestowano!..

Znaleźliśmy małej miejsce usługującej w mleczarni. Klein codzień rano i wieczorem chodził tam na mleko. Mogę zapewnić, że stosunek jego do tej



dziewczyny był jak najczystszy... czysty, jak te łyżki, któremi teraz płacze. (Oczy przysięgłych ze współczuciem zwracają się w stronę podsądnego, który, ukrywając twarz w dłoniach, cicho płacze). Pokochałem Kleina wtedy za to!...

Po roku oświadczył mi, że ma zamiar się ożenić. Z kim?... Z Mileną. Zwróciłem uwagę jego na to, że pomiędzy nim a nią jest różnica lat dwudziestu. Odpowiedział mi, że dziewczyna przywiązała się do niego — i że ją kocha. Znudził mu się żywot kawalerski.

Prezes. (przerywając). Pan widział wtedy Milenę?

W. Naturalnie.

P-s. Czy była fizycznie rozwinięta?

W. Nie bardzo... Była trochę krucha... i blada..

P-s. Miała zarodki suchoty po matce?

W. Nie... Nie sądzę... Jest zdrowa...

P-s. Jednak mówiłeś pan, że latem przebywać musi na letniem mieszkaniu.

W. Tak. Oddech ma nieco słaby. Może to i dziedziczne.

P-s. Zwracałeś pan uwagę Kleina na to, że jego narzeczona nie jest dość rozwinięta... jak dla stanu małżeńskiego?

W. Otwarcie mówiąc, tak.

P-s. Cóż on na to?

W. Mówił, że ją kocha... i że ma nadzieję, iż ją uszczęśliwi...

Z ławy podsądnych wydziera się gwałtowny szloch. Klein spada pod ławkę. Słychać histeryczne krzyki i bicie głową o podłogę.



Robi się popłoch. Wszyscy powstają z miejsc. Prezes zarządza półgodzinną przerwę. Woźny biegnie po wodę. Śród publiczności słychać okrzyki politowania. Przysięgli, przechodząc do swego pokoju, ze współczuciem spoglądają na omdlałego Kleina, którego adwokat i „prystaw“ starają się przywrócić do przytomności...

## 10 JESZCZE O PRZESZŁOŚĆ.

Po przerwie.

Prezes. (do podsądnego). Czujecie się lepiej?

Podsądny. (cichym, zbolałym głosem). Tak.

P-s. Możemy już słuchać sprawę dalej? Jesteście w stanie, podsądny?

P-ny. Tak.

P-s. Usiądźcie. (Zwracając się do ławy świadków). Wołkow! Opowiadaj pan dalej. Jednak staraj się pan być możliwie treściwym.

Adwokat. Jabym prosił — dla charakterystyki podsądnego — aby świadek miał prawo, nie krępowany..

P-s. Pańskie pretensje są niesłuszne. Ja nie ograniczam podsądnego. Tylko, ponieważ on lubi „pogadać“, proponuję mu, aby opuszczał rzeczy niepotrzebne...

A-t. Dotąd nie było takich.

P-s. (namarszczył brwi — po namyśle). Zre-sztą... może pan masz słuszność... Nie można wiedzieć, co przyda się następnie... Życzyłem sobie tylko, aby świadek sam kontrolował siebie...

Wołkow. Będę treściwy... Krótko mówiąc, Klein postawił na swoim. I muszę przyznać, że







W. (zlekka zarumieniwszy się) Czasami — w niedzielę — stawiano dla mnie — wyłącznie dla mnie — to był przywilej przyjaźni — butelkę węgierskiego. Zdarzało się, że nalewałem Kleinowi kieliszek — ale jeżeli wypił, popadał w stan dziwnego pobudzenia — skarżył się na ból głowy — potem kładł się spać. Klein nie pijał i nie grał w karty — uważam go za wzór umiarkowania pod każdym względem!

Prezes. (wmieszawszy się) A jednak wtedy, kiedy go pan częstowałeś szampańskim, nie wy mówił się...

W. Wypiliśmy jedną butelkę — ze względu na moje imieniny... Zresztą szampańskie — co za wino! Dziecku można dać!...

P-s. Tak? (do prokuratora) Ciągnij pan...

Prokurator. Oto odmalowałeś pan życie Kleina, jako wzór, ideał... Jednak u sędziego śledczego mówiłeś pan coś innego...

W. (zarumieniony). Nie może być!.. Chyba mylnie zapisano...

P-r. (do prezesa). Prosiłbym o odczytanie świadkowi ustępu na str. 48 w tomie II.. u góry...

Prezes. (czyta). „Życie małżonków Klein znałem blisko, jako ich przyjaciel i gość. Żyli ze sobą dobrze. Spory zdarzały się między nimi rzadko.“... Czy to pańskie słowa?

W. Tak... to mogłem powiedzieć...

P-s. Więc zapisano dobrze?

W. (milczy).

Prokurator. A zatem spory bywały?...

W. Panie prokuratorze! Jeżeli w ciągu wieloletniego okresu zaobserwowałem rzadko kilka dro-



bnych sprzeczek... lub nawet jakieś jedno poważne nieporozumienie... to chyba miałem prawo powiedzieć, że ich życie małżeńskie było idealne!...

P-r. Oh, zaraz idealne!.. A jednak pan sam wspominasz o jakimś poważnym nieporozumieniu.

W. (zarumieniony). Ach, to nic!..

P-r. Jednak pan nie zapomniałeś o niem.

W. Bo to było coś dziwnego!

P-r. Co było dziwnego?

W. Oni... (urywa).

P-r. Czemu pan nie kończy?

W. ...nie rozmawiali ze sobą...

P-r. Długo?

W. Miesiąc... może dłużej...

P-r. Nie znasz pan powodu nieporozumienia?

W. Nie.

P-r. Pański przyjaciel nie mówił panu?

W. Nie... Prosił, abym nie pytał.

P-r. A pani Klein nie skarżyła się przed panem?

W. Nie... Ona zamykała się... Nie wychodziła zupełnie z pokoju.

P-r. A nie wiesz pan, kto był winien nieporozumieniu?

W. Nie wiem.

P-r. On, czy ona?

W. Nie wiem.

P-r. I pan nie starałeś się dowiedzieć?

W. Ja szanuję cudze tajemnice!..

P-r. A jak to dawno było?

W. Kilka lat temu...

P-r. Czy nie możesz pan przypomnieć kiedy?...





P-s. A kiedyś pan wyjeżdżał?

W. Cztery lata temu.

P-s. A trzy lata temu wyjeżdżałeś pan na urlop?

W. Nie.. Zresztą tak.. ale tylko na dwa tygodnie... do krewnych...

P-s. A czy wiadomo wam, świadek, że Klein otrzymał z banku awans Rs. 500?

W. Tak... słyszałem,

P-s. Nie wiesz pan, na co?

W. Wiem... Klein mi mówił.

P-s. Na cóż?

W. Na dobry uczynek.

P-s. Dla kogoż były te pieniądze?

W. Dla... (wacha się. Nagle:) dla ojca pani Klein.

P-s. Mówiłeś pan, że on był na Sybirze.

W. Uciekł do Japonii!

Chwila milczenia.

P-s. Podsądny! Więc te pieniądze... posłaliście teściowi — czy wydaliście na operację?..

Podsądny wstaje, milczy.

P-s. Cóż jest prawdą?..

Podsądny. Te pieniądze... (nagle) Nie pamiętam...

P-s. Nie pamiętacie?! — No, możecie sięść... Panowie przysięgli mają jakie pytania?

\* \*  
Przysięgli. (z zadartym nosem, z bujną blond czupryną, słynny szachista klubowy). Jak podsądny grywał w szachy?

Lekki śmiech w sali.

W ołk ow. Dawałem mu zawsze konia *for*.



Przysięgły. (z przerażeniem). Przez !osiem lat!

W. Tak... prawie zawsze przegrywał.  
Wesołość ogólna.  
Przysięgły Ja nie mam więcej pytań.

\* \* \*  
Starszy przysięgły. Mówiłeś pan o jakimś lekarstwie... dla służącego Kleinów... tak?

Wołkow. Tak dla starego sługi... Pietrowa...

S. P. Więc oni służącej nie mają?

W. Owszem od kilku lat mają starą służącą, Martę.

S. P. A zatem mają dwie osoby do służby?

W. Niezupełnie... Pietrow jest raczej na łaskawym chlebie... zwłaszcza w ostatnich latach. To także dowód wdzięcznego serca Kleina!

S. P. Jaki dowód?

W. To cała historia. Opowiedzieć? (patrzy na prezesa).

Prezes. Jeżeli panowie przysięgli życzą sobie.

Kilku przysięgłych. Prosimy!

W. (podniósł oczy w górę, przez chwilę zbiera wspomnienia). Klein jest synem zamożnego obywatela guberni Liflandzkiej. Pewnego dnia, jakaś obłąkana chłopka — tak mi opowiadał Klein — podpaliła dwór jego ojca, stodoły, obory... Spłonęło wszystko... spłonęło kilkanaście włók wspaniałego lasu... Spalił się ojciec Kleina, wdowiec...

Mówiono, że chłopka mściła się czegoś... Młody Klein o mało co życia też nie postradał. Wywniół go z ognia z narażeniem życia kuchcik pański... towarzysz zabaw dzieciennych... właśnie Pietrow!



Kiedy Pietrow, jako ochotnik, udał się na wojnę turecką, Klein stracił go na długo z oczu. Przed kilku laty przypadkowo odnalazł go w jakimś szpitalu — i wziął na łaskawy chleb. Spłacał dług wdzięczności. Było to jednak poświęcenie warte tamtego. Bo Pietrow jest alkoholikiem. Ma ataki *delirium tremens*. Trzeba się nieraz opiekować nim, jak dzieckiem. Podlega napadom dziwacznej śpiączki, która ciągnie się czasem przez dni kilka. Opiekować się tym chorym jest nadzwyczaj trudno. Zresztą cudów kuracyi dokonała pani Klein, która tego dzikiego i chmurnego dawnemi czasy człowieka potrafiła oswoić i ukrócić. Ostatniemi laty Pietrow pod jej wpływem bywał całe miesiące trzeźwy. Z domu jednak rzadko wychodził — doskwiera mu stara rana w nodze. Nie przeszkadza mu to być chwilami niezmiernie wesołym. Jego prostacki humor — gra na bałajce i anegdotki wojskowe — jak już, zdaje się, mówiłem — bawiły nas niejednej Niedzieli...

Starszy przysięgły. Więc to dla niego Klein niósł lekarstwo?..

W. Tak jest... dla niego... Stary popadł znowu w stan swej śpiączki... Tym razem jednak...

Prezes. (wmieszawszy się) Świadek... coś, zdaje się, poplątaliście... Po cóż Klein niósł mu lekarstwo — jeżeli Pietrow zapadł w stan śpiączki?..

W. Pan prezes wybaczy, tu niema żadnej plątaniny.

P-s. Jakto, niema plątaniny?

W. Klein wszedł na górę, aby zanieść lekarstwo — a kiedy wrócił, powiada do mnie: „na



nic mu teraz lekarstwo... Zasnął". Dlatego właśnie Klein *zaraz* wrócił!

P-s. Czy pan to dobrze przypominasz?

W. Tak. Jeszcze prosił mnie w restauracyi, abym pod jego nieobecność zajrzał do chorego. Powiedział: „Wczoraj zdawało mu się, że umiera.“ Nawet przypominam sobie, powiedział: „Lepiej by było dla niego, żeby umarł.“

P-s. Czyż tak bardzo był chory?

W. W przededniu miał znowu atak *delirium*. Ot, pan prokurator pytał czemu Klein był rozstrojony i smutny... Sądzę, że choroba Pietrowa tak go bolała...

P-s. Jednakże zostawiał chorego bez opieki?

W. W domu pozostawała lokatorka Kleinów, francuzka. Zresztą opiekowały się nim sąsiadki, służące z przeciwka. Lubiono go w całym domu za grę na bałalajce... Zwłaszcza sługi i — dzieci.

P-s. (do starsz. przys). Czy pan ma jeszcze jakie zapytanie?

St. Prz. Tymczasem nie... Zwłaszcza, że świadek, zdaje się, jest bardzo znużony.

W. (ocierając pot z czoła chustką). O, bardzo!

P-s. A zatem posłuchajcie, Wołkow; teraz jesteście wolni. Ale jutro rano macie stawić się w sądzie... (zwracając się do ławy świadków). To samo stosuje się do wszystkich innych świadków przesłuchanych — których nie uwolniłem zupełnie... A teraz (zwracając się do przysięgłych) — czas i nam wszystkim odpocząć — porządnie późno — ogłaszam przerwę do dnia następnego... do 11 rano!..

---



## Drugi dzień procesu.

---

.....

### 11. „TAK WYGLĄDAŁ.”

Wysoki urodziwy chłop, z twarzą zuchowatą, ogorzałą, z bujnym włosiem, z mądrymi niebieskimi oczami, wyprostowany, śmiało patrzy i czeka pytań. Odpowiada z widoczną rozwagą - acz prędko.

Prezes. Wasze nazwisko?

Świadek. Mitiucha Kodłubajew!

P-s. Wasze zajęcie?

K. Młodszy stróż w domu p. Koroliewa przy ulicy Grochowej.

P-s. Drugi młodszy stróż?

K. (dumnie). Pierwszy!.. Iwan Afanasjew, drugi...

P-s. Kodłubajew! Czy pamiętacie dzień! 13 lipca zeszłego roku.

K. Piątek 13 lipca — pamiętam dobrze.

P-s. Czemu ten dzień zapamiętaliście tak dobrze?

K. Starszy wyjechał.. Dyżurowałem w domu. Dzień był, jak „pełna czara.”

P-s. Co? co?..



K. W jeden dzień aresztowali syna sztabkapitańskiej wdowy Agatona Saweljicza, okradli szczęśliwie porucznika Rozenkranca, Praskowia Matwiejewna, kucharka generałowej von Böhm od frontu pomyślnie urodziła dwojaczki, na Pietrowa naszła ostatnia śpiączka i August Edwardowicz przedziurawił dziewczynkę. (Szczrzy zęby i śmieje się).

P-s. Ot, o tem ostatniem co wiecie?

K. Nic nie wiem. Nie byłem przytem.

P-s. (do prokuratora). Chcesz pan badać świadka?

Prokurator. Kodlubajew! czy znacie podsądnego?

K. Nasz lokator... Ot to-ć i jest — August Edwardowicz.

P-r. Posłuchajcie teraz uważnie, Kodlubajew, i odpowiadajcie z uwagą.

K. Gotów!

P-r. Czy widzieliście podsądnego tego dnia?

K. Widziałem — dwa razy.

P-r. Kiedy widzieliście go po raz pierwszy?

K. Rankiem... Jeszcze przed dziewiątą... W bramie stałem. Naprzód przeszła ich „guchwernantka“...

Jeden z przysięgłych. (mimowoli przerywając). Kto? kto taki?..

K. Margarita Zuffrun!.. ta, co u nich pokój w tamto lato najmowała... A zaraz potem przeszedł August Edwardowicz..

P-r. Czyście mówili z nim?

K. Mówilem.

P-r. Co mianowicie?

K. Że do żony poprzedniego dnia nie po-



jechał. Powiadał, że tera na dwa dni jedzie. Nakazywał, żeby mieszkania pilnować.

P-r. A czy nie wyjaśniał, czemu poprzedniego dnia nie pojechał?

K. Ja sam wiedział.

P-r. Czemu?

K. Ich służący Pietrow w wigilję, wrócił „w najlepszym stanie.“ napił się „do zielonych czortów.“ Urządził hałas na całe podwórze. Nawet szybę w kuchni rozbił. Francuzka bała się zostać z nim sama. Ot, i gospodarz ostał się.

P-r. Cóż jeszcze mówił?

K. Mówił, że Pietrow uspokoił się. I chciał mi dawać jakąś kartkę do apteki. Ale ja wymówił się. Starszego nie było. Afanasjew drwa rąbał. Ja musiał pilnować we wrotach. P. Klein ręką machnęli i poszli...

P-r. Po lekarstwo?

K. Nie wiem.

P-r. Czy zauważyliście w nim coś niezwykłego?

K. Jakby smutny był... Jednak nie to, co drugi raz.

P-r. A jakież był za drugim razem?

K. Jakiś całkiem „osobny.“

P-r. Cóż mówił?

K. Nic nie mówił.

P-r. A wy mówiliście do niego?

K. Nie mówiłem.

P-r. Więc cóż w nim było takiego „osobnego“?

K. Ni to błąd — ni czerwony... Nie odgadniesz... I bardzo prędko szedł...



P-r. Czy nie zeznawaliście u sędziego śledczego, że zdawało się wam, iż „jakby uciekał.“

K. Tak.

P-r. W ubraniu jego zauważyliście coś? Pamiętacie.

K. Tak podniósł kołnierz palta na uszy, i kapelusz nasunął na głowę. Jakby chował się!.. Jak potem głos poszedł po podwórzu, że „grzechu natorwono“ — tak zarazem sobie powiedziały: sumienie miał ciężkie.

P-r. Więc on z bramy wychodził?

K. Z bramy.

P-r. A wchodzącego nie widzieliście go?

K. Nie.

P-r. A czy długo staliście w bramie wtedy?

K. Długo...

P-r Długo — przedtem jak Klein wyszedł, czy potem?

K. Nie zapamiętałem.

P-r. Jednak z kwadrans staliście we wrotach, nim Klein wyszedł?

K. Z kwadrans? — będzie!

P-r. I nie zauważyliście w tym czasie Kleina wychodzącego? nie?

K. Nie.

P-r. A czy w waszym domu jest tylko jedna brama?

K. Jedna.

P-r Doskonale!.. A o której godzinie to było?

K. Z wieczora.

P-r. Mniej-więcej... o godzinie?

K. Tak... o siódmej... o ósmej... Późno wieczór!..

P-r. Czy się nie mylicie? Czy to nie było w porze obiadowej.. O piątej?—szóstej?

K. Nie!.. Dziewczynkę zaraz potem znaleźli!..  
(Prokurator rozwódzi ręce — jest widocznie zakłopotany)

\* \* \*

A d w o k a t. (który również zdradza wielki niepokój, marszczy czoło, głowę ścisną rękoma i często popija wodę — naraz do Kodłubajewa ostro:)  
A możecie wcale nie widzieli Kleina tego dnia — po raz drugi?

K o d ł u b a j e w. Jakże nie widziałem?.. Widziałem!

A-t No, przywidziało się wam!.. Ani błady, ani czerwony... To znaczy: żaden... Ot, i nie było go wcale.

K. *Tak wyglądał!*

A-t. Dziewczynkę znaleźli... gadałście o tem z kumoszkami... nasłuchaliście się... wszyscy, mówili: „Klein“ — ot i przyśniło się wam...

K. Jak można, żeby się przyśniła taka rzecz?!

A-t. A piliście tego dnia?

K. (dumnie). Na mnie grzech taki nie ciąży. Starszy piją. Afanasjew piją. A ja nie piję. Całkiem trzeźwy!

A-t. A ot, porucznika Rozenkranca widzieliście tego dnia w domu?

K. Rankiem wychodzącego widziałem, a potem nie widziałem.

A-t. A Maszę widzieliście?

K. Rankiem widziałem, z innymi dziećmi... potem nie widziałem.



A-t. A pana Wasniecowa wyjeżdżającego widzieliście?

K. Nie widziałem...

A-t. A panią Wasniecową?

K. Nie widziałem.

A-t. A panią Jefimienko?

K. Nie widziałem.

A-t. Ot, powiadacie, żeście dyżurowali w bramie — a nie widzieliście nikogo!..

K. Nie cały czas stałem w bramie!.. Pan komisarz zabrał mnie od wrót, jako świadka — do rewizyi. Kiedy siedziałem w mieszkaniu Susłowej — to oczywiście nie widziałem, kto wchodził i kto wychodził. A kogo widziałem, to i mówię... Po cóż nieprawdę mówić będę?! (Jest widocznie urażony).

\*

Jeden z sędziów przysięgłych. (dziennikarz) A rewizja długo trwała?

Kodłubajew. Długo. Przeszukali wszystko. Książki i papiery... szuflady i szafy... i pod podłogą i na piecach... Szukali broni... Myślę przemęczyli się dwie—trzy godziny...

S. P. I cóż znaleźli?

K. A to, to na wierzchu leżało. Pod podłogą i na piecach nic.

S. P. A Susłowa znaleźli?

K. Studenta?.. Nie!.. Sam się znalazł... Na swój los zjawił się pod koniec rewizyi. Zapukał i wszedł. Matka tak aż jęknęła. Powiadała potem jego stara niańka, Aleksandrowa, że chował się w mieszkaniu pustem naprzeciwno, gdzie „remont“ robiono... Ale sam wyszedł... Hardy był... Wchodzi i powiada: „Niczego, matka; nie płacz!.. Znudzilo



mi się chować... Wszystko jedno: przepadać trzeba!..“  
I do nich mówił: „Jestem... bierzcie!..“ No, i zaraz  
go zabrali...

S. P. A to o której było?

K. Trudno przypomnieć... Pod sam koniec  
rewizyi przyszedł... A godziny nie pamiętam...

\* \* \*

Prezes. Kodłubajew! zatem może mylicie się,  
że Kleina widzieliście tak późno wieczorem?

Kodłubajew. Nie... to pamiętam... Było po  
rewizyi długo... Już i Afanasjewa do uczątku wy-  
słałem z meldunkami — i obiad zjadłem i kapecz-  
kę zdrzemnąłem się na drugim podwórku — i  
wtedy już poszedłem do wrót. A pan Klein jak raz  
wychodził...

P-r. Teraz, Kodłubajew, dobrze pomyślcie, za-  
nim odpowiecie. (Świadek podpira się rękoma w  
oba boki i słucha z natężoną uwagą). Czy kiedy  
Klein wychodził, zauważyliście u niego laskę?

K. (przypominając). Zaraz... zaraz...

P-s. Nie spieszcie... Jeżeli nie pamiętacie, od-  
powiedzcie poprostu: nie pamiętam... Czyście długo  
mieli go na oczach, kiedy wychodził?

K. Tak... długo... On przeszedł przez ulicę —  
na drugą stronę... A ja z bramy patrzyłem za nim  
w ślad... Dziwny mi się wydawał... Pomnę... na-  
przeciwko był sklep z papierosami... Tak, zdaje się,  
tam wszedł... Szedł prędko... prędko... O, teraz  
pomnę... Ręce jego kołysały się... Nie! on laski nie  
miał w ręku... Ale coś miał w ręku... jakies zawi-  
niętko... w gazecie... Co, nie wiem.

P-s. Możecie sięść, Kodłubajew.

\* \* \*



Sędzia przysięgły. (dziennikarz, powstawszy, zwraca się do prezesa): Czy Susłow znajduje się wśród świadków?

Prezes. Nie... jest tylko Susłowa, matka.

Prokurator. (do sędziego przysięgłego). Mogę wyjaśnić... Student Susłowej był powoływany... Okazało się według informacji, że zmarł na tyfus w szpitalu więziennym...

## 12. O GODZINIE PIĄTEJ.

Jegomość z długą blond-brodą, z twarzą dobroduszną, z nerwowymi ruchami, z grubym łańcuszkiem złotym od zegarka, na okrągłym brzuszku, kłaniając się sądowi, mówi szybko:

„A mnie wezwano zupełnie niepotrzebnie. Zaluję mocno, ale nie wiem nic w tej sprawie. Wczoraj cały dzień oczekiwałem w pokoju świad...“

Prezes. (z lekką surowością) Nie gorączkuj się pan. Powołano pana, więc widocznie jesteś pan potrzebny sądowi.

Świadek. Sędzia śledczy nie badał mnie... Mam bardzo ważne interesy i zdawało mi się że...

P-s. Oczekuj pan pytań!.. Interesy poczekaają...

Świadek. Przepraszam... Myślałem, że...

P-s. Pańskie nazwisko?

Świadek. Paweł Antonowicz Wasniecowa, kupiec 2-jej gildy.

P-s. Podśledź Kleina znasz pan!

Wasniecowa. Nie!

P-s. Zdaje się, mieszkałeś pan z nim w jednym domu.



W. Tak, to prawda. Ale często wyjeżdżam! Z lokatorami znajomości nie zawieram. Zresztą przelotnie widywałem go na schodach. Nie mam zaszczytu jednak bliżej znać go — i na przyszłość znajomić się nie chcę..

P-s. Poczekaj-że pan! Pamiętasz pan dzień 13 lipca zeszłego roku?..

W. 13 lipca?.. O dobrze pamiętam!

P-s. Dlaczego ten dzień wyryl się w pańskiej pamięci?

W. Dostałem tego dnia bardzo ważną depeszę w interesie... Musiałem jechać natychmiast do Rostowa nad Donem.

P-s. Otóż to nas właśnie interesuje... Czy nie pamiętasz pan, o której godzinie wyjechałeś z domu?

W. Doskonale pamiętam. Pociąg drogi Mikołajewskiej odchodzi o 5—40. Lubię przyjeżdżać na pociąg wcześniej. Wyjechałem — jak zwykle — punkt o 5-ej z domu.

P-s. Bardzo pięknie. To nam było potrzebne. Powiedz-no pan jeszcze, czy nie pamiętasz pan pewnego szczegółu przy odjeździe...

W. Żadnych szczegółów nie było. Wyjechałem, jak zawsze.

P-s. A ot, przypomnij pan dobrze. Kiedy dorożkarz pański ruszał, czy mała dziewczynka...

W. Ach, tak! To pamiętam. Mała dziewczynka — lat 7-miu, — nie więcej — śliczne maleństwo — poprostu aniołek — stała na ulicy i wołała: „Niech mnie pan weźmie.“ Ja — musi pan prezes wiedzieć — sam nie mam dzieci, ale ogromnie je lubię. Otóż wziąłem ją na kolana i trochę podwio-



złem.. Wysadziłem ją o kilka domów dalej na rogu Grochowej i Zagorodnego prospektu...

P-s. Czy pan nie znalazł tej dziewczynki wcześniej?

W. Nie.

P-s. Może jednak widywałeś ją pan wcześniej na podwórzu?

W. Nie! Ja — musi pan prezes wiedzieć — chodzę bardzo szybko — i zawsze zajęty jestem swojemi myślami. Jeżeli mi coś nie wlezie w oczy, to nie widzę.

P-s. A ot, szłyszałeś pan, że w domu, gdzie pan mieszka, zgwałcono dziecko, córkę stróża?

W. Wróciłem w dwa tygodnie potem. Słyszałem, mówili.

P-s. Nie wiesz pan przypadkiem, czy to ta sama dziewczynka została zgwałconą?

W. (klasnąwszy w dłonie). Czy być może!.. Ot podłość!.. Ale to niemożliwe! Widziałem wczoraj w pokoju świadków zgwałconą dziewczynkę. To całkiem inne dziecko. Tamta była pełniutka i różowiotka. To chyba nie ta...

P-s. Jednak może pan przypominasz?

W. Może włosy te same... A tak w całości inne. Chciałem wziąć małą na kolana... dzieciak cofnął się i przytulił do matki...

P-s. Czy strony mają jakie pytania?.. Panowie przysięgli?.. Podsądny?.. (Nikt się nie odzywa). Można świadka zwolnić?.. Tak?.. Świadek, możesz pan oddalić się... do swoich interesów...

W. Prosiłbym jeszcze aby moją żonę przesłuchano. Ona też nic nie wie o sprawie...



P-r. Już to pozostaw pan sądowi. Możesz pan odejść...

W. Dziś mam czas... Poczekam na żonę...

P-s. Jak pan chcesz... To pan możesz...

Świadek siada.

### 13. POCZCIWY SUBJEKT.

Wyrostek lat osiemnastu — w czarnem ubraniu — z twarzą zwyczajną, bez żadnych cech szczególnych — w długich butach — szurając mocno nogami, kłania się sądowi.

Prezes. Wy — Surguczów?

Świadek. Iwan Surguczow. (Cmoka głośno).

P-s. Subjekt?

Surguczow. W magazynie kwiatów Konopliannikowej.

P-s. Zjawiliście się sami do sędziego śledczego?

S. Tak jest... sam.

P-s. No, powtórzcie, coście tam opowiedzieli...

S. Widziałem Maszę Afanasjewą tego dnia, kiedy z nią tak postąpiono.

P-s. Jak?

S. Wiadomo!

P-s. (do prokuratora). Badaj pan.

Prokurator. Opowiedźcie, w jakich widzieliście ją warunkach?

S. Znałem ją wcześniej. Mieszkam w tym samym domu, co Masza... W drugim podwórku... Wyborna była dziewczynka... Rozkoszna!.. śmiała... Sto razy widziałem ją we wrotach...



Czasem biegła sama po ulicy... Zawsze weso-  
lutka...

P-r. A tego dnia, kiedy wypadek się zdarzył?

S. Stoję przed sklepem — i patrzę na prze-  
chodniów... Aż tu...

P-r. A wasz sklep — gdzie się znajduje?

S. Na Grochowej — nawprost samego do-  
mu № 78 między sklepem bakalijskim Mierzliakowa i  
tytuniowym magazynem Siemionowa. Tak ot... sto-  
ję we drzwiach sklepu i patrzę... No, dobrze..  
Wtem do bramy podjeżdża „izwoszczyk“... Dobrze!..  
Siadają do dorożki pan z długą brodą...

P-r. Wasnieców?

S. Nie wiem.

Prezes. Wasnieców, podejdźcie-no bliżej...  
Ten?

S. Nie, nie ten... Tamten był niższy... I bro-  
dę miał mniejszą... i ciemniejszą...

Prezes. Nie mylicie się? Przypatrzcie się  
dobrze...

S. Przypatrzyłem się... Inny...

P-s. Wasnieców, byliście wtedy ostrzyżeni?

Wasnieców. Bardzo możliwe...

S. Wszystko jedno!.. Inny... Ja bym poznał...

Prezes. No, Wasnieców, siadźcie... Surgu-  
czow, opowiadajcie dalej.

Surguczow. (cmoka). Tak... Otóż ten pan  
wsiadł... Dobrze... Służąca postawiła kuferek... Pole-  
ciała... Wtem, niewiadomo z kąd... z pośrodku ulicy...  
biegnie moja Maszeńka... włosy się jej rozsypały...  
Rączki wyciąga... Widzę, pan biorą ją na kolana i  
jadą... No, dobrze.

P-r. To wszystko?



S. Nie... nie wszystko... Stoję... patrzę... Wtem biegnie moja dziewczynka napowrót... Cała poczerwieniała... Naraz pada na środek ulicy... Dobrze!.. Jedzie wóz ogromny z beczkami od piwa browaru pana Charitonowa... Nie.. Niechliujewa... Nie... Charitonowa...

P-r. To nam wszystko jedno!

S. Zresztą zdaje się, Niechliujewa... No, dobrze... Widzę... na dziecko nieledwie najeżdza... Jeszcze moment — dzieciaka zgniotłoby... Podskoczyłem... podniosłem — płacze... Patrzę, nóżkę na kolanie obtarła sobie o kamień... Krew idzie... Żal... Wprowadziłem ją do sklepu... Pani Konopliannikowa nuż uspokajać dziecko.. Obmyła nóżki... jak należy... zimną wodą... Przykładała kompresy... Nawet posłała mnie po plaster do apteki... Pani Konopliannikowa wedle każdego zakażenia jest bardzo uważna... Przyniosłem... Wyleczyliśmy, uspokoiiliśmy dziewczynkę... Znowu śmieje się, jak słoneczko... Wziąłem za rękę i odprowadziłem naprzeciwno... No, i zostawiłem w bramie... A potem już jej nie widziałem... Ot, i wszystko!..

P-r. Ja nie mam pytań.

\* \* \*

A d w o k a t. Apteka, do której chodziliście, gdzie się znajduje?

S u r g u c z o w. Na Kazańskiej.

A-t. Wiele czasu potrzeba na drogę?

S. Od nas?... Nie będzie 10 minut. Myślę, że siedem, osiem...

A-t. A czy dużo czasu upłynęło, nim Masza wróciła?..

S. Nie dużo...



A-t. W każdym razie... z 5, 10...

S. O tak... będzie... najmniej pięć...

A-t. A pani Konopliannikowa długo zajmowała się dziewczynką...

S. O, długo..

A-t. Z kwadrans?

S. Może z kwadrans.

A-t. A która to była godzina?

S. Kiedy?

A-t. Kiedyście widzieli Maszę, odjeżdżającą z tym panem?

S. Tak, w południe.

Prezes. (wmieszawszy się). Jaktó w południe?! Zapomnieliście chyba!

S. Nie... Pamięć mam, chwalić Boga, dobrą.

P-s. Dobrą!.. A jednak zapomnieliście.

S. Nie, nie zapomniałem...

P-s. Może jednak było później...

S. Nie... prędzej wcześniej... Dopiero co zjadłem śniadanie...

P-s. A może -- obiad?

S. Nie, śniadanie! Ja po śniadaniu jadłem jabłko. Jeszcze Maszy dałem.

P-s. Więc według tego sądzicie o czasie?

S. Tak... według tego miarkuję. '

Adwokat. A może daliście małej cukierki?

S. Nie... zdaje się... jabłko...

A-t. A cukierki dawaliście Maszy?

S. Nie raz dawałem

A-t. Jakież?.. Gdzie kupowaliście! Czy obok... w sklepie Mierzliakowa?

S. A gdzieżby?.. To najbliżej... pod ręką...  
A-t. Więcej pytań nie mam.

\* \* \*

Prezes. Panowie przysięgli?

Starszy przysięgły. (patrzy przenikliwie na Surguczowa). A możecie dawali małej wtedy cukierki?

Surguczow. Może cukierki... choć zdaje się, jabłko...

S. P. A zaprowadziliście małą do bramy.., czy może na podwórze?

S. Nie!.. do bramy.

S. P. A może do oficyny?

S. (zarumięniwszy się nagle). Nie, do oficyny nie!.. Do oficyny zaprowadził małą pan Klein.

S. P. Jakto? widzieliście?

S. (bąka). Widziałem.

S. P. Jakto widzieliście?!.. Staliście przecie przed wrotami.

S. (zarumięniwszy się). Nie widziałem...

Prezes. (ostro). Świadek, winniście mówić przed sądem samą tylko prawdę. Za fałszywe zeznanie grozi surowa kara.

S. Ja też mówię, że nie widziałem.

P-s. Dlaczego więc mówiliście inaczej?

S. (milczy).

P-s. Dlaczego?

S. (milczy).

P-s. No?

S. (milczy).

P-s. Dlaczego?! Odpowiadajcie!

S. Nie wiem.

P-s. No, możecie sięść...



14. „KNIAŻ.”

Typowy tatar — głowa okrągła, siwiejące zlekką włosy, krótko strzyżone — oczy błyszczące, ukośne — niskiego wzrostu — o piersiach szerokich. Mówiąc, często bije się w piersi.

Prezes. Wasze nazwisko?

Świadek. Mirza Ochły-Tuchaj-Chadzi. Będziemy „Kniaż.”

Śmiech.

Świadek. (bijąc się w piersi). Sam książę.. najprawdziwszy...

Prezes. Niechaj tak będzie. Cóż wy, książę, wiecie o sprawie?

Tuchaj. Mi nys ne wemy.

Prezes. (do prokuratora). Pański świadek. Zechciej pan badać.

Prokurator. Służycie w sklepie bakaliij Mierzliakowa?

Tuchaj. Ne służimy.

P-r. Jaktó?

T. Mi za mejsce gospodarza. Gospodarz ostawia nam cały kram. Mi i jesteśmy, jak gospodarz.

P-r. Ale firma Merzliakowa?

T. Mi ne wemy żadna firme.

P-r. Szyld Merzliakowa?

T. Szyld jehó! Konesznie!

P-r. I etykiety?

T. (przykładając rękę do ucha) Co—o?

P-r. Jego imię i nazwisko drukuje się na waszych torebkach?..

T. Jehó! Konesznie!

P-r. Kleina znacie?

T. Teho? (pokazuje na podsądnego).

P-r. Tak.

T. Kto go ma snać, jak nie mi... kupowała u nas tuszo... tuszo... Prawi kaszdy dzień!

P-r. Co kupował?

T. Sukierki kupowała.

P-r. Cóż więcej wiecie o Kleinie?

T. Nie wiem więcej. Kupowała tuszo sukierki.

P-r. I cóż więcej?

T (niecierpliwie). I nys więcej... Ja ziwował sze, so ty tyle kupujesz. Mówi: „Kupuje sukierky, a jak jestem smutna, kupuje papyrosy“... Ale so ty tak tuszo kupujesz? — jak mali dżeczak. Pelne kieszeń kaszdy dzień! Mówy: „rostajem dżeczom“. I szmieje sze. Tobra pan! Barso tobra!..

P-r. A ot, 13-go Lipca przeszłego roku kupował?

T. Kaszty prawi dzień kupowała. Tak szemu ne kupić 13 lipca?

P-r. Więc kupował tego dnia?

T. Ja ne wim, so za taki dzień.

P-r. Kiedy dziewczynkę w domu naprzeciw waszego sklepu zgwałcono.

T. Mi ne wemy. Ne nasza sprawa.

P-r. Wcale nie wiecie o zgwałceniu dziewczynki naprzeciwno?

T. Tuszo dżeczynki gwałciły... i tuszo chłopaków gwałciły... A mne wszystko jedno... Ja mam swój magazyn.

P-r. (do prezesa). Prosiłbym o pokazanie świadkowi dowodów rzeczowych.



Prezes. (daje znak woźnemu, który rozcina paczkę na stole dowodów rzeczowych). Pokażcie mu torebkę. (do Tuhaja) Znacie tę torebkę... z cukierkami?

T. Znami... tylko stara...

P-s. Przeczytajcie napis.

T. Cóż?.. Nasza podpys.

P-s. Przeczytajcie.

T. Bakałyjna Merzliakowa. (bije się w pierś). Nasz!

(Woźny pokazuje stronom i przysięgłym torebkę).

P-s. Świadek, jesteście wolni.

T. Za czas stracony dostanemi?

P-s. W kancelaryi...

Tuhaj kłania się i odchodzi.

\* \* \*

Prezes. Katarzyno Pilenko, podejdźcie... Tę torebkę znaleźliście przy Maszy?

K. (ogląda długo torebkę). Juści że tę... Warja śledczemu dała... Chyba-ć nie zamienili...

P-s. Siądźcie... Podsądny, wstańcie. Więc to nie wasza torebka?

Podsądny. (milczy).

P-s. Kupowaliście cukierki u Merzliakowa?

P-ny. (cicho). Kupowałem.

P-s. Więc jakże? to nie wasza torebka?

P-ny. (milczy).

P-s. Ot, Tuhaj powiada, że rozdawaliście dzieciom cukierki.

P-ny. Rozdawałem.

P-s. A Maszy dawaliście?

P-ny. Dawiałem... czasem...



P-s. A 13 Lipca dawaliście?

P-ny. Nie... nie dawałem.

P-s. A dlaczego tego dnia akurat nie dawaliście? Może nie pamiętacie.

P-ny. (milczy).

P-s. Przypomnijcie.

P-ny. (zmęczonym głosem). Nie pamiętam... Zdaje się, nie dawałem. (oczy jego patrzą męczeńsko. Ręką wodzi po spoconem czole).

P-s. Możecie sięść...

#### 15. RACHUNEK CZASU.

Starszy przysięgły, zauważywszy, że podczas przesłuchiwania ostatniego świadka zjawił się na sali Wołkow — zwraca się do prezesa:

— Czy mógłbym teraz zadać kilka pytań Wołkowowi?

Prezes: Wołkow! proszę, podejdź pan...

St. Przysięgły. (do Wołkowa). Chciałem się upewnić co do pewnych kwestyi... Może pan zechce je wyjaśnić.

Wołkow. Słucham.

S. P. Gdzie znajduje się bank, w którym świadek pracuje?

W. Na Fontance, blisko mostu Czernyszewa.

S. P. A dom Kleina na Grochowej — w pobliżu Zagorodnego prospektu... tak?

W. Tak jest.

S. P. Więc droga z banku do domu Kleina trwa mniej więcej?

W. Około dziesięciu minut.



S. P. A czy na długo przed piątą świadek wyszedł owego dnia wraz z Kleinem z banku?

W. O kwadrans... dwadzieścia minut wcześniej... w każdym razie nie dłużej, niż pół godziny.

S. P. Dlaczego świadek to pamięta?

W. Pamiętam.. przychodził ktoś kupować czek... Zwracałem jego uwagę, że przychodzi późno... i spojrzałem na zegar... Było po wpół do piątej... Byłem niezadowolony, ponieważ chciałem zjeść obiad razem z Kleinem przed jego wyjazdem na wieś...

S. P. Klein zaszedł do apteki, razem z panem... Czy tak?

W. Tak jest.

S. P. A gdzie znajduje się apteka?

W. Na Kazanskiej.

S. P. Więc wypadło panom zawrócić?..

W. Tak... To niedługo.. Kilka minut drogi...

S. P. A w aptece długo czekaliście?

W. O ile przypomnieć mogę — niedługo.

S. P. Potem pan rozstałeś się z Kleinem i zaszedłeś do sklepu?

W. Tak jest. Do sklepu tytoniowego Siemionowa naprzeciwko domu Kleina na Grochowej... Tam czekałem na Kleina...

S. P. Doskonale! Świadek jest pewny, że Klein powrócił zaraz?

W. Najwyżej po pięciu minutach...

S. P. Nic osobliwego świadek nie zauważył w Kleinie?

W. Nic... Był trochę smutny i zamysłony... Mówiłem już.



S. P. Potem udaliście się do restauracji na rogu ulicy Włodzimierskiej i Newskiego?

W. Tak jest,

S. P. Ile czasu trwa droga od domu Kleina do restauracji.

W. Minut dziesięć... kwadrans...

S. P. Czy długo siedzieliście w restauracji?..

W. Nie... najwyżej pół godziny... Ledwie coś zjedliśmy...

S. P. A pan, zdaje się, mówileś, że „zasiedzieliście się...“

W. Bo do pociągu zostawało niewiele czasu..

S. P. A o której godzinie pociąg odchodził do „Jeziorków“?

W. O szóstej.. minut 10.

S. P. Czy świadek pamięta to dobrze?

W. Zdaje mi się... tak...

Prezes. (wmieszawszy się). W aktach znajduje się rozkład pociągów kolei Finlandzkiej z roku zeszłego... Pociąg do Jeziorków odchodzi o 6-ej minut 5.

S. P. A może Klein nie zamierzał wyjechać tym pociągiem?

W. Z pewnością tym... Co dzień wyjeżdżał w tym czasie...

Advokat. (wstając). Czy pan prezes nie chce potwierdzić na mocy rozkładu, że następny pociąg odjeżdża dopiero o godzinie 9 minut 20 wieczorem?

Prezes. Tak jest... potwierdzam.

S. P. Świadek twierdzi, że Klein pojechał wprost na dworzec?

W. Inaczej nie mógłby zdążyć... Pamiętam,



że patrzyłem na zegar — i powiedziałem mu, że może się spóźnić. Było zaledwie 20-25 minut do odejścia pociągu. Wziął umyślnie „lichacza„\*)

S. P. Była zatem godzina 5 minut 40 — lub trzy kwadransy na szóstą, kiedy świadek wyszedł z podsądnym z restauracji?

W. Tak jest.

S. P. I świadek widział, że Klein pojechał w stronę kolei?.. Czy napewno nie zawrócił do domu?

W. Napewno!.. A, jeszcze przypominam sobie — Klein mówił mi, że żałuje, iż nie ma czasu wpaść do domu... Obiecał przywieść żonie ciepłe okrycie na chłodne wieczory... Był niepocieszony z tego powodu. Tak! tak!.. krzyknął mi z dorożki, żebym wstąpił po okrycie do jego mieszkania i przyjechał do nich nazajutrz..

S. P. Cóż pan na to?

W. Nie obiecałem... Powiedziałem: jeżeli znajdę czas.

S. P. A pan byłeś zajęty?.. Wszak nazajutrz było święto.

W. Pielęgnowałem chorą ciotkę.

S. P. Dziękuję panu. Więcej nie mam...

Prezes. Wołkow, możesz pan sięść...

## 16 ZA PRĘDKA JAZDA.

A d w o k a t. (powstając) Pragnąłbym uczynić, oświadczenie panom przysięgłym (prezes daje znak przyzwolenia). Prosiłbym panów przysięgłych o zwrócenie baczonej uwagi na niektóre cyfry, dotyczące czasu ze świadectwa Wołkowa, mianowicie...

---

\*) Dorożkarz 1-ej klasy.



Kilka głosów z ławy przysięgłych. Zapisaliśmy wszystkie.

Adwokat. A, tem lepiej!. Nie będę więc ich przypominał... Zastrzegam sobie wnioski z nich w mowie obrończej. A tymczasem (zwracając się do prezesa) mam honor prosić o dołączenie do sprawy Numeru 195-go „Petersburskiego Echa“ z dnia 14 Lipca 1908 roku i ogłoszenie pewnej wiadomości z miejskiej kroniki... (podaje gazetę przez woźnego)... Zakreślone ołówkiem.

Prezes. A to... w dowód czego?

A-t. Na dowód, że Klein pojechał istotnie na kolej, jak twierdzi Wołkow.

P-s. (czyta głośno):

„ Za prędką jazda: Wczoraj około godziny 6-ej wieczorem dorożkarz, skręcający pędem z Litejnego mostu na Wyborską stronę, najechał na starą kobietę, imieniem Agłaję Fiodorową, którą dyszłem wywrócił. Na szczęście szlachetny koń nie potracił kopytami upadłej, która, znalazłszy się pomiędzy kołami pojazdu, opłaciła ten wypadek tylko lekkim potłuczeniem. Oburzona publiczność zatrzymała dorożkę i nie chciała jej puścić dalej, dopóki jadący nie wylegitymował się paszportem. Jest to niejaki pan Klein, urzędnik bankowy. Tłomaczył się on tem, że spieszył na kolej. Jeżeli już panowie urzędnicy banku poczynają rozjeżdzać się tak, jak zwykli jeździć pp. oficerowie, to biada ludności petersburskiej.“

Adwokat z tryumfującym uśmiechem spojrzął na prokuratora i usiadł.



17. PORUCZNIKOWI ZDAWAŁO SIĘ.

Młody oficer w mundurze z aksebantami — ubrany bez zarzutu — mocny brunet o rysach regularnych, orlim nosie, oczach czarnych, których blask uderza zwłaszcza w danej chwili wobec niezmierniej błądności twarzy. W głosie drżenie. Widocznem jest, że stara się okazać najwyższy spokój.

Prezes. Pańskie nazwisko?

Świadek. Aleksander Aleksandrowicz Rosenkranc.

P.s. (do adwokata). Prosił pan o wezwanie tego świadka. Zechciej pan badać.

Adwokat. Pan powoływany byłeś w tej sprawie do sędziego śledczego w charakterze *świadka?* (akcentuje mocno ostatni wyraz).

Rosenkranc. Tak jest. Ale oświadczyłem, że w tej sprawie nic mi niewiadomo.

A-t. Jednak oświadczyłeś pan, że znasz pan Kleina.

R. Niemal nie znam.

A-t. Wszelako pozwolę sobie przypomnieć panu... Powiedział pan, że on panu „bardzo nie podobał się“ i że „przypuszczasz“ pan, iż to on „jest winien tej zbrodni.“

R. Możliwem jest, że to powiedział.

A-t. Więc pan nie cofasz tych słów?

R. (przez cały czas nie użyczając ani jednego spojrzenia adwokatowi). Nie cofam.

A-t. Jakto?! „Niemal nie znasz“ pan człowieka i decydujesz się pan przypuszczać, że ten jest zdolnym do przestępstwa, za które grozi katorga!.. Jakże to?!



R. Widywałem go na schodach...

A-t. (ironicznie). Cóż z tego?.. Toć nie każdy człowiek, którego widzimy na schodach, zdolny jest do gwałcenia dzieci...

R. Wydawało mi się, że jakoś „osobliwie“ spoglądał na młodą dziewczynę, dziecko prawie, usługującą u lichwiarki, mieszkającej nad nami.

A-t. Korowinej?

R. Zdaje się, tak się nazywa.. Dewotka i lichwiarka.

A-t. Jakże to „osobliwie“ spoglądał na nią?

R. Pożądliwemi oczyma.

A-t. Pan zatem, panie poruczniku, inaczej na nią spoglądałeś?

R. (w stronę prezesa, mocno). Zdaje mi się, że na to pytanie mogę nie odpowiedzieć.

Prezes. Panie obrońco! zabraniam panu dawać pytania w tej formie.

A-t. (zlekka zapłoniwszy się). Panu porucznikowi *zdawało się*, że podsądny patrzy osobliwie na młode dziewczęta. Mnie wydawało się, że mogę skonstantować, iż świadek patrzył na młode dziewczęta inaczej.. Nie widzę tu..

Prezes. Proszę nie wchodzić ze mną w spory.

A-t. Ja tylko...

P-s. Powiedziałem już... A pan zastosuj się. Badaj pan dalej...

A-t. (zagryzłszy wargi pochyła głowę — i zwraca się do świadka — zawsze z ironią). A może pan widziałeś Kleina *owego* dnia na schodach?.. Może pan z tego wnosi, że...

R. (zapłoniwszy się mocno). Nie... nie widziałem.



A-t. A pan byłeś *tego* dnia w domu w godzinach popołudniowych?

R. (głos mu drży). Nie...

A-t. Może pan zapomniałeś. To było 13-go Lipca.. Więc pan *napewno* nie byłeś?..

R. (wzburzony). Powiedziałem już... I powtarzać nie będę. Sądzę, że to pytanie jest nie na miejscu!

Prezes. Panie poruczniku, proszę się nie burzyć. Ja tu jestem... I jeżeli obrońca zada panu pytanie niewłaściwe, moim obowiązkiem będzie zwrócić jego uwagę... nie pańskim!..

A-t. (ze zjadliwym uśmiechem). Pan zatem twierdzisz, że 13 Lipca w godzinach popołudniowych w domu nie byłeś? Nie miałeś pan czasu?..

R. Wyjaśniałem to już u sędziego śledczego.

A-t. Tak... tak... Ale panowie sędziowie przysięgli nie słyszeli... My tu kontrolujemy śledztwo pierwiastkowe. Świadek wybaczy, że muszę go nużyć... (Mocno) Wszakże tu chodzi o los człowieka!..

R. Nie widzę związku... Zresztą!.. Odpowiem: 12 Lipca wieczorem otrzymałem rozkaz stawienia się nazajutrz w kancelaryi Ministra spraw wewnętrznych o godzinie 10-ej zrana. Były nieporządki w więzieniu po drugiej stronie Newy. Miałem oczekiwać zleceń, które winienem był zawieść naczelnikowi więzienia.

A-t. Zawiozłeś pan?

R. (dumnie). Kiedy mamy rozkazy, to je wypełniamy. Obowiązek służby!

A-t. Kiedy pan wyjechałeś z ministerstwa?

R. Po piątej... Ostatni wyszedłem z ministerstwa. Pamiętam, przyjęcia skończyły się.



A-t. Czy tylko napewno?

R. (milczy, gryząc wargi).

A-t. Dlaczego świadek milczy?

R. (rzucając na adwokata pełne irytacji spojrzenie). Ja przywykłem mówić napewno. Może pan inaczej...

Prezes Panie poruczniku, proszę pana zachowywać spokój... A pan, panie obrońco, nie zadawaj dwa razy tych samych pytań. (ostrzej). Inaczej nie pozwolę panu badać świadka.

A-t. Ja spełniam swój obowiązek.

P-s. Możesz go pan spełniać w należytej formie. Uprzedzam pana...

A-t. (skonfundowany, rozwodzi ręce). Postaram się.. (do świadka). A z ministerstwa udałeś się pan dokąd?

R. (z lekkim drżeniem w głosie). Powiedziałem już... Pojechałem z rozkazem do więzienia.

A-t. Naturalnie wprost?

R. (milczy).

A-t. (do prezesa). Nie wiem, czy mogę zadać pytanie świadkowi, czy nie zajeżdżał do domu?

Prezes. Świadek już to wyjaśnił. (do świadka). Nie zajeżdżałeś pan do domu?

R. (twarz jego zdradza cierpienie). Nie. (Ciężko oddycha).

Prezes. Niepotrzebnie pan się burzysz...

R. Prosiłbym o uwolnienie mnie od tego rodzaju pytań. Wiem, do czego obrońca zmierza!

P-s. To panu powinno być wszystko jedno. My *wszyscy* dążymy tu do wyjaśnienia prawdy. To pana gwarantuje dostatecznie, (Do obrońcy). Kończ pan badanie..



A-t. Do więzienia zatem przybyłeś pan — o której?

R. O wpół do szóstej. Ponieważ sędzia śledczy pragnął tę kwestję wyjaśnić, wskazałem świadków mojego *alibi*.

A-t. (patrząc zjadliwie z podełba). Ale wszakże pana powoływano w charakterze świadka, nie podsądnego. Cóż pan opowiadasz o jakimś *alibi*!..

R. (zmieszany). Jednak... któraś z kobiet, dających świadectwo w tej sprawie naplotła, że jakoby rozmawiał z nią nazajutrz o zgwałceniu Maszy... i opowiadał, jakoby widział właśnie *owego* dnia Kleina na schodach... Zdaje się, Aleksandrowa, służąca Susłowej... Zaprzeczyłem temu... Widoczne było jakieś nieporozumienie... Chcąc położyć mu kres, wskazałem świadków — i oburza mnie, że to nieporozumienie ponownie...

Prezes. Prokurator wywołał pańskich świadków. A dlatego mógłbyś pan odpowiadać spokojniej. Sąd nie zaniebwał niczego dla wyjaśnienia prawdy...

A-t. (jakby mimowoli). Szkoda tylko, że Aleksandrowa nie zjawiała się w sądzie bez należytej przyczyny

P-s. Żałować, lub nie — to pańska prywatna sprawa!.. Zresztą pan wszakże protestowałeś przeciw ogłoszeniu świadectwa Aleksandrowej.

A-t. (zarumieniony). A to inna rzecz... Korzystałem z mego prawa...

P-s. (niecierpliwie). Masz pan jeszcze pytania?

A-t. Mam... (do świadka). Jak długo jedzie się z ministerstwa do więzienia?

R. Minut 25 -- najwyżej pół godziny...



A-t. Pan wzięłeś „lichacza“... naturalnie?

R. (z przekąsem). Naturalnie!

A-t. A może ten prędzej jedzie?..

R. (milczy).

A-t. A może pan pojechałeś na welocypedzie?

Prezes (surowo). Ja panu nie pozwolę rozpytywać w ten sposób.

A-t. Nie mam więcej pytań (siada).

P-s. Czy kto ma zapytanie? (ogląda się po sali) Nie?.. Możesz pan sięść, panie poruczniku.

A-t. Ośmielam się prosić o wydalenie świadka z sali na czas badania kilku następnych świadków... Może okazać się potrzeba konfrontacji.

P-s. Dobrze... panie poruczniku, zechce pan poczekać w pokoju świadków.

#### 18. SZWAJCAR MINISTERSTWA.

Wysoki, szerokoplecy, imponującej budowy, pewny siebie Wielkorus, o karych oczach i długiej kasztanowatej brodzie, składa sądowi pełny szacunku ukłon nie bez poczucia godności własnej.

Prezes. Wasze nazwisko? zajęcie?

Świadek. Dymitr Teofanowicz Zacharyn, szwajcar przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Prezez. Co wiecie o sprawie?

Zacharyn. Nic, Wasze P-stwo!

Prezes. (do prokuratora). Pański świadek! Prokurator Znacie porucznika Rosenkranca?

Z. Znam.

P-r. Czy często bywa w Ministerstwie?

Z. W zeszłym roku zachodził — parę razy... Wtedy widziałem go.



P-r. Może przypominacie sobie taki wypadek: porucznik Rosenkranc przybył bardzo wcześnie... oczekiwał w poczekalni kilka godzin... i wyszedł bardzo późno?..

Z. Pamiętam dobrze.

P-r. Dlaczego zapamiętaliście tak dobrze?

Z. Siedział prawie od rana... chodził, jak bąk... paznokcie gryzł... Mocno niecierpliwił się... Czekał na kopertę... I wyszedł ostatni...

P-r. Mówiliście sędziemu śledczemu, o której godzinie wyszedł... Czy teraz nie przypominacie?

Z. O piątej... Było latem... Przyjęcie się skończyło... proszących już nie było... Pamiętam dobrze...

P-r. A nie pamiętacie, jakiego to dnia było?

Z. Dnia?.. Nie zapamiętałem. Latem.

P-r. A może przypominacie sobie, co porucznik mówił?

Z. Przez telefon?.. nie słyszałem!

P-r. Nie przez telefon... ale do was.

Z. Do mnie — nic. A ot, przechodził „stołonaczalnik.“ Z nim to rozmawiał.

P-r. Cóż rozmawiał?

Z. Coś mówili o nieporządkach w więzieniu... Powiadał, że czeka na rozkazy... Zapytywał, czy nie można przyspieszyć?

P-r. A co więcej?

Z. Więcej nic.

\* \* \*

A d w o k a t. Nie zauważyliście, w jakim był usposobieniu.

Z. Paznokcie gryzł... i chodził, jak bąk... Powiedziałem już... A innego usposobienia nie widziałem.



A-t. A do was nic nie mówił?..

Z. Nic... Tyle chyba, że pytał kilka razy, czy nie telefonowano do niego.

A-t. A przez telefon mówił?

Z. Mówił. Kiedy dzwonili i pytali o niego, ja go sam prosiłem do telefonu.

A-t. A kto dzwonił?

Z. A ja to z kądem mam wiedzieć?

A-t. A co mówił porucznik?

Z. Nie wiem... Jest budka telefoniczna. Nie można słyszeć. I to — nie byłem ciekaw.

Prezes. Siadźcie!..

## 19. NACZELNIK WIĘZIENIA.

Łysy, z ogromną głową, z oczyma błękitnemi, z zaniedbaną brodą, w dobrze poplamionym i wygniecionym mundurze ze szlifami rangi kapitańskiej, oficer wchodzi z hałasem brzęcząc szpadą. Przedstawia się sam:

— Piotr Maksymowicz Feodosjenko.

Prezes. Czy nie pamiętasz pan, panie kapitanie, nieporządków, które miały miejsce w zeszłym roku w więzieniu X. Wszak pan jesteś naczelnikiem tego więzienia, tak?

F. Pamiętam... Wybornie pamiętam... Była głodówka wśród politycznych... A kryminaliści, podburzeni przez tych, wdarli się do kancelaryi... wyłamali drzwi, okna... popsuli telefon... gaz... Czort wie, co narobili... Nie wiedzieć, z kądem wzięli broń... Wypadło oblegać ich regularnie...

P-s. Kiedy to było, pamiętasz pan?

F. Głodówka trwała cztery dni... A bunt dwa dni...



P-s. Datę pamiętasz pan?

F. Pamiętam... Z powodu tej historii o ma-  
ło nie straciłem miejsca. Aż wyjaśniło się, że jes-  
tem tu całkiem bez winy. 12-go i 13-go Lipca. Od  
rana do wieczora. Okropne dni!

P-s. Przywieziono panu jakiś rozkaz?

F. A przywieziono... Przywiózł porucznik Ro-  
senkranc... Telefonem nie można było porozumieć się.  
Aresztanci zepsuli.

P-s. Którego dnia przyniósł porucznik rozkaz?

F. 13 Lipca.

P-s. Godziny nie pamiętasz pan?

F. Wpół do szóstej.

\* \* \*

Prokurator. Pan wskazałeś tę samą godzi-  
nę u sędziego śledczego... Oczywiście pan to do-  
brze pamiętasz.

F. Doskonale!.. Mam wyborną pamięć... Daj  
Boże każdemu!.. Punkt o wpół do szóstej.

P-r. Dziękuję panu. Więcej nie mam...

\* \* \*

Adwokat. Powiadasz pan, panie kapitanie,  
że były nieporządki... Jako naczelnik więzienia, mu-  
siałeś pan przechodzić pewne wzruszenia... Wobec  
tego zdawałoby się, że niełatwo było zauważyć czas...  
A pan tak ściśle określasz godzinę!..

F. A, bo miałem zamiar przedsięwziąć pe-  
wne środki!..

A-t. Jakie środki?

F. Miałem przygotowaną rotę żołnierzy... (za-  
trzymuje się). Zresztą sądzę, że to tajemnica służ-  
bowa... i nie jestem obowiązany... (prezes pochyła  
głowę twierdząco).



A-t. O, jeżeli to tajemnica służbowa, to nie czynię zamachu na nią! Mnie interesuje tylko pańska zadziwiająca ścisłość co do godziny wręczenia panu rozkazów... A to chyba nie tajemnica?..

F. Rozporządzenie z ministerstwa nie nadchodziło. Była kwestja, czy ustąpić pewnym żądaniom aresztantów, czy nie... Dałem im dla uspokojenia się i złożenia broni czas do piątej -- potem jeszcze przedłużyłem termin o pół godziny. O pół do szóstej punkt — kiedy miałem rozpocząć akcję, przyjeżdża porucznik Rosenkranc. Gdyby spóźnił się o minutę, rozpocząłbym kanonadę!

A-t. (uśmiechając się). To, zdaje się, służbowa tajemnica.

F. (nie zauważając ironii). Tak, to służbowa tajemnica. Więcej powiedzieć nie mogę.

A-t. I pan jesteś pewny, że to było o wpół do szóstej?

F. Jeżeli coś powiadam, to znaczy, że to jest pewne!

(Adwokat chmurzy się, ręką pociera czoło, nie może ukryć swego niezadowolenia).

Prezes. (do świadka). Możesz pan sięść.

Adwokat. (zerwawszy się nagle). Czy mogę zadać świadkowi jeszcze jedno pytanie?

P-s. Panie kapitanie pozwól pan jeszcze...

A-t. Czy świadek nie może mi powiedzieć, która godzina jest teraz?..

F. (ostro). Zechciej pan spojrzeć na swój zegarek.

Prezes. (do obrońcy). To pańskie zapytanie wcale nie jest na miejscu.

A-t. Przepraszam (stoi chmurny).

\* \* \*



Starszy sędzia przysięgły. (uprzejmie). Gdybyśmy jednak... wobec życzenia obrony... bardzo prosili świadka o powiedzenie, która jest godzina... na jego zegarku?..

Feodosenko (dobrodusznie). Cóż?.. jam gotów! (śmieje się, wyciąga zegarek... zarumienił się... Mruczy do siebie:) Nie... to być nie może... (głośno z zażenowaniem). Proszę mi wybaczyć... Zegarek mi stanął.

Śmiech na ławach przysięgłych i wśród publiczności.

St. Prz. A pan wtedy według swojego zegarka naznaczałeś termin?..

F. Według swego! Prawie zawsze doskonale chodził!

Advokat. (podkreślając) Prawie! (siada z tryumfującym uśmiechem)...

S. P. Czy porucznik długo został u pana?

F. Wypełniłem polecenie władzy... Zrobiło się pewne ustępstwa... nastąpił porządek... Myślę, że to zajęło z pół godziny... Porucznik czekał na mnie na więziennym podwórku...

S. P. Czekał? Po co?

F. Udał się potem za mną do mnie...

S. P. Na cały wieczór?

F. Tak...

S. P. Często bywa u pana?

F. (uśmiechając się). Myślę, że często...

S. P. I pan nie myli się, że to było 13 Lipca?.. Może nieporządki były i kiedyindziej?..

F. Zdarzały się... Ale to było wtedy... Ten dzień jest mi osobliwie pamiętny...

S. P. Z jakiego powodu?



- F. Związanego z osobą porucznika...  
S. P. A to jak?  
F. Porucznik tegoż dnia oświadczył się o rękę mojej córki.  
S. P. Ach! więc jest pańskim zięciem?  
F. Nie... tymczasem nie... Córka moja przyjęła oświadczyzny... Ja też...  
S. P. Cóż więc stało na przeszkodzie?  
F. Tymczasem wciąż jeszcze są zaręczenia. Matka zażądała, aby narzeczony poczekał. Moja Lidja jeszcze bardzo młoda. Niedawno dopiero ukończyła szesnasty rok...  
Sensacja. Śród publiczności przyciszony szept. Prezes ogłasza przerwę...

## 20. SPOTKANIE NA SCHODACH.

Dziewczyna lat czternastu, piętnastu, z ładnie skrojonym buziaczkiem, z bystremi oczkami, umyta, ale ze znakiem węgla na policzku, widocznie zrobionym już po umyciu, z masą włosów ciemnych na zgrabnej główce, rozczochrana, ale z mnóstwem wstążeczek we włosach, obdarta, jednak z kokieteryjnie zarzuconą na szyi kolorową chustką. Kryje usta w chustce, aby powstrzymać się od śmiechu.

- Prezes. Barbara Gargolina? Tak?  
Świadcząca. Warja!  
P-s. Czemu odeszliście wczoraj z sądu?  
Warja. (śmiało) Głowa bolała. Pan „prystaw“ puścił:  
P-s. Ale mieliście wrócić za półgodziny?  
W. Nie można było...



P-s. (z udaną surowością). Jakto nie można było? Trzeba było!

W. Pani nie puściła.

P-s. Jaka pani?

W. Elżbieta Izidorówna. Musiałam ją terpentyną wytrzeć. Była zmęczona po sądzie (śmieje się). A i dziś nie puściła mnie wcześniej... Nastawiałam samowar dwa razy..

P-s. (machnąwszy ręką). No, innym razem powiedzcie waszej pani, że rozkaz sądu ważniejszy. Co wiecie o sprawie?

W. (chowa twarz w chustkę i śmieje się). Opowiedzieć?.. Nie mogę... Wstyd!

P-s. Opowiedzcie jak umiecie.

W. Katarzyna krzyczała... krzyczała...

P-s. No... i pobiegliście...

W. Nie, naprzód pani zamknęła drugi pokój, gdzie są fanty, na żelazną sztabę. A potem poszliśmy.

P-s. I cóż zobaczyłyście?

W. Masza... leżała... Nie mogę opowiadać, jak... (chowa twarz w chustkę i śmieje się).

P-s. (marszcząc brwi surowo). Cóż tak zabawnego ujrzałyście?

W. (momentalnie przestała się śmiać. Ma łzy w oczach). Niel.. biedna Masza!.. Ja wtedy bardzo płakałam... O, bardzo!

\* \* \*

Prokurator. Powiedzcie, cóście znalazły przy Maszy?

Warja. Leżała laska... pod nóżkami.

P-r. Czyja to była laska?

W. (pokazując palcem na podsądnego). A ot!







W. Też. Porucznik mówił, że jestem bardzo ładna (śmieje się),

A-t. Czy przedpokój p. Kleina jasny?

W. Nie, ciemny,

A-t. A ot, powiadacie, żeście laskę dobrze obejrze-  
li? W ciemności?

W. Ja widziałam ją i na schodach.

A-t. Na schodach?

W. Widziałam ją tego samego dnia... w rękach p. Kleina... na schodach...

A-t. Jakiego dnia?

W. A co to z Maszą *tamto* zrobiono!...

A-t. I obejrze-  
liście laskę w ręku pana Klei-  
na?!... No, a przecież p. Klein trzymał za rączkę...  
Jak mogliście obejrzeć figurkę?

W. A ja uciekałam na górę... Ktoś.. ktoś...  
chi... chi.. chi.. pocałować mnie chciał... Wleciałam  
na p. Kleina. I potknęłam się... o jego laskę... La-  
ska wypadła... Zeskoczyłam i podniosłam... Poda-  
łam p. Kleinowi. I wtedy dobrze widziałam.

A-t. To było z pewnością tego dnia?

W. Tego!

A-t. Rano?

W. Nie, nie rano.. Ja rano nie wychodzę...  
W obiad.

A-t. O której godzinie?

W. Nie wiem. Nie mam zegarka.

A-t. Pan Klein schodził na dół?

W. A schodził!

A-t. Oddaliście mu laskę?

W. Oddałam...

A-t. I to było tego dnia?

W. A mówię!



A-t. Więcej nie mam. (Siada — pociera czoło, zakłopotany — coś zapisuje).

Sędzia przysięgły. (dziennikarz). A kto to was pocałować chciał?

Warja. Chi... chi... chi... Powiedzieć?

S. P. Powiedźcie!

W. Porucznik Rosenkranc!

(Wielkie wrażenie, kilka osób powstało).

S. P. I to z pewnością było tego dnia?

W. Z pewnością!

S. P. Porucznik szedł na górę?

W. Na górę.

S. P. Wszedł do swego mieszkania?

W. Nie... zatrzymał się naprzeciwko... i zadzwonił.

S. P. A kto mieszka naprzeciwko?

W. A Wasniecowy!

S. P. Więc zadzwonił do Wasniecowych? Widzieliście?

W. A widziałam. Przegięłam się przez poręcz i widziałam.

S. P. A może to było kiedyindziej?

W. Ale gdzie tam!... Tego dnia, co pan Wasnieców wyjechał...

S. P. Czy kto otworzył porucznikowi?...

W. Nie wiem... Zaraz poszłam... Moja pani czekała... Musiałam iść...

Starszy przysięgły. Posłuchajcie, Warja... Powiadacie, że p. Klein patrzył na was „dziwnie“... i porucznik patrzył „dziwnie“... A może na was wszyscy dziwnie patrzyli?... Tak się wam zdawało?



W. Nie... nie wszyscy.

S. P. No... np. Pietrow?!... Jakże on patrzył? Też dziwnie?

W. Nie... Pietrow był dobry... On tylko wstążeczki zabierał mi z włosów... Ale za to grał mi na bałajce...

S. P. A po co mu były wstążeczki?

W. Nie wiem... On... on... on się... (zaczyna płakać).

Prezes. Czegoż ty, Warja, płaczesz?... Czy to ty byłaś przy Pietrowie, kiedy był doktor?...

W. (kiwa głową i płacze).

P-s. (do przysięgłych). Rozstrojona... Jeżeli okaże się potrzebną, można będzie potem zapytać. A tymczasem... możesz sięść, Warja!...

\* \* \*

Prezes. (do Wołkowa). Wołkow, podejdźcie bliżej... Znasz pan tę laskę?

Wołkow (zbliżywszy się do stołu dowodów rzeczowych, cicho, ale głosem pewnym). Tak... To moja laska.

P-s. Jakto?!... pańska?!...

W. Tak. Była moja... Klein bardzo prosił. Podarowałem mu ją w dzień jego imienin parę lat temu...

P-s. Aha!... posłuchaj pan teraz... postaraj się przypomnieć... Czy owego dnia... 13 lipca... widziałeś pan tę laskę w rękach pańskiego przyjaciela?... Przypomnij pan...

W. Zdaje mi się, że... (długo się namyśla).

P-s. Świadek, winniście sądowi powiedzieć całą prawdę, nie kierując się pobudkami przyjaźni, ani żadnymi ubocznymi względami.



W. Kiedyśmy wyszli z banku, Klein miał tę laskę... Napewno!

P-s. Czemu pan to zapamiętał?

W. Przypomniałem: kiedy Klein płacił w aptece za lekarstwo, położył laskę na ladzie. Aptekarz przyglądał się... figurka bardzo mu się podobała... Powiedział, że chciałby posiadać taką samą laskę. Wskazałem mu sklep.

P-s. A w restauracji... miał Klein laskę?

W. (długo milczy... naraz blednie... rzuca na podsądnego spojrzenie, w którym znać mękę przerażenia i zdumienia... Wreszcie odpowiada cicho). Nie!

Prezes. Czy pan to dobrze pamiętasz?

W. Tyle czasu przeszło... Czy można taki drobiazg pamiętać... Ale ja myślę, że... laska musiała zostać w domu! Toć-że ją potem znaleźli przy Maszy!

P-s. A jak pan sobie to objaśnia?

Wołkow. (szczerze). Ja z tego wszystkiego nie rozumiem nic a nic...

\* \* \*

Prezes. (do podsądnego). Klein! Mówiliście u sędziego, że ta laska nie jest wasza... Czy utrzymujecie to i nadal?.. Nie bacząc na to, że poznała ją Gargolina... i wasz przyjaciel, Wołkow?.. Jakże?

Podsądny. (przyciszonym głosem, rozwarte oczy utkwione w prezesa). Moja.

Wrażenie na sali.

P-s. A zatem teraz przyznajecie to... (z lekką ironią). No, ale dlaczego nie poznaliście jej wprzód?

P-ny. (jest blady. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Oczy zmętniały). Pokazywano mi tę las-



kę u sędziego śledczego. Mówili że znaleźli ją *tam* (zacina się).

P-s. Więc obawialiście się przyznać do niej? Czy tak?

P-ny. (kiwa głową. W oczach jego stoją dwie wielkie łzy).

P-s. A jakże to, podsądny, wyjaśnicie, że ta laska — wasza laska — znalazła się *tam?!..*

P-ny. (rozodzi ręce, głowę pochylił, milczy).

P-s. Wzięliście laskę tego dnia do banku?.. Tak?.. No, a potem, gdzie ją zostawiliście?..

P-ny. (milczy).

P-s. No, możecie sięść... Nie jesteście obowiązani odpowiadać.

## 21. ZAPŁAKANE OCZY.

Urodziwa kobieta — blondyna z błękitnymi oczami — o ciepłym kolorycie twarzy — z dołeczkami na policzkach — ze spojrzeniem zlekka wyzywającym — ubrana elegancko.

Prezes. Nazwisko pani?

Świadcząca. Wiera Michajłowna Wasniecowa.

P-s. Co pani wie o sprawie?

Wasniecowa. Nic... nic... chyba to, co służy plotkowały... opowiadano w całym domu... Biedne dziecko!.. Właściwie mnie ani męża nie było w tedy w domu... Mąż mój wyjechał do Rostowa, a ja *natychmiast* — *natychmiast* po jego wyjeździe — do Terjoków... do mojej przyjaciółki...

P-s. O której godzinie mąż Pani wyjechał?

W-a. Około piątej.



P-s. A pani...

W-a. (lekko rumieniąc się). Prawie zazaz po nim...

P-s. Pański świadek, panie obrońco.

A d w o k a t. Pani wyjechała z dworca drogi Finlandzkiej. Tak?.. pociągiem o 6-ej... Tak?

W-a. Tak jest... zdaje się o tej godzinie pociąg odchodził. Brałam tego dnia udział w teatrze amatorskim... na cel dobroczynny... Spieszyłam... Zaraz po odjeździe męża udałam się na pociąg.

A-t. Czy nie widziała pani przypadkiem w pociągu Kleina?

W-a. Nie przypominam sobie.

A-t. Pani zna Kleina?

W-a. Widywałam go na schodach... Kłaniałam się... Ale nie mówiłam z nim... Przynajmniej nie pamiętam...

A-t. A czy nie przypomina pani pewnej sceny... na podwórzu... Pewnego dnia stanęła pani i przypatrywała się, jak p. Klein... rozdawał dzieciom cukierki.

W-a. Tak... tak... Dzieci otoczyły go, wyciągały ręce i krzyczały... Stałam i śmiałam się... Bawił mnie ten widok... Zdaje mi się, że wtedy coś mówiłam z p. Kleinem... o dzieciach...

A-t. (przez chwilę pomówiwszy z podsądnym szeptem). Bardzo dobrze!.. Otóż czy nie przypomina sobie pani, że p. Klein nie mógł sobie dać rady z hałasującą dziatwą... I dał paczkę cukierków *najstarszej* dziewczynce... A ona rozdała słodczyce innym dzieciom...

W-a. Tak, przypominam.

A-t. Czy nie widziała pani, że dawała je Maszy, córce stróża?..

W-a. O, tego nie pamiętam.



A-t. Ale ona tam była?

W-a. Zdaje mi się...

A-t. Czy to nie było *tego* dnia, kiedy zgwałcono Maszę?

W-a. Sądzę, że to było znacznie dawniej.

A-t. A może *tego* dnia?.. Może pani zapomniała?

W-a. Zdaje mi się, że owego dnia... nie widziałam Maszy.

A-t. Ale to w każdym razie pani pamięta, że p. Klein posługiwał się do podziału słodczy między dzieci — starszą dziewczynką.

W-a. Tak...

A-t. Jakie wrażenie sprawił na pani wówczas Klein?.. Czy rozpustnika, zarzucającego sieci na małe dziewczęta?..

W-a. O, nie!.. Przyzwoite!.. Choć... (urywa).

Prezes. Choć co?

W-a. Choć nie sądzą, aby pani Klein była z nim szczęśliwa.

P-s. Z czego to pani wnosi?

W-a. Widziałam ją raz u adwokata do spraw rozwodowych, Zielonego, w poczekalni... Była zapłakana...

P-s. Mówiła z nią pani wówczas?

W-a. Widziałam, że nie jest usposobioną do rozmowy... Zresztą znałam ją tylko z widzenia.

P-s. Kiedy to było?

W-a. Kilka lat temu... Roku nie pamiętam...

Adwokat. A ot pani także była u adwokata Zielonego. A to chyba nie dowodzi... żeby pani rozwodziła się z mężem.. i nie była szczęśliwa...

W-a. (zapłonią). Ja miałam sprawę spadkową.



A-t. A więc i pani Klein mogła mieć sprawę spadkową!

W-a. Ona... miała oczy zapłakane...

A-t. Może oplakiwała spadkodawcę?

W-a. Nie wiem... Może... Może myliłam się... Ale tak mi się zdawało...

A-t. A porucznika Rosenkranca zna pani?!

W-a. Widywałam na schodach... Mieszka naprzeciwko nas... Kłaniał się...

A-t. Czy nie bywał u Państwa?..

W-a. Kiedyś zachodził... Miał jakiś interes do mego męża... Znajomość przelotna...

A-t. Dziękuję pani... Więcej pytań nie mam.

## 22. PRZEZ TELEFON.

Młoda dziewczyna, figlarna, rumiana, brunetka, ubrana czysto, zalotnie — zgrabna, ruchliwa, z oczyma kocimi. Rzuca ciekawe spojrzenie na wszystkie strony, szybko odwracając głowę i kręcąc się na miejscu. Mówi z akcentem polskim.

Prezes. Nazwisko wasze?

Świadcząca. Sasza.

P-s. Tylko Sasza?!

Św. (zapłoniwszy się). Aleksandra Winnicka.

P-s. Co wiecie o sprawie?

Sasza. Nie było mnie wtedy w domu. Pani puściła mnie.

P-s. Chodziliście tego dnia na strych?

S. Chodziłam... Wieszłam bieliznę...

P-s. Zapomnieliście klucza?

S. (poblądźszy). Zapomniałam... Ale nie jestem



winna... Pani zawołała z dołu, żeby prędko... Zbiegłam i zostawiłam klucz... w drzwiach..!

P-s. Czemu nie wróciliście zamknąć strych?..

S. Zapomniałam na śmierć... Ubierałam się... Pani pozwoliła mi iść do Letniego ogrodu... Zniosłam rzeczy panu... I całkiem zapomniałam.

P-s. Kiedy pan odjeżdżał, widzieliście Maszę?.. Pojechała z nim razem?

S. Surguczow opowiadał potem na naszym podwórzu. Ja nie widziałam. Podałam rzeczy pana „izwoszczykowi“ — i poszłam...

P-s. Nie widzieliście zatem owego dnia Maszy?

S. Owszem widziałam ją... na krótko przedtem... Kiedy biegłam do podjazdu w naszym domu... do telefonu,...

P-s. Gdzie widzieliście ją?

S. Na podwórzu...

P-s. Nie zauważyliście —jadła cukierki?

S. Nie, stała na beczce pod oknem Susłowej... wdrapała się po kupie cegieł... sama... i zaglądała w okno... Pamiętam, krzyknęła do mnie; „Sasza... obać!.. lewizja“... Dziewczynka była bardzo mądra... Ot teraz — zgłupiała.

Prezes. (do obrońcy). Pan prosiłeś o wezwanie tego świadka. Pytaj pan...

A d w o k a t. (zakłopotany, rozwodząc ręce). Właściwie.. myślałem, że... (do świadka). Więc *po wyjeździe* p. Wasniecowa nie byliście na strychu?

Sasza. Nie.

A-t. A pan Wasniecow wyjechał o której?

S. O piątej.

A-t. Pani zawezwała was, żebyście rzeczy panu znieśli?



S. Nie... żebym telefonowała...

A-t. A więc to może było po wyjeździe pana?..  
Przypomnijcie dobrze, czyście nie byli na strychu  
*później*... To bardzo ważne!..

S. Nie... Pan wyjechał o piątej... a pani wy-  
wołała mnie z góry wcześniej...

A-t. Dobrze!?!.. Na zegarek patrzyliście?

S. Nie, nie patrzyłam... Ale pani mówiła, że...  
(ucina).

A-t. Cóż pani mówiła?

S. (milczy).

A-t. Więc jakże?

S. (bełkocze). Telefonowałam że... (ucina).

A-t. Do kogo telefonowaliście?

Prezes. Jesteście obowiązani mówić sądowi  
całą prawdę. Za fałsz, lub ukrywanie prawdy, pra-  
wo karze surowo.

S. Kiedy pani zawezwała mnie... (urywa,  
niespokojnie kręci się... zapłoniona zamilkła).

Jeden z sędziów nachyla się do ucha preze-  
sa i coś mu szepce, poglądając na ławę świadków.

Prezes kiwa głową — zwraca się do świad-  
ków.

Świadkowie przesłuchani są tymczasem nie-  
potrzebni... mogą wyjść... Po przerwie jednak pro-  
szę się zjawić... A p. Wasniecowa i p. Wasnieco-  
wa — (zwraca się do stron i przysięgłych) — zda-  
je się nie będą nam potrzebni... zatem są wolni...  
Możecie iść do domu... (świadkowie wychodzą.  
Wasniecowa zdąża ku drzwiom szybkim krokiem.  
Wasniecowa, ociągając się, idzie za nią).

\* \* \*



Prezes. No, może teraz odpowiecie obrońcy..

Sasza. (czerwieniąc się mocno, bąka). Telefonowałam... Pani kazała... telefonowałam do ministerstwa, żeby... żeby..

P-s. Żeby co?..

S-a. Żeby pan porucznik... Rosenkrańc... żeby nie przychodził *przed piątą*.. ale żeby *po piątej* zaraz przyszedł... i nie spóźnił się, bo pani jedzie do Terjoków... wedle amatorskiego przedstawienia!

P-s. Cóż?... Porucznik przybył?

S-a. Nie wiem... Zniosłam rzeczy... Pan pojechał na prawo... Ja poszłam na lewo... Pani została sama..

A-t. U sędziego śledczego nie mówiliście tego wszystkiego?

S-a. Nie pytano mnie o to...

A-t. Mówiliście, że nie pamiętacie kiedyście zeszli ze strychu..

S-a. Dokładnie nie pamiętam... I było niezręcznie mówić.. Myślałam, że pani... (raptownie urywa).

A-t. Ja więcej nie mam.

P-r. Nie mam pytań.

Prezes. A z kąd wiedzieliście, że porucznik jest w Ministerstwie?

S-a. (zarumieniona). Porucznik, rano wychodząc, przesłał liścik przez Aleksandrową... Aleksandrowa oddała mnie, a ja pani... jak zwykle...

### 23. ŻEGNAJ, MASZA!

Stara kobieta z gładko przyczesanemi, srebrnemi włosami, chorobliwie pełna, z podwójnym



podbródkiem, mówi wolno, głosem płaczącym, ciężko, astmatycznie dysząc).

Prezes. Jak nazwisko?

Świadcząca. Wdowa sztabs-kapitana Anastazja Leonidówna Susłowa.

P-s. Co pani wie o sprawie?

Ś. Mój Boże, nic... nic...

P-s. Panie obrońco, świadek wezwany na pańskie życzenie... Badaj Pan...

A d w o k a t. Czy pani zna podsądnego Kleina?

S-a. O, znam... dobrze znam... kilka lat znam... Zawsze był człowiek porządny i spokojny... Wszystkie sługi w całym domu mówią: on zrobił, on!... Aleksandrowa, moja kucharka mówiła: „on... nikt inny, tylko on!“ A mnie serce powiada: „Nie... nie on!“ Nie uwierzę, żeby on... Poczciwy... I co do syna przestrzegał mnie: „Takie książki — powiedział — czyta, że tak i bacz, przyjdą, zabiorą go pani... Tam nie lubią takich książek.“ Ot i przepowiedział prawdę... Zabrali... i już nie wróci nigdy! (Ociera oczy chusteczką).

A-t. Tego samego dnia, kiedy dopuszczono się zbrodni na dziecku stróża, była u pani rewizja. Wszak tak?

S-a. A tego samego.

A. Czy nie przypomina sobie pani, jak długo trwała rewizja?..

S-a. Kilka godzin... kilka godzin...

A. Nie pamięta pani, o której się skończyła?

S-a. O, słabą głowę mam... słabą!...

A. Czy widziała pani Kleina owego dnia?

S-a. Widziałam... Przez okno widziałam...

A. Wychodził z domu, czy wchodził?



S-a. Wychodził... tak, tak... wychodził. . Przez okno widziałam, jak szedł od naszej sieni... ku wrotom... Jeszcze zatrzymał się przy oknie szewca, co jest obok bramy... Coś mówił z szewcem... I poszedł..

A. O której godzinie to było?

S-a. O, nie pamiętam...

A. Jednak nie z rana?

S-a. O, nie zrana... Reumatyzm mam w nogach.. Wstałam późno... Jak komisarz z żołnierzami przyszedł... Nie rano...

A. Nie przypomina pani sobie.. dokonywano u pani rewizji wówczas, gdy pani Kleina widziała?

S-a. Nie pamiętam, gołąbku... nie pamiętam. Dużo wody upłynęło od tego czasu...

A. Pani stała przy oknie podczas rewizyi?

S-a. I przy oknie... i nie przy oknie... Patrzyłam w okno i podczas rewizyi... i potem... kiedy mojego jedynaka wyprowadzono przez wrota... Długo patrzyłam... łzawemi oczyma patrzyłam...

A. Czy zauważyła pani w wyglądzie Kleina coś niezwykłego?...

S-a. Nic... nic..

A. Szedł... czy biegł?

S-a. Szedł... Nie biegł... nie...

A. Nie był zgarbiony?

S-a. A nie... Po co?

A. Nie chował głowy w kołnierz?

S-a. A gdzie tam! Nie chował... Nie...

A. A Maszę widziała pani tego dnia?

S-a. Widziałam... Wprzód stała na beczulce... i zaglądała w okna moje... potem pobiegła...



Iskierka! Mój syn lubił ją bardzo... I ona jego... Pamiętam, jakby to dziś było, jak syn mój, wychodząc, uśmiechnął się do małej i zawołał jej: żegnaj Masza! — to był ostatni jego uśmiech i ostatnie jego słowa.. Zaraz potem znikł mi we wrotach za żołnierskimi mundurami... Jakby jeszcze w otwartym oknie stoję i słyszę... Och, ciężko!... ciężko (znowu ociera łzy). Skołatana moja głowa!..

\*  
\*  
\*  
Prokurator. A czy Klein pożyczał pani pieniądze?

S-a. Pożyczał... czasem pożyczał... Na komornie... jak nie starczyło mi.

P-r. Dużo...

S-a. Po rubli 25... czasem 30... Pożyczał... Uczynny był człowiek... I szkoda go... zmarnował się w więzieniu na nic... na nic... (Patrzy na pod sądny ze współczuciem).

\*  
\*  
\*  
Jeden z sędziów przysięgłych. Więc świadcząca twierdzi stanowczo, że Klein nie mógł tego uczynić?

S-a. Nie można uwierzyć, żeby on... Lubił dzieci.. I Maszę bardzo lubił... Widziałam nieraz, jak dawał dzieciom cukierki.

S. P. A czy nie dawał przypadkiem dzieciom laski?

S-a. Poczekajcie... Przypomnę... Dawał Tak, dawał... Widziałam raz przez okno — dzieci rysowały coś na piasku w ogródku — a on przechodził... Śmiał się do nich i podał im laskę...

S. P. Czy to nie było owego dnia, kiedy zgwałcono Maszę?



S-a. O, nie... Dawniej... kiedy, nie pamiętam... Tego dnia?... Nie... Widziałam, jak przeszedł koło mego okna i poszedł wprost... naprzód ku oknu szewca... a potem wprost we wrota...

S. P. A wtedy, dawniej, łaskę dawał *Maszy*?

S-a. Dziewczyńce... jakiejś dziewczynce... Ale, zdaje się, nie *Maszy*... Większej dziewczynce..

S. P. A może i *Maszy* dał?

S-a. Ja nie wiem... Może kiedy i dawał... Ja nie widziałam... Mógł dać i *Maszy*...

#### W SZYNECZKU NA ROGU.

(Chudy człeczyna w średnim wieku z rudawą kusą bródką, z cerą koloru ziemi, z nosem czerwonym, maślanymi oczkami i z błogim uśmiechem na twarzy. Mówiąc, macha chudemi rękoma i cokolwiek kołysze się na nogach).

Prezes. Jak się zwiecie?

Ś. Ja?... Filip Jeremołowicz Archimonow, syn djakona!

P-s. Wasze zajęcie?

Archimonow. Moje?... Nizkie rzemiosło... Buty szyję... Wszelako dusza w obłokach Pańskich buja i staramy się być mili Panu...

P-s. Nie plećcie, ale odpowiadajcie.

A-w. Z największą naszą przyjemnością.

P-s. Mieszkacie przy ulicy Grochowej № 78.

A-w. Dla podłego ciała mojego znalazłem tam schronienie, ale dusza...

P-s. Zostawcie duszę w pokoju... Co wiecie o sprawie?



A-w. Grzech stał się... A kto uczynił?.. Mówią: pan Klein! A ja powiadam: szatan. Raz wcieli się w pana Kleina, a drugi raz w innego z nas. Modlitwą — i to nie odpędzisz go. Szatan uciechy lubieżnej jest nader chytry... On...

P-s. (uśmiechając się do obrońcy). Pan go zawezwał. Więc pytaj... inaczej wciąż o szatanie rozprawać będzie...

A d w o k a t. Świadek! nie pamiętacie: tego dnia, gdy w domu waszym zgwałcono córkę stróża, czy nie zachodził do was Klein rozpytywać o swoje kamasze?

A-w. A jakże? pomnę!.. Jeno że nie zachodził, ale zapukał do okna... Laską zapukał... a ja jemu tuż przez lufcik odpowiedź z wielkim żalem moim dałem: „grzech kamaszy waszych jeszcze nie naprawiony.“

A-t. Pamiętacie dobrze, że to było tego dnia?..

A-w. Kiedy Masza skusiła szatana?.. Tak w ten... Pan Klein już więcej do domu nie wracał — i kamasze jego pozostały u mnie...

A-t. O której-to było godzinie?

A-w. Grzeszne ciało obiadem cieszyłem właśnie, kiedy pukaniem odwołał mnie ku oknu... a godziny przypomnieć dokładnie, — umiejętności nie mam.

A-t. Czy rozmawialiście wtedy długo z Kleinem przez okno?

A-w. O czym-że tu długo mówić?.. Nie o zbawieniu duszy rozmowa była... O kamaszach!.. Ręce rozwiódłem: nie gotowe. On zaś i poszedł...

A-t. Zwróciliście uwagę na to, dokąd skierował się... Do mieszkania, czy też do bramy?



A-w. Nie śledziłem jego kroków. Wszelaka droga ku śmierci prowadzi. Wszystko jedno!

A-t. A na wygląd jego nie zwróciliście uwagi?

A-w. Cóż wygląd?.. Na obraz i podobieństwo Bożel!.. Nic nadzwyczajnego.

A-t. Zatem wydał się wam takim, jak zawsze?

A-w. Najzwyklejszy śmiertelny człowiek.

A-t. Mówił z wami spokojnie?

A-w. Jak o kamaszach!.. Kiedy się mówi o duszy...

A-t. Czyście widzieli tego dnia Maszę?

A-w. Grzeszny człowiek, nie zapamiętałem.

A-t. A czy pamiętacie, tego dnia była w domu waszym rewizja?

A-w. Pamiętam... Naprzeciwno, u Susłowej... Zapukali — i było im otworzone...

A-t. Czy przypomina świadek... w tym czasie, kiedy Klein zapukał w okno, czy u Susłowej odbywała się jeszcze rewizja?

A-w. W tym samym momencie?

A-t. Tak, w tym samym.

A-w. Miej litość, panie adwokacie, nad grzesznym człowiekiem. Nie zwróciłem uwagi. Tylko już potem — pomnę — studenta Susłowa widziałem.

A-t. Jako?.. on przecie zaaresztowany został!..

A-w. Ja go też widziałem — pod opieką żołnierzy i policjantów... W szyneczku na rogu Grochowej i Fontanki siedzę — i wódeczkę sobie piję, grzeszny człowiek... W tem przez półotwarte drzwi widzę: mojego studenta prowadzą. Znałem go byłem dobrze. Nieraz mówił ze mną o ludzkości... i o jej losach... i o wszelakich wysokich materjach...



kiedy reperowałem mu buty... a on w pończochach u mnie siedział. Tak tedy i nie wytrzymałem wonczas... wyskoczyłem na próg traktjerni... nawet karafeczki swojej nie dopiłem... Krzycząc: „Święty jesteś! — boś ty grzechy nasze przyjął, na swoją duszę i apokaliptyczną bestję zamysliłeś ukrócić!“ Tak zaraz ci pan Prystaw rozkazał mnie wziąć i ze studentem razem przyszedliśmy do cyrkułu... Ale że ja byłem pijany, to stróż Afanasjew wyprosił mnie i zabrał do domu... A przyszedliśmy... aż tu ziemia pełna wieści... Szatan — powiadają — nastawił się na jego córkę, Maszę...

A-t. Nie mam więcej.

Prezes. (do prokuratora). Pan masz pytania?

Prokurator. Nie.

P-s. Panowie przysięgli? podsądny? — Nie? Możecie sięść... Zresztą, świadek, powiedzcie jeszcze: pamiętacie, że podsądny zapukał do was w okno laską?

A-w. Laską!.. Cień wyrzył się w grzesznej pamięci.

P-s. Nie zauważyliście, jaka to była laska?

A-w. Grzeszny człek! — nie zauważyłem. Cóż takiego laska?.. Dusza ludzka...

P-s. Siądźcie, siądźcie... albo— (zwracając się do stron i przysięgłych) — sądzę, że on nie będzie nam potrzebny — możecie iść do domu... Już i tak kołyszecie się na nogach...

A-w. Zdziebło piłem... samo zdziebelko!.. Tyle jeno, aby przydać sobie honoru i śmiałości przed oblicznością wysokiego sądu. A kołyszę się... jedna noga krótsza od drugiej... od przyrodzenia już...

P-s. No, idźcie do domu wyspać się!



Świadek wychodzi, utykając nieco i kłaniając się na wszystkie strony.

\* \* \*

Prezes. Ogłaszam przerwę (Do woźnego) Po przerwie wprowadzić wszystkich przesłuchanych świadków. (Do obrońcy). Czy porucznika Rosenkranca też?.. Będzie panu potrzebny?.. Czy może pan zrzekasz się konfrontacji?

Adwokat. Prosiłbym o pozostawienie porucznika Rosenkranca jeszcze w pokoju świadków... Może wyjaśni się jeszcze jakieś szczegóły, wobec których późniejsza konfrontacja...

P-s. Dobrze... dobrze... Jak pan chcesz... Ogłaszam przerwę obiadową — na półtorej godziny...

## 25. WIDMO ZŁODZIEJA.

Po przerwie.

Starszy przysięgły powstaje i zwraca się do prezesa: „Przed zbadaniem nowych świadków, moi towarzysze pragnęliby wyświetlić pewną okoliczność... mianowicie kwestję kradzieży w domu, gdzie mieszkał Klein... o której wspominali niektórzy świadkowie... Gdybyśmy więc mogli...“

Prezes. Jest to wasze prawo.. świadkowie są obecni... kogo pragniecie panowie spytać?

S. P. Chciałbym poprosić Kodłubajewa.

P-s. Kodłubajew, podejdźcie-no!

S. P. Wyraziliście się, że ów dzień był jak pełna czara... Tyle w nim zaszło wypadków... Wspominaliście o jakiejś kradzieży...

Kodłubajew. Mówiłem... Okradziono porucznika Rosenkranca. Przepadły pieniądze..\*



S. P. A ot, może i p. Kleina tego dnia okradziono?...

K. Nie wiem. On się nie skarżył.

S. P. Przecież wyjechał tego dnia... I więcej nie wrócił...

K. Zupełnie sprawiedliwie pan sędzia mówi. Aresztowali go potem w banku. Do domu już nie powrócił...

S. P. A o której godzinie kradzież się wydarzyła?...

K. Niewiadomo.. Złodzieja nie złapano... Tu Afanasjew spuszczał... Jego rzecz była śledzić za porządkiem na tych schodach... Ja tutaj nic nie winien...

\* \* \*

S. P. Prosiłbym jeszcze Katarzynę Pilenko. (Katarzyna zbliża się na znak prezesa). Owego dnia — chodziliście po doktora dla Pietrowa — wszak prawda?

K-na. Biegałam... Prawda... Pietrow był moim kumem...

S. P. Więc byliście w mieszkaniu Kleina... przy chorym... tak?

K-na. Tak.

S. P. Raz... dwa razy?...

K-na. Doglądałam... z parę razy...

S. P. A kiedyście pobiegli po doktora, zamknęliście drzwi za sobą?

K-na. Nigdy nie zostawiam drzwi otwartych!

S. P. Zamknęliście na klucz?

K-na. Drzwi zamykają się na zatrzask.

S. P. A kto wam otworzył? Wszakże Pietrow



był chory... nie mógł... A pan Klein zapewne swój klucz wziął ze sobą... Tak?

K-na. A wziął... Ale klucz pani Kleinowej — wedle doglądu za mieszkaniem — ostawiany był u stróża. Guwernantka brała, jak przychodziła...

S. P. A więc wzięliście klucz od Afanasjewa?

K-na. Nie... Guwernantka otworzyła.

S. P. Była przez cały dzień w domu?

K-na. Gdzieżby!.. Wychodziła wedle lekcyj.

S. P. Więc drzwi od mieszkania Kleina były ciągle zamknięte?..

K-na. A zamknięte!..

S. P. Prosiłbym jeszcze Afanasjewa.

P-s. Afanasjew!

S. P. Nie dawaliście klucza do mieszkania Kleina nikomu obcemu

A. Strzeż Panie Boże!.. Tylko guchwernantce... Jak przykazane było... Miał prawo dać jeszcze Pietrowowi... i panu Wołkowowi, gdyby przyszedł — nikomu więcej... Tak pani, odjeżdżając, nazywała...

S. P. Bardzo dobrze.. A teraz... przypomniecie sobie Afanasjew .. na zapytanie prokuratora, wczoraj, wspominaliście coś o jakimś pugilaresie... Tak?

A. Mówiłem. Ja go znalazłem.

S. P. Cóż to był za pugilares?

A. Kradziony.

S. P. Jakto, kradziony? Zkąd to wiecie?

A. Na drugi dzień po kradzieży znalazłem go.. Pugilares nie wiele ta wart był... Obnoszony...

S. P. Czy to nie był pugilares p. Kleina?



A. Gdzież tam! Pana porucznika!

S. P. Zkądżeście to wiedzieli?

A. Ja nie wiedziałem... Podniosłem... prawie na progu... Schodziłem... oglądałem to miejsce na strychu, gdzie mi dziecko skrzywdzili... Pugilares leży... Patrzę do środka... Listy — zapiski — pieniędzy niema. Nie wiem, czyj. Nie jestem piśmienny... Wtem wychodzi Głafira Kosaja.

S. P. Kto?

A. Ta kobieta, co do niej mężczyźni chodzą.

S. P. I cóż?

A. Ona piśmienna. Popatrzyła. Powiada: „wiem czyj — daj, ja oddam“.

S. P. Daliście jej?

A. Dałem... Rzecz stara... papierzyska...

S. P. Cóż, oddała?

A. Oddała.

S. P. Komu?

A. Porucznikowi.

S. P. Wiecie napewno?

A. Wiem... Mówiła... Nawet rubla mi dała...

S. P. A to za co?

A. Porucznik jej dał. Oddała mnie. Powiada: „Tobie rubel się należy. Tyś nalazł“...

S. P. Nie mam więcej.

\*

\*

A d w o k a t. <sup>\*</sup> <sup>\*</sup> <sup>\*</sup> Panie prezesie... ja mam jeszcze pytanie... Afanasjew, mówiliście, że ten pugilares leżał „prawie na progu?“... Na jakim progu?...

A-w. Prawie u drzwi Głafiry Kosej...

A-t. Co znaczy „prawie u drzwi“?.. Dalej od nich?... czy wyżej, na schodach?...

A-w. Wyżej... jak się idzie na strychn...



A-t. A, tak?!..

A-t. Któż go tam podrzucił? Jak sądzicie?

A-w. A kto?.. Pewnie złodziej.. Bał się—  
i rzucił.. Pieniądze schował — a pugilares rzucił..

A-t. A z kąd wiecie, że pieniądze schował?

A-w. A porucznik mówił Glafirze, jak pugilares odniosła, że pieniądze przepadły.

A-t. Do cyrkułu donosił?

A-w. Przez Kodlubajewa nazajutrz meldował..  
Ale nic nie naleźli.. Złodziej uciekł..

A-t. Nie wiecie, w jaki sposób uciekł? Pugilares znaleźliście na górze, a porucznik mieszka niżej o piętro.. Więc jakże to?..

A-w. Nie wiem. Widać złodziej spłoszył się..  
Może na dole ktoś drzwiami skrzypnął.. Ot, złodziej i polazł na górę..

A-t. Na strych?

A-w. A może i na strych..

A-t. Może przez strych uciekł?

A-w. Pan adwokat myśli: przez dach?

A-t. Przez dach.

A-w. Drabina do komina stoi..

A-t. Więc mógł uciec przez dach?

A-w. Mógł.. Ale jak uciekł, nie wiemy..  
Nie widzieliśmy go..

A-t. Więcej pytań nie mam.

P-s. Afanasjew, siądźcie!

## 26. PROSTYTUTKA.

Kobieta lat 20 — 25. Wysoka — chuda — odziana skromnie — gładko przyczesana — blada — z chorobliwymi rumieńcami na twarzy — z ładne-



mi, ale pełnemi smutku oczami — o ruchach niepewnych, zwolnionych, jakby lękała się czegoś. Stała przed sądem — głowę spuściła — czeka.

Prezes. Nazwisko?

Świadcząca. Głafira Kosaja.

P-s. Prostytutka?

Głafira (pochylając głowę mocniej, jakby ją chciała ukryć między ramionami — głosem bezdźwięcznym:) Tak.

P-s. Co wiecie o sprawie?

G. Nic nie wiem.

P-s. Panie obrońco! Czego pan życzyłeś sobie od tego świadka?... Pytaj pan.

\* \* \*

A-t. Czy znacie podsądnego Kleina?

G. (popatrzyła na podsądnego). Nie.

A-t. Nie widzieliście go nigdy?

G. Rzadko... Na schodach... Ja dniem prawie nie wychodzę (ciężko odetchnęła).

A-t. Czy świadkini słyszała coś o zgwałceniu córki stróża?

G. Maszy?

A-t. Tak.

G. Słyszałam... na drugi dzień... opowiadali...

A-t. Na którym piętrze mieszkacie?

G. Na czwartym.

A-t. Nad wami zaraz strych?

G. Tak.

A-t. Czy nie słyszeliście, jak Katarzyna Pilenko znalazłszy dziewczynkę na strychu, wołała na pomoc?

G. Nie.

A-t. Jakto?... nic nie słyszeliście?!...

G. Nic.



A-t. Nawprost was mieszka Korowina?

G. Ta z miedzianym krzyżem na piersi?

A-t. Tak.

G. Mieszka.

A-t. Ot, ona słyszała — a wy nie!... Wy tuż, naprzeciwko mieszkanie... Byliście w domu?

G. Byłam.

A-t. A jednak nie słyszeliście?

G. Spałam.

A-t. Tak mocno śpicie?

G. (cicho). Piłam dużo.

A-t. Samiście spali w domu?

G. (opuściła głowę. Milczy).

A-t. Cóż wy milczycie?

G. Sama.

A-t. A może ktoś u was był?

G. Nie.

A-t. Macie kochanka?

G. (milczy).

A-t. No, cóż?... Macie?!.. (szorstko). Sądowi trzeba mówić prawdę!

G. Mam.

A-t. On u was spał wtedy?

G. Nie! nie!

A-t. A może spał?... Przypomnijcie!... Był u was!?

G. (z błagalnym okrzykiem). Nie! nie! nie!

A-t. Gdzież on jest teraz?

G. ...siedzi... w więzieniu...

A-t. Za co?

G. Podejrzany o kradzież z włamaniem... On wcale nie jest winny... Wcale! wcale!... On — uczciwy! (Oczy jej napełnione łzami, zwracają się w stronę prezesa).



A-t. A słyszeliście, że *tego dnia* okradziono porucznika Rosenkranca?!

G. Tak.

A-t. Pod *waszemi* drzwiami znaleziono pugilares...

G. Tak... ale ja nic nie wiem!..

A-t. Afanasjew go znalazł... Dał wam?

G. Dał.

A-t. Coście z nim zrobili?

G. (przez chwilę wacha się z odpowiedzią).  
Oddałam.

A-t. Komu?

G. (Spuściwszy oczy). Porucznikowi.

A-t. Zkąd wiedzieliście, że to jego pugilares?

G. (milczy).

A-t. W papierach napisane było??

G. Nie.

A-t. A więc?

G. Była fotografia...

A-t. Czyja?

G. Pani Wasniecewej...

(Sensacja).

A-t. Toć-że to mógł być pugilares Wasniecowa?

G. (milczy — głową potrząsa przecząco).

A-t. Czy znaliście porucznika wprzód?

G. Znałam.

A-t. Czy pokazywał wam tę samą fotografię?

G. (cicho). Tak.

\* \* \*  
Prokurator. A Kleina nie znaliście?

G. Na schodach widywałam.



P-r. A u was nie bywał?

G. (oczy spuszcza. Tonem pewnym). Nie.

\* \* \*  
Starszy przysięgły. A... Pietrowa zna-  
liście?

G. Tak.

St. P. Przychodził do was?

G. (cicho). Tak.

St. P. Często?

G. Nie... Rzadko... Kiedy się nudził..

\* \* \*  
Jeden z przysięgłych. (dziennikarz). Czy  
widzicie tę laskę na stole?

G. Tak.

Prz. Czy znacie ją?

G. Tak... znam... Zdaje się, Pietrowa...

(Sensacja).

Prezes. Dlaczego sądzicie, że ta laska Piet-  
rowa?

G. Dwa... trzy razy... widziałam u niego...  
Miał chorą nogę... Przychodził czasem z laską.

P-s. Nie mówił, że to laska jego pana?

G. Nie.

\* \* \*  
Jeden z przysięgłych. (kupiec). A Ma-  
szę znacie?

G. Tę, co zgwałcili?

P. Tak.

G. Znam.

P. Z podwórza?

G. Z podwórza także.

P. Dlaczego mówicie: z podwórza także?

G. Znam i z domu. Przychodziła do mnie.



P. Sama?!

G. Sama.

St. Pr. Dawaliście jej słodycze?

G. Dawałam.

S. P. Cukierki?

G. I cukierki?

S. P. Gdzie je kupujecie?

G. Różnie bywa.

S. P. A w sklepie bakaliij Merzliakowa?

G. Nawprost naszego domu?

S. P. Tak.

G. I tam brałam.

A d w o k a t (powstając). \* Teraz prosiłbym o \*  
poproszenie porucznika Rosenkranca.

Prezes daje znak woźnemu.

## 27. TA DZIEWCZYNA MYLI SIĘ.

Porucznik błądy, z oczyma mocno błyszczącymi, z głową podniesioną dumnie, oczekuje pytań. Widocznie panuje nad sobą całym wysiłkiem woli. Tylko zaciśnięta ręka drga mu nerwowo.

A d w o k a t. Czy nie przypominasz pan sobie, panie poruczniku, że owego dnia... 13 Lipca... Kiedy zgwałcono Maszę, — popełnioną została kradzież w pańskim mieszkaniu?...

Rosenkranc. A tak, tak., zupełna prawda! (zwracając się w stronę przysięgłych mówi z przesadną żywością)... Otoż to, kiedy wychodzi się na cały dzień z domu... i nie zostawia nikogo do pilnowania!.. Poprzedniego dnia dałem deń-



szczykowi urlop... No, i złodziej skorzystał... Nie bardzo się pożywił u mnie. Jednak... sprzątnął całą kasę! (śmieje się nienaturalnie).

A-t. Cóż panu zabrano?

R. Otworzono szufladę... i wyciągnięto pugilares z 35 rublami...

A-t. Cóż, pieniądze znalazły się?

R. Gdzie tam!.. Dawałem znać do cyrkułu... Nic!..

A-t. A pugilares?

R. Pugilares był stary... bez wartości... Nie przypominam.

A-t. A jeżeli uda się nam panu przypomnieć? Są świadkowie...

R. (mocno). O, napróżno się pan trudzi.. Przypominam.. Stróż znalazł i oddano mi.. Nie sądziłem, że ten drobiazg tak bardzo interesuje obrońcę p. Kleinal..

A-t. Drobiazg... to prawda... Ale często dzięki drobiazgom przypominają się rzeczy większej wagi.. Zdawało mi się, że może... drobiazg został... zgubiony... przez właściciela na schodach... owego właśnie fatalnego dnia, kiedy zgwałcono Maszę!.. Czy nie?

R. Niel.. Mówiłem już: tego dnia nie było mnie w domu...

A-t. Myślałem, że może świadek zapomniał.. Bo oto... (wstaje) Prosiłbym o zavezwanie Barbary Gargolinej.

Warja na rozkaz prezesa podchodzi ku kratkom.

A-t. Gargolina! zdaje się, mówiliście, że owego dnia spotkaliście pana porucznika na schodach?



Warja. Tak...

A-t. Cóż pan na to?

R. (zapłoniony). Może rano?

A-t. (do Wari). Czy to było rano?

W. Nie... nie rano.

A-t. Pan porucznik schodził, czy wchodził?

W. Wchodził na górę.

A-t. Więc jakże? Cóż świadek na to?

Rosenkranc. (to blednie, to rumieni się).

Ta dziewczyna oczywiście myli się!.. Widziała mnie innego dnia!.. I płacze!.. Co do mnie, powiedziałem, co miałem... i proszę mnie uwolnić od ponownych pytań w tej mierze...

A-t. Pan porucznik wybaczy... Jeszcze tylko jedno pytanie... Kiedy owego dnia był pan w ministerstwie, czy nie telefonowano do pana?..

R. (z nienawiścią tkwiąc oczy w twarzą adwokata). Nie wiem... Być może... Nie pamiętam.. Może kto z kolegów...

A-t. A może ktoś telefonował z więzienia?

R. (ironicznie spoglądając na adwokata). Pan zapewne chcesz mi przypomnieć, że telefon więzienny był zepsuty...

A-t. (zapłonił się). Ach, zapomniałem!.. Więcej pytań nie mam. (Siada, nieco zmieszany).

Prokurator. (do Rosenkranca). Panie poruczniku! Więc pan tego dnia nie widział Kleina?

R. Nie.

P-r. A wy, Gargolina, twierdzicie, że tego dnia spotkaliście Kleina o tym samym czasie, co i porucznika?

W. Tak.

P-r. W obiadowej porze... Około 5-ej, 6-ej?..



W. Tak jest.

P-r. I według was... Klein schodził na dół?

W. Schodził.

P-r. Z laską?

W. Z laską... Podniosłam i oddałam mu...

P-r. (machnąwszy ręką). No, ja więcej nie mam... (uśmiecha się lekceważąco).

Prezes. Siądźcie, Barbara Gargolina... (do stron). Czy porucznika można zwolnić? Niepotrzebny więcej?..

Strony pochylają głowy.

## 28. FRANCUZKA.

Ubrana szykownie — z dużą pretensją — nie bez śmieszności — w kapeluszu z wielkimi piórami — mocno upudrowana — z podczernionymi brwiami — z zębami plombowanymi złotem — widocznie starając się wyglądać znacznie młodziej od swoich lat czterdziestu kilku — mówi łamanym językiem rosyjskim, mocno akcentując ostatnie sylaby wyrazów.

Prezes. Nazwisko?

Świadcząca. Margareta Joiffrin.

P-s. Zajęcie?

M. J. Leksy daje.

P-s. Po rosyjsku mówi pani?

M. J. *Oui*, mówi!

P-s. Tłumacz będzie potrzebny?

M. J. *Non...* wsisko rozumicz.

P-s. Co wie pani o sprawie?

M. J. *Rien...* Nyc.. Supelnie nyc...

P-s. Panie obrońco! Pański świadek.

\* \* \*



A d w o k a t Margareto Joiffrin — mieszkaliście u podsądnego?

M. J. U ponson.....? Ja ne srosumiała...

A-t. Mieszkaliście u Kleina?

M. J. *Come de raison...* placić za pokój — to mieszkacz!

A-t. Jak długo?

M. J. *Oh, pas longtemps...* szteri miesiąc...

A-t. Jak podsądny żył ze żoną?

M. J. Posony? *Qu' est ce que c' est?*

A-t. Klein?

M. J. Topsze szil... Cicho szil... Pes szaden szkandal szil...

A-t. Sędzia śledczy nie wzywał pani w tej sprawie?

M. J. *Oh, non...* ne wzywiał.

A-t. Ja więcej nie mam.

\* \* \*  
P r o k u r a t o r. Pamiętacie ten dzień, kiedy zgwałcono córkę stróża w waszym domn??

M. J. *Pauvre enfant!*.. Topsze pamiętacz.

P-r. Nie wiecie, kto to uczynił?

M. J. *Je ne sais rien...* Kto srobił, ne powi...

P-r. Słyszeliście, co mówią o tem?

M. J. Słyszałam... ne tuszo... *Je ne crois pas...* Klein ne taki szlofik... Barzo sichy... Na takie *aventures* potsiebny inny. *Un specialiste!*

P-r. A nie wiecie, co Klein robił tego dnia?

M. J. Rano?

P-r. Niech będzie rano!

M. J. Moszil klofe.

P-r. Co? co? — nie zrozumiałem.



M. J. *La tête...* Klofe w wodę z lodem!. Sa-  
lom noc nie spał.

P-r. Dlaczego to nie spał całą noc?

M. J. Petroff pszyszła... późno... Napil sze...  
Ja go pirszy raz takim widziała... Nikdy tak nie był...  
*Jamais, jamais!*.. Chciał pić sziby... przez okno fisko-  
czyć... Ksiczał... *baucoup* ksiczał... *Jamais* tak ksiczał...  
Pirwszy raz... Potem ksiszał, so umsze zaraz... Po-  
tem pan Klein samknol sze z nim na salom noc...  
Salom noc rozmawiali... we dwa...

P-r. O czym rozmawiali?

M. J. (zarumieniona). Nie wim... Szczana krupa...  
ne slichacz... Przes trzwi tesz nyc!.. Pietroff mówił  
sicho, sicho... Klos mu okripl... Nyc nie slichacz...  
*Pas un mot...* Tylko rano p. Klein fiszła i mówiła  
to szebie: „Okropnoszcz! Okropnoszcz!“...

P-r. Co za „okropność“?

M. J. Nie wim... Pewni szalofal, so Petroff *est*  
*malade*... Parso kochal Petrofa... Szalofal i moszil klofe.

P-r. Cóż dalej?

M. J. Talej nys. . Ja fijechal o 8-ej rano... Da-  
je lekcy u krafina Feljaminowa... w Petropaflofsk...  
Rano fijechala... Nys nie wim...

P-r. Przypomnijcie sobie... Czyście Kleina nie  
widzieli tego dnia.. po raz drugi?

M. J. Kiedy ja wrócić?

P-r. Tak, po powrocie...

M. J. Nie została w domu. Petrof spał.. Plady,  
jak kreda. Nie oddychał. Katarżyna zaraz po doktor  
fruwala.. A *monsieur* nie psihodil..

P-r. Jakto nie przyszedł?!... A potem...

M. J. Potem ja snów na lekcy... u kieneralo-  
wa Böhm... w ten sam dom...



- P-r. A potem?
- M. J. Potem ja snów z lekcy psizsla...
- P-r. No, a Klein?
- M. J. A *monsieur* Klein też psizsla...
- P-r. Cóż wtedy robił?
- M. J. Ftedi?.. A ftedi poszła to szafi, w która som ubrania pani...
- P-r. I cóż mówił?
- M. J. Ne mówił nys. *Pas un mot.*
- P-r. Jaktó nys?.. A wy mówiliście do niego?
- M. J. Ja sawolalam na nego sicho... On ne sliszał. Klofe miał w szafie... Nys ne powiedział...
- P-r. Dlaczego zawołaliście cicho?..
- M. J. Jak kory w domu, to przyzwoita szlofik sawsze sicho mófi...
- P-r. Dlaczego nie doszliście do niego?
- M. J. Ja feszlam do chorego... Myślalam, on wejdzie...
- P-r. A on?
- M. J. On ne fszedł... Petroff spal...
- P-r. Może przedtem wszedł?
- M. J. Ne fisialam, szeby wszedł...
- P-r. A która to była godzina?
- M. J. Kocina?.. Ja sara psipominać. (długo się namyśla). Ne pilo ósma...
- P-r. Było po piątej... Tak?
- M. J. O!.. po piątej... tafno... tafno...
- P-r. Przypomnijcie dobrze... Może mylicie się?
- M. J. Ne pilo siódma.
- P-r. A szósta była?
- M. J. *Oh, plus tarde, plus tarde...* Później... później...
- P-r. Może nie pamiętacie?



M. J. *Comment?*.. Snam moje kociny... U kieneralofa Pöhm ot wpól do piąty do wpól do szósty... Potem sara w trugi dom leksja u m-lle Fajsb-lat ot wpól do szósty do wpól do siódmy... Potem wróciła to tomu... Sara psiszła Klein .. Nys ne mófila... Fiszła.. A ja sara za nimi... Mam jeszcze leksja u miężnarodowe szansonetka Riwkina... Ja z niej robi fransuska M-me Rive...

P-r. A ta lekcja o której?

M. J. Ot siódmy do ósmy. Ja fiszła z tomu przed siódma. *Alors* ja wisiała *monsieur* — ne pilo siódma...

P-r. A może tego dnia nie byliście na lekcji u pani Böhm, albo u pani Wejsblat?.. Codziennie macie lekcje?

M. J. Ne sodzień. Ale to bil piątek?.. Tak?

P-r. Piątek.

M. J. *Alors* miałam.

P-r. A może zachodziliście do domu między lekcją u gienerałowej Böhm i u pani Wejsblat?

M. J. Ne pilo czasu. Jedna za druga saras...

P-r. Jednak może mylicie się?

M. J. Ne mosze pić... Mam sapisane...

P-r. Przepuszczacie niekiedy lekcje?

M. J. Jak mam migrena...

P-r. A wtedy nie mieliście?

M. J. Ftedi... ne miałam.

P-r. (z niezadowoleniem rozwódzi ręce). Ja nie mam więcej pytań.

\* \* \*

Prezes. Czy Klein wychodząc z domu, wziął coś ze sobą?

M. J. Wisiałam z kuchni, zawijał coś w gazete...



P-s. A laskę wziął? Czy zostawił?

M. J. Ne wisiałam...

\* \* \*  
Starszy przysięgły. A czy podsądny  
ma tylko jedną laskę?

M. J. Ne... kilka...

St. Prz. A gdzie one stoją?

M. J. *Au coin...* w przedpokój...

St. P. Zaraz przy drzwiach?...

M. J. *Oui...* sara przy drzwiach...

St. P. Czy Klein długo był w domu?

M. J. *Oh, non...* spieszil sie... parso się spieszil...  
Fidać jechał na banhof... do żony...

## 29. ŻONA.

Prezes. (do woźnego). Poprosić świadczącą  
Milenę Jadwigę Stanisławównę Klein!

Krokiem lekkim, powiewnym, nie sprawiając  
szmeru, jakby płynęła w powietrzu, stąpa przez  
salę postać przedziwnie smukła i gibka — niby ga-  
zela — z oczyma jakoby również należącemi do  
gazeli — wielkiemi, inteligentnemi, świejącemi ci-  
chym blaskiem, z odcieniem zdziwienia i lęku. Na  
bladej twarzy rozlany wyraz melancholii słodkiej.  
Przedwczesna zmarszczka gorzka przecięła gładkie  
czoło, które lśni marmurową białością wśród czerni  
włosów, zaczesanych *à la Boticelli*. Usta delikatnie  
zarysowane mają wyraz pewnej zaciętości. Uszy  
jakby nastroszone czujnością i uwagą. Pod ciemną  
gładką suknią *reforme* pierś porusza się szybko.  
Kobieta nie spojrziała ani razu w stronę ławy  
podsądnych. Widocznie opanowuje wzruszenie.



Klein, ujrawszy ją, głowę chyli, topi w dłoniach i cicho łka.

Prezes. Nazwisko?

Świadkini. (przez chwilę jeszcze zbiera siły — odetchnęła głęboko — mówi teraz głosem jasnym, pewnym, melodyjnym, patrząc zawsze prosto, w oczy prezesowi sądu):

Jadwiga Milena córka Stanisława Klein.

P-s. Żona podsądnego?

Ś. (dobitnie) Tak.

P-s. Masz pani prawo — świadczyć lub nie — według swojej woli. Od pani zależy, co wybierzesz.

Ś. Już wybrałam. Chcę świadczyć.

P-s. Co pani wieś o sprawie.

Ś. (dobitnie). Tyle, co... mój mąż.

P-s. A to znaczy?

S. Dowiedziałam się o zbrodni — po wypadku, jak i on.

P-s. Zatem co do przypuszczalnego udziału podsądnego w tej zbrodni... nie może pani dać żadnych wyjaśnień?

Ś. (zarumieniła się, ale odpowiada dobitnie). Prócz jednego... Przypuszczenie to jest błędem fatalnym. (Nie spuściła oczu z prezesa).

P-s. (do adwokata). Pan prosiłeś o wezwanie tego świadka. Masz pan jakie pytanie?

\*

Adwokat. Mam... A zatem — pani nie przypuszczasz, aby jej mąż był zdolnym do takiego potwornego czynu?

Ś. (znowu oblał ją rumieniec, lecz głos jej zawsze brzmi mocno). Mój mąż nie jest potworem!



A-t. Proszę mi odpowiedzieć, czy owego... fatalnego dnia p. Klein był w Jeziorkach?

Ś. Tak jest.

A-t. O której przybył?

S. Jak zawsze... o 6. 40 minut. Rzadko przybywał innym pociągiem.

A-t. Wyjechał zatem z miasta?

S. O 6 m. 5.

A-t. W jakim przybył usposobieniu?

Ś. W takim, jak zwykle...

A-t. Może jednak tego dnia był nieco pobudzony?

S. To możliwe... Mówił mi, że z przyjacielem naszym, Wołkowém, wypił butelkę wina.

A-t. Był wesół?

Ś. Nie.

A-t. Miał może jakie zmartwienie?

S. Tak... służący nasz, Pietrow... mocno zachorował.

A-t. Proszę mi powiedzieć jeszcze, czy... pożycie pani z Kleinem było szczęśliwe?

S. (na jej twarzy widnieje głębokie wzruszenie, chwieje się na nogach... zdaje się, że upadnie... Oczy przymknęła... konwulsyjnie chwytła się poręczy krzesełka dla świadków... Po chwili opanowała wzruszenie i odpowiada): Zawsze szczęśliwe.

A-t. Ja nie mam więcej pytań.

Prezes. A pan, panie prokuratorze?

Prokurator. (powstaje... otwiera usta... zdaje się, przez chwilę walczy ze sobą... Nagle, siadając, mówi):

Ja zrzekam się pytań.

Prezes. A panowie przysięgli?



Przysięgli. Nie mamy,  
(Pani Klein odetchnęła lżej).

Prezes. Pani widocznie zmęczona... Możesz pani usiąść... lub oddalić się... (Nagle odwołuje ją).  
Przepraszam... jeszcze tylko jedno pytanie. Mąż pani dbał zawsze o jej zdrowie?

S. Zawsze.

P-s. A ot, postaraj się przypomnieć pani, czy owego ostatniego dnia... przywiózł pani zarzutkę... lub ciepły płaszczyk... czy coś w tym rodzaju?..

Jadwiga Klein. (marszczy mocno brwi. Śmiertelna bladeść pokrywa jej twarz. Głęboko zamysła się... Wreszcie odpowiada mocnym głosem):  
Nie, nie przywiózł.

(I oczy jej jasne, jakby błyszczące tryumfem, patrzą wprost na prezesa, dziecięco szczerze).

Prezes. Dość. Możesz pani usiąść. Lub oddalić się.

Pani Klein, zarzuciwszy ciemny welon na twarz, powolnym krokiem oddala się z sali. Głowę spuściła — nie patrzy na nikogo. W ciszy słychać powstrzymywane łkanie podsądnego.

### 30. SWIADEK, KTÓRY ZGADZA SIĘ NA WSZYSTKO.

Starowina — zgięta — o czole pomarszczonym — z brodawkami na twarzy — w ogromnym czepcu — spogląda na sąd z widoczną niechęcią — od czasu do czasu przenosi oczy na podsądnego i litościwie kiwa głową.

Prezes. Wy -- Marta Gennadjewna Samsonowa?



Św. A któżby?

Prezes. Służycie u Kleinów?

Marta (przykładając rękę do ucha). Co-o?

P-s. (głośniej). Służycie u Kleinów?

M. Juści!

P-s. Co wiecie o sprawie?

M. Co-o? (Znać, że jest przygłucha).

P-s. (starając się głos wytężyć). Co wiecie o sprawie?

M. O jakiej sprawie?

P-s. (bardzo głośno). Kto „zepsuł“ stróżową córkę, Maszę Afanasjewą?

M. To sąd nie wie, a ja mam być mądra i wiedzieć?..

(W sali śmiech).

P-s. A co mówili?.. Kto zrobił?

M. (mruży z niezadowoleniem). Różnie mówili... Mówili, że djabeł zrobił!

P-s. A na pana waszego mówili?

M. Żeby im język popuchł — tym, co mówili!..

P-s. Czy jesteście zdrowa, Samsonowa?

M. A? zdrowa. . zdrowa. .

P-s. (do adwokata). Cóż, chcesz pan ją pytać?

Adwokat. Spróbuję... Świadczał.. Pan Klein przyjeżdżał na wieś do pani?

M. Przyjeżdżał.

A-t. Codziennie?

M. Codziennie.

A-t. Słuchajcie, kobieto, przypomnijcie dobrze... Ostatniego dnia, kiedy pan był u pani... o której godzinie przyjechał?

M. A pan przyjeżdżał wedle zegara kolejowego.



A-t. Ale czy przyjechał o tej samej godzinie, co zawsze?

M. A o tej samej...

A-t. Ja nie mam więcej...

Prezes. A cóż, czasami to pan wcale nie przyjeżdżał?

M. Czasami wcale nie przyjeżdżał.

P-s. A przyjeżdżał czasami późno wieczorem?

M. A czasami późno wieczorem.

P-s. A owego wieczora może przyjechał później?

M. A może i później...

Dokola śmiech...

Prezes. Możecie sięść... Ogłaszam przerwę na kwadrans.

### 31. TAJEMNICA ADWOKACKA.

Po pauzie.

Adwokat Zielonyj — mężczyzna z długą kędzierzawą brodą, z wielkiem inteligentnem czołem nad którym wicherzy się masa czarnych włosów z oczyma patrzącemi chmurnie z pod brwi krzaczystych.

Prezes. (do prokuratora). Teraz według listy znowu pańscy świadkowie. Tak?..

Prokurator. Tak jest.. Dwaj ostatni — moi..

Prezes. A więc badaj pan!

P-r. O niniejszej sprawie nie wiesz pan nic?

Zielonyj. Literalnie nic... Jeżeli wolno przyznać się, mniemam, że zostałem zawezwany przez pomyłkę...

P-r. A ot... zechciej pan chwilkę być cierpliwym. Pan *napewno* znasz podsądnego Kleina?



Z. Nie „napewno“... skoro nie znam go zupełnie.

P-r. (zdziwiony). Może pan zapomniałeś?

Z. (dobitnie). Stanowczo nie... Nie znam... Widzę go po raz pierwszy.

P-r. (kręci się z niezadowoleniem w fotelu. Mówi z lekką ironią). A ot... ja panu przypomnę... Przed trzema niespełna laty w sierpniu 1906 roku, podawałeś pan w II wydziale miejscowego sądu prośbę... skargę... w imieniu niejakiej włościanki Eudoksyi Dmecowej, która oskarżała Augusta Edwardowicza *Kleina*, że nadużył zaufania służącej u niego na dacy w Jeziorkach, jej córki, Natalii Dmecowej, nie mającej pełnych lat 15-tu i dopuścił się na jej osobie defloracji... Mamy tu wszystkie akty tej sprawy...

Z. (z pewną ironią) A! jeżeli w sprawie są akty... to, zdaje się, sądowi znany jest cały przebieg tej sprawy.

P-r. Tak jest... Okazuje się, że następnie... w dniu 17 Września 1906 roku podałeś pan prośbę, w której imieniem rodziców niepełnoletniej cofasz pan skargę...

Z. Tam wskazane są motywy.

P-r. A zatem pan przypominasz sobie! Tak jest. Skarżąca cofa oskarżenie, przyznając, że się omyliła — i twierdząc że winowajcą jest ktoś inny. Ale imienia tego innego nie podano.

Z. (chłodno). Widocznie — nie chciano go skarżyć.

P-r. Ba!.. prawdopodobniejszem jest, że sprawę załagodzono na drodze polubownej. I oto dla sądu byłoby rzeczą ważną dowiedzieć się, czy p.



Klein — nie wykupił się wtedy poprostu jakąś sumą pieniężną — przypuszczalnie, kilkuset rublami?..

Z. (chmurząc się, z akcentem oburzenia w głosie). Wydaje mi się to dziwnem...

P-r. Co właściwie?

Z. Zdawało mi się, że panu Prokuratorowi wiadomo, że istnieje coś, co nazywa się tajemnicą adwokacką.

P-r. (zapłoniony). A, pan powołujesz się na tajemnicę adwokacką! Chcesz pan przez to powiedzieć, że nie wolno ci zdradzić przed sądem, na jakich warunkach nastąpiła zgoda? Czy tak winniśmy rozumieć?

Z. (mocno). Nie! to znaczy, że gdyby ugoda nastąpiła, nie miałbym prawa o niej mówić... To znaczy, że milczenie moje w tym wypadku byłoby takie same, jak wówczas, gdyby żadnej ugody nie było!.. To znaczy, że moja odpowiedź w tej kwestyi nie brzmi ani „tak“, ani „nie“!.. To znaczy, że jestem powołany zupełnie niepotrzebnie!.. To znaczy, że to co jest w aktach — winno sądowi wystarczyć. Nic nad to nie wiem więcej. Powtarzam: *Kleina nie znam, nie widziałem go nigdy... Dziś widzę go po raz pierwszy w życiu.* To jest niewątpliwą prawdą. A co do mojej sprawy przeciw niemu — nie mam obowiązku dodawać nic po nad to, co widać z akt... Wobec tego ośmielałem się zwrócić do Sz. Prezesa...

Prezes. (do stron). Zdaje mi się, że wobec zawodowej tajemnicy, obowiązującej świadka, dalsze badanie nie miałyby racyi bytu. (Strony kiwają głową). Jesteś pan wolny!



### 32. SPRAWCA NIEODNALEZIONY.

Kobieta chorobliwie blada, z ceglastemi rumieńcami, o wyglądzie suchotniczym, z włosami siwymi mimo lat młodych — ubrana ubogo, lecz schludnie. Odpowiada powoli, jakby z trudem, jakby nieodrazu rozumiała pytanie, jakby długo zbierała myśli.

Prezes. Wy, Wiera Pawłowa?

Św. Ja... tak, ja.

P-s. Wasze zajęcie?

Pawłowa. Moje?.. A, moje!.. Pracznia.

P-s. (zaglądając do akt) Mieszkaliście kiedyś na Kanale Katarzyny, dom № 149-A?

P-wa. Tam?... Ja tam mieszkam i teraz.

P-s. Mieliliście córkę tak?

P-wa. A?... córkę?... Miałam... miałam.

P-s. Co się z nią stało?... Opowiedzcie!

P-wa. Co?... Boże mój!.. Co?... Okropna rzecz...

P-s. No, opowiedzcie!

P-wa. Więc jakże to?... Aha!... Wieczorem jeszcze była przy mnie... Bawiła się z pieskiem pod piecem... Pies uciekł na podwórze... Zachciało się i jej... Siedmiolatka... Sama biegła zawsze... choć ta i najpóźniej... Jak nie puścić?... Któż wiedział, że się jej coś przygodzić może... No... i puściłam... I niema... więcej niema... (Uciera łzy w fartuch).

P-s. Cóż się z nią stało?

P-wa. Wiadomo... wiadomo... Nieszczęście!

P-s. Jakie nieszczęście?

P-wa. Na noc nie przyszła... Drugiego dnia



szukali-m.. cały dom przeszukali-m... Nima nigdzie... Kamień w wodę... Aż po trzech dniach znaleźli-m... na sztrychu... Już dech śmiertelny z niej szedł... — Ów do naga rozebrał... Ubranko w kąć rzucił... Nagutka leży... trupik... Już i poźółkla... Zjechali panowie w mundurach. Powiadają: zgwałcona. Bez to i umarła...

\*

Prokurator. Cóż, sprawcę odnaleziono?..

P-wa. Gdzie zaś?!.. Nic!.. nie znaleźli.. Jak w lesie — przepadł... Trupka zabrali — pokrajali — nim oddali świętej ziemi... Na pamiątkę zaś matce zostało jeno ubranko... Tylko podwiązki i wstążeczki ze włosów przepadły... (Kaszle i ociera łzy).

P-r. Posłuchajcie-no Pawłowa.. Popatrzcie ot tam, na lewo odemnie... (wskazuje podsądnego). znacie tego pana?

Twarz podsądnego powleka się bledością śmiertelną. Ciałem jego wstrząsa dreszcz widoczny. Oczy, rozwarte przerażeniem, podnoszą się, jak błędne — przesuwiają się po Pawłowej, po sędziach, po publiczności — tkwią wreszcie nieruchome w świetle ogromnej lampy elektrycznej, uwieszanej u sufitu. W sali panuje cisza, wśród której słyhać przyspieszone oddechy wielu osób...

Pawłowa. (przypatrując się długo.. bardzo długo... wreszcie odzywa się): A, znam, znam.. Tylko bardzo zmienili się... Ale — widzi mi się — to będzie pan Klein...

P-r. (z tryumfem). Aha!.. zatem znacie tego pana!

P-wa. Znam... Dobry pan... Dał mi wtedy



na pogrzeb pięć niebieskich papierków. Bo nie było za co pochować Pan ze sercem... tak! tak!

P-r. Pan Klein mieszkał wówczas w tym samym domu, gdzie wy mieszkacie obecnie?

P-wa. A, mieszkał — mieszkał — we drugim podwórzu — na trzecim piętrze... Mieszkali — on i jego żona. Dobrzy państwo! Ona też dobra. Lubiała moją Darjuskę. Małeńka chodziła do nich każde święto. Zawsze od pani coś dostała (znowu płacze).

Prezes. Nikt nie ma pytań?.. Nikt... Sądźcie, Pawłowa...

P-wa. Do domu mogę?.. Jest robota!

P-s. Można puścić świadka?.. Tak?.. Możecie iść, Pawłowa...

Kobieta oddała się wolnym krokiem.

Prezes. Czem strony chcą dopełnić śledztwa?

Prokurator. (wstając). Prosiłbym sąd o ogłoszenie danych w sprawie zgwałcenia Daryi Pawłowej. Głównie chodzi mi o protokół oględzin zwłok Daryi Pawłowej... Zarazem proszę o potwierdzenie na mocy znajdującego się przy aktach sprawy wypisu z ksiąg cyrkulowych, że Klein mieszkał w domu na Kanale Katarzyny № 149-a w dniu 16 Maja 1903 roku, kiedy dopełniono zbrodnię na Daryi Pawłowej — że wyprowadził się w dwa tygodnie potem t. j. 1 Czerwca na ulicę Grochową... oraz, że w Maju 1903 roku nie wyjeżdżał z Petersburga.

Prezes. Dobrze. (zwracając się do przysięgłych). Wypis z ksiąg cyrkulowych stwierdza to, co rzekł nam — prokurator w kwestyi zamieszkania podsądnego... (cytuje). Protokół z akt w spra-



wie, w której śledztwo zostało umorzone z powodu niemożności odnalezienia przestępcy, brzmi, jak następuje:

„Roku 1903 Maja 14 dnia na strychu domu na Kanale Katarzyny № 149-A znaleziono zwłoki dziecka, które...

(Prezes odczytuje protokół, który stwierdza szczegóły, opowiedziane przez Wierę Pawłową — i kończy odczytywanie słowy:)

„Ciało było obnażone. W kącie na strychu leżała sukienka, fartuszek, koszulka, pończoszki i trzewiki dziecka. Matka ofiary oświadczyła, że zginęły małej wstążeczki z głowy, oraz podwiązki koloru czerwonego.“

Chwila ciszy.

Naraz z ławy świadków dolatuje głos prawie dziecinny:

„A ja te podwiązki widziałam.“

Wszystkie oczy zwracają się w stronę ławy świadków, gdzie Barbara Gargolina zarumieniona zakrywa sobie rękoma oczy i usta...

### 33. CZERWONE PODWIĄZKI.

Prezes. Barbara Gargolina, coś powiedziała?

Warja. Ja — nic... (zawstydzila się mocno).

P-s. Podejdz-no bliżej!.. Bliżej!... Tak. No, coś widziała?

W. Widziałam podwiązki i wstążeczki.

P-s. Jakie podwiązki i wstążeczki?

W. No, te, co się na nich Pietrow obwiesił!

W sali wrażenie. Przez chwilę panuje cisza jakoby wielkiego zakłopotania.



Starszy przysięgły. Mogę zadać pytanie?

Prezes. Proszę.

S. P. (do Wari). A czy dawno powiesił się Pietrow?

Waria. O, dawno! dawno!

S. P. Mniej więcej, kiedy?

W. A jak obudził się wtedy, to się i zaraz powiesił.

S. P. A dnia nie pamiętasz?

W. Dnia?.. Nie.

\*

Kodłubajew. (powstając). Mogę objaśnić? Prezes. Podejdźcie.

K. A ot, na drugi dzień — po wzięciu p. Kleina — myślę, we wtorek... wieczorkiem... obwiesił się Pietrow. . na strychu.

P-s. Na strychu?!..

K. Toż powiadam, na strychu. Myślę sobie, że bardzo zasmucił się po wzięciu pana... no, i poszedł na to samo miejsce, gdzie pan jego grzech uczynił... i tam „dokończył siebie“!..

P-s. Czy to wyście go tam znaleźli?

K. Nie... nie ja.. Jak ja przyszedł, tak on już leżał na podłodze. Do czucia już nie można było przywrócić. Był całkiem gotów.

Starszy przysięgły. A któż go znalazł?

K. Ot, ta dziewczyna (wskazuje na Gargolinę). Powiadają, hałasu narobiła. Przybiegła z domu francuzka, Żufrun ... I ot ta, prostytutka... One go i obcięły..

S. P. Sznurek widzieliście?

K. Nie. Ja nie obcinał go... One!..



Warja. Ja tyż sznurka nie widziałam. On nie na sznurku powiesił się... Na podwiązkach. Podwiązki związał — wstążeczki związał — i powiesił się...

S. P. Podwiązki były małe?

W. Małe — czerwone — jak dla dzieci.

S. P. Gdzie one są?

W. A niema ich...

S. P. Policja wzięła?

W. A nie. Francuzka spaliła.

Sensacja.

Prezes. A czy ty, Gargolina prawdę mówisz? Jakże to... na podwiązkach się ktoś powiesił? Ej, zmyślasz!

W. (zapłonila się). A co mam zmyślać?!... Przy mnie rzuciła je do komina.

P-s. Do komina?! — Czemu?!...

W. A ja nie wiem. (Nagle). Nie!... ja wiem... Były podwiązki małe... Ale były podwiązki duże tyż!... *Jej* podwiązki... Tak i krzyknęła, jak zobaczyła: „Na moich powionzkach!“... Więc spaliła... Całkiem spaliła... Na popiół.

P-s. Czy opowiadałaś o tem komu?

W. Nikomu... *Jej* podwiązki... Mogła robić, co chciała... Mówiła: „jak na czyichś podwiązkach ktoś się powiesi, to zły znak dla tego, co je nosił... Trzeba spalić, ażeby zle odegnać.“ Tak mówiła... Jak Bożię kocham!...

P-s. A może prosiła, aby nikomu o tem nie opowiadać?

W. A prosiła!... Mówiła: „nie trzeba opowiadać.“ Czekolady mi dała. Ja i nie opowiadałam dotąd nikomu... Tylko tera... (zapłoniona) nie wiem, jak... Wyrwało się samo.



Prezes. (do fczancuzki). Margareto Joifrin, po-  
dejdźcie. Słyszeliście, co ta... Gargolina... opo-  
wiada.

Margareta. (czerwona jak burak). Ja nys  
ne wim.. Ona mosze duszo opowiedzieć... Giembe  
ma... *Pour moi c'est égale...*

P-s. Jakże więc?... Pietrow powiesił się na  
pani podwiązkach?

Margareta. Ja nie pamiętać, na co... Til-  
ko nie na moja... nie na moja... Klupia ciewczinka!...  
Co ona wie?...

P-s. Jednak spaliliście?

Margareta. Ja nic nie wim... Po co palić?!..  
Kto palić podwiązki?!... Klupia ciewczinka!.. Pie-  
trof bil farjat!... Mosze ukradł moje podwiązki... Ja  
nie pamiętacz... Ja mam tuszo potfionzki... Pew-  
nie ukratl... Ja nic nie wim... Tawno pilo... Trut-  
no pamiętać. *Je ne peux pas!*...

P-s. No, dobrze... (do Gargolinej i francuzki).  
Możecie usiąść. (zwraca się do prostytutki). Gła-  
fira Kosaja, podejdźcie...

\* \* \*

Prostytutka zbliża się do kratek.  
Prezes. Czy to wy obcięliście Pietrowa?  
Kosaja. Ja... Myślałam, że jeszcze można ra-  
tować... Żal człowieka...

P-s. Prancuzka była przytem?...

Kosaja. Była...

P-s. Co mówiła?

K. Krzyczała coś... po swojemu więcej...  
I w ręce klaskała... Dziwiła się!...

P-s. Na czym-że się Pietrow powiesił?

K. A upłótl sznurek... Ze wstążeczek... i z



podwiązek... Była jedna mała i jedna duża para...  
Stare -- czerwone i niebieskie... I dużo wstążeczek...  
Bardzo ładnie upłócił sznur... Widać długo plócił... z parę godzin... Przygotowywał na zgon...

\* \* \*

Adwokat. Cóż?... Zdziwiło to was?... Człowiek powiesił się na podwiązkach!... Zdziwiło?

Kosaja. Nie... Wcale nie!

A-t. Jaktó? nie?

K. Ja wiedziałam... Pietrow miał taki zwyczaj...  
Mężczyzny mają różne zwyczaje.

A-t. Jakie zwyczaje miał Pietrow?

K. (widocznie zażenowana). Swoj zwyczaj!  
(zamilkła).

A-t. (ostro). Przed sądem obowiązani jesteście mówić całą prawdę!

K. (drgnęła). Nie dziwiłam się... nie dziwiłam, bo... bo... (cicho) jak Pietrow przychodził do mnie, to zwykle... kładł podwiązki... te małe podwiązki na ręce... Inaczej... nie mógł... (Zamilkła. Rumieniec wybiły jej na twarz. Oczy utkwiała w ziemię).

A-t. No... Czemu zamilkliście?

K. Nic więcej nie wiem. Miał taki zwyczaj.  
Prokurator. A co się ze sznurem stało?

K. Nie wiem... Szukali potem... Nie znaleźli...  
Niewiadomo było, kto wziął...

\* \* \*

Prezes. (do Katarzyny Pilenko). Katarzyno, podejdźcie-no tu!... Czy na nogach Maszy — kiedyście ją znaleźli — były podwiązki?

Katarzyna. Nie pamiętam.

P-s. (do Afanasjewej). Afanasjew! Waszej małej podwiązki nie przepadły?



Afanasjewa. Nie.

P-s. Czy pamiętacie *napewno?*

Afanasjewa. Jak nie pamiętać?... Ja ją rozbieierałam. Nie przepadły!...

P-s. Możecie się... I wy, Kosaja, też.

\* \* \*  
Prokurator. Chciałbym zadać Wołkowowi pytanie.

Prezes. Wołkow!

P-r. Czy odwiedzaliście Kleina na Kanale Katarzyny?

Wołkow. Tak.

P-r. Dobrze... A kiedy Klein odnalazł Pietrowa?..

Wołkow. Zdaje mi się... będzie cztery lata temu..

P-r. Mieszkał wtedy na Grochowej?... Cztery lata temu!... Tak?..

Wołkow. (spokojnie). Tak jest.

P-r. A przeprowadził się Klein na Grochowę przed laty sześciu?..

Wołkow. Nie pamiętam... Zdaje się...

P-r. Według informacyi cyркулу... w Czerwcu r. 1903 ? Słyszałeś pan?..

Wołkow. Tak... to będzie lat sześć temu.

P-r. A zatem... Pietrow nie mieszkał u Kleina w r. 1903-im... na Kanale Katarzyny № 149-A?..

Wołkow. Zdaje się... nie.

Podsądny. (zrywa się ze strasznyim okrzykiem). Mieszkał!.. mieszkał! (dostaje histerycznego śmiechu).

Chwila zamieszania. Wiele osób powstało z miejsc.

Prezes. Czy nie ogłosić przerwy?



Adwokat. (podając wodę podsądnemu, któremu zęby dzwonią o szklanke). Nie... On zaraz uspokoi się...

Prezes. Klein! jakże czujecie się?

Podsądny (słabym głosem). Dobrze.

P-s. Świadkowie wszyscy przesłuchani. Czem strony pragną jeszcze dopełnić śledztwo?

Prokurator. Ja — niczem.

Adwokat. Ja prosiłbym o odłożenie sprawy dla zasięgnięcia informacyi z cyrkułu, czy w Maju roku 1903-go Pietrow mieszkał na Kanale Katarzyny...

(Podsądny nachyla się nad adwokatem i coś mu szepcze, potrząsając nerwowo rękoma. Adwokat odwraca się doń, coś mu tłumaczy — potem zwraca się ku sądowi): Podsądny stanowczo nie życzy sobie odkładania sprawy... Zatem zrzekam się dodatkowych informacyi!...

Prezes. A panowie przysięgli? Mają jakie dodatkowe życzenia?

Przysięgli. Nie.

P-s. Podsądny?

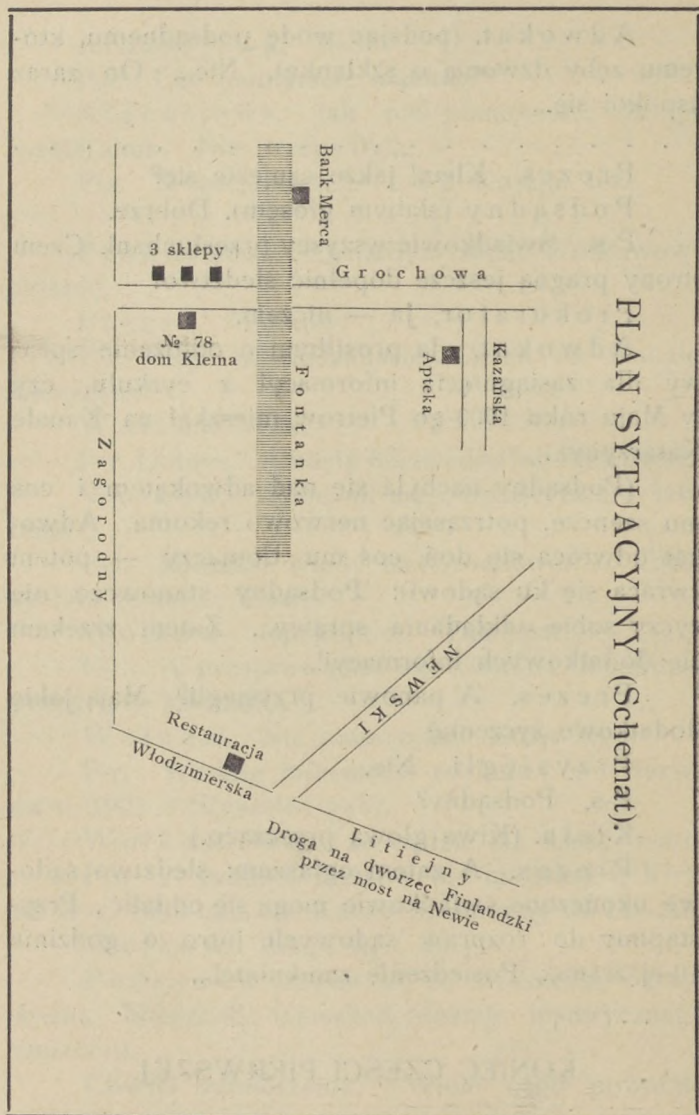
Klein. (Kiwa głową przecząco.)

Prezes. A zatem ogłaszam: śledztwo sądowe ukończone, świadkowie mogą się oddalić.. Przyśiądźmy do rozpraw sądowych jutro o godzinie 10-ej zrana... Posiedzenie zamknięte!...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



PLAN SYTUACYJNY (Schemat).





**Część druga.**



Część druga.



## MOWA PROKURATORA.

Panowie Sędziowie Przysięgli!

13-go Lipca roku zeszłego w Petersburgu spełniono jedną z tych okropnych zbrodni, które rzucają w otchłań rozpaczyny nieszczęsne matki ofiar, wywołują przy opowiadaniu o nich rumieńce wstydu na licach młodych dziewcząt i oburzają sumienie każdego jako tako przyzwoitego mężczyzny.

W godzinie wieczornej jeden z cichych Petersburskich domów wydarty został ze spokojnego snu swojej powszedniej egzystencji — wołaniem „na pomoc“, które obilo się o ściany klatki schodowej od góry do dołu...

Na strychu znaleziono zgwałcone dziecko. Nie będę malował wam obrazu przestępstwa — słyszeliście szczegóły od świadków i zapewne jest wam jeszcze pamiętny zimny dreszcz, którego musieliście zaznać, słuchając ich naiwnej opowieści. Bez wątpienia, w duszach waszych, równocześnie ze zgrozą, żalnością, obrzydzeniem, musiała się zjawić myśl o konieczności odkupienia przez winowajcę zbrodni tak nikczemnej — szlachetna myśl o zadaniach ludzkiej sprawiedliwości. I spodziewam się, że myśl ta towarzyszyć wam będzie przy na-



radach nad niniejszą sprawą w waszej komnacie sędziowskiej. Prawem fizycznego świata jest to, że wszelkiej akcji odpowiada równa reakcja. Prawo świata moralnego zawiera się w tem, że na zbrodnię społeczność odpowiada karą!

Zgwałconą została dziewczeczka, w najdelikatniejszych latach, w siódmej wiosnie życia — nie znająca jeszcze burz namiętności, nie pojmująca jeszcze wstydu dziewiczego, jeszcze chowana w nieświadomości przez samą naturę. Podeptano o zorzy wiosennej kwiat polny. Dzika żądza gwałtem rozwarła pączek, dla którego godzina rozkwitu jeszcze nie nadeszła.

Widzieliście to blade, niewinne dziecko, na którem już legła pieczęć jeszcze nie pojętej dlań miłości płciowej — albo, właściwiej mówiąc w danym wypadku, *płciowej nienawiści*. Albowiem jeno nienawiść, zda się, mogła nie oszczędzić wczesnego wieku i niewinności dziecka.

Poszczęściło się wam zobaczyć to dziecko w momencie ataku — i wiadomo wam, że epilepsja jest darem, który zbrodniarz pozostawił małej na całe życie. Świadectwo lekarskie nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości.

Wicie, jak żywą i śmiałą była dziewczynka Afanasjewych. Wszyscy kochali ją w całym domu. Surguczow darzy ją jabłkami. Sasza, nawet w pośpiechu, biegnąc za sprawunkami swojej pani, zatrzymuje się na jej widok, wpatruje w stojącą na becze i zapamiętuje jej dziecięcy belkot: „lewizja!“ Wasniecowa, człowiek w najwyższym stopniu przejęty interesami, wstrzymuje na jej wołanie doroż-



karza — jakkolwiek spieszy na dworzec — i podwozi dziewczynkę do rogu ulicy...

Słyszeliście od lekarza, że była ona wybornie odżywiana i doskonale zbudowana... A dzisiaj jaka zmiana!.. Dziewczynka powstrzymana została w rozwoju. Wszyscy domownicy wołają chórem: „zglupiała!“.

I to jest prawdą! Zauważyliście, jak stała się bojaźliwą. Zewsząd wygląda niebezpieczeństwa. Strach stał się towarzyszem dziecka — może na całe życie. Oszukaną została ufność małej w tej samej chwili, gdy miała ona prawo do opieki każdego dorosłego mężczyzny, do tej troskliwości, jaką okazał jej Surguczow, gdy upadła w pośrodku ulicy...

*Dziecko jest najwyższą świątynią dla starszego pokolenia... Ono jest przedłużeniem życia każdego z nas, co odchodzimy ku mogile... Ono jest przyszłością ludzkości!..*

\* \* \*

I oto człowiek, który podszedł ku małej z uśmiechem, ze słodyczami w ręku — zadał jej ból, zniszczył jej zdrowie, zadusił jej rozum, uczynił zamach na jej przyszłość, ukradł jej honor kobiecy, zanim ten się narodził. Naogół, dziewczynka w rok niespełna zmieniła się tak bardzo, że Wasniecow nie był w stanie jej poznać.

Mądrość ludowa znalazła doskonałe określenie dla tego, co uczyniono z Maszą. Słyszeliście, z jakim bólem powtarzała jej matka: „popsuli“ mi dziecko“.

Tak jest, zepsucie trąciło młodą duszę i młode ciało — i nie rozkwitną już one normalnie!



„Z niej już nic nie będzie“ — mówili z przerażeniem jej rodzice.

Pragnę, abyście zapamiętali to sobie, Sędziowie Przysięgli — iżby żaden krzyk histeryczny nie odwołał was z dróg sprawiedliwości, ażebyście w momencie słabości nie przejęli się litością względem tego, kto nie ulitował się nad dzieckiem i zbrukał je błotem swej rozpusty!..

A jestem głęboko przekonany, że winowajca znajduje się przed wami — że siedzi tu, na ławie podsądnych...

\* \* \*

To też nie zdaje mi się bynajmniej, że sprawa obecna otoczona jest jakąś mgłą tajemniczą. Nie bacząc na uporczywe zapieranie się podsądnego, na wypadkowo przeciągnięte śledztwo sądowe, na wszelkie starania obrony (zresztą korzystającej li tylko ze swych praw) odnalezienia przestępców na innych drogach, sprawa niniejsza nie jest wcale zagadkową. Materiał poszlak faktycznych jest równocześnie prosty i obfity. Sam przez się wystarczą dla oskarżenia. Zaś śledztwo sądowe depelnio go danemi psychologicznemi, które oskarżeniu nadają moc stalil...

Zajmijmy się przedewszystkiem materiałem faktycznym.

\* \* \*

I pierwszym dowodem — tem, co nazwę kamieniem węgielnym gmachu oskarżenia — jest świadectwo samej Maszy. Sędziowie Przysięgli ofiara sama wskazała przestępcę. Wskazała go wprost



i ukośnie — na pierwiastkowym i na sądowym śledztwie, swoim dziecięcym rozumem i dziecięcym instynktem.

„Pan z białą brodą“ — oto jak wypukle scharakteryzowało mądre dziecko swego zoczyńcę natychmiast po zbrodni. „On zwabił mnie cukierkami“ — zeznaje Masza przed sędzią śledczym, który, być może, (nie będąc w tej kwestyi spierał się z obrońcą) użył własnego wyrażenia, lecz niewątpliwie oddał dokładnie myśl małej.

I zauważcie: dziecko wprzód nie obawiało się panów „z białą brodą“. Wasniecowa jest również blondynem, jak i Klein. Obadwaj mają brody jednego koloru. Ale Masza przed owym wypadkiem nie bała się blondynów. Pozwoliła Wasniecowskiemu wziąć się na kolana, sama skoczyła doń na stopień dorożki. A później, po zbrodni, podlega ona atakowi epilepsyi, kiedy podchodzi do niej jakiś lokator, inżynier — „z brodą niemiecką“, jak wyrażali się świadkowie.

I tu, przed sądem, zachowuje się ona z początku śmiało, niemal z zupełną swobodą: nie zlekła się nikogo z nas — a iluż tu mężczyzn i jak niezwykle dla dziecka otoczenie! Ale dość było, żeby do małej podszedł podsądny — ogarnia ją nerwowe drżenie. Podsądny zwraca się ku niej ze znanym zdradzieckim pytaniem, proponuje jej cukierki — i usta dziecięcia krzywią się boleśnie. Następuje atak. Masza poznała swojego kusiciela. Coś głęboko ukrytego, nieświadomego, drgnęło! Instynkt dziecięcia przemówił nieomylnie — i martwa błądź pokryła lica przestępcy!

Pamiętacie wszyscy tę wymowną scenę, wo-



bec której błędnie wszelkie krasomówstwo oskarżycielskiej trybuny...

\* \* \*

A następnie... cukierki! Cukierki w torebce z etykietą sklepu bakalijskiego Merzłakowa, gdzie podsądny zaopatrywał się w cukierki... dla dzieci! Te cukierki miał zawsze przy sobie. Nosił je, jak rybak nosi pudełko z glistami dla łowienia ryb. Oczekiwał dogodnego momentu. *Cukierki były wabikiem.* Znalaziono je w ustach nieszczęsnego dziecka. Zbrodniarz chciał zagłuszyć niemi jęk ofiary.

Widzieliście, jak dziecko przeraziło się, gdy podsądny wspomniał mu o słodyczach. Napad epileptyczny w sądzie był tedy echem okropnej sceny, która rozegrała się na strychu. Małej przypomniał się gwałcieciel — przypomniał jego podarek... Odwróciła się odeń z pianą na ustach... Jednej tej poszlaki dość — według mego zdania, ażeby obwinić Kleina.

\* \* \*

Ale Opatrzność zapragnęła dać sprawiedliwości w ręce poważniejszy argument... *Owa laska z rączką pornograficzną — która zdaje się być symbolem duszy podsądnego... która zdradza tajne chucie jej pozornie skromnego właściciela* — ta laska stanowi ni-by główną kopułę oskarżycielskiego gmachu!

Panowie przysięgli! ta laska znajdowała się w rękach Kleina jeszcze w aptece — przyznał to Wołkow, przyjaciel podsądnego; nie było jej przy nim już w kwadrans później, w restauracyi — to także przyznaje Wołkow. Któż ją zostawił przy dziecku? Jakie tajemnicze ręce wydarły ją z rąk







Taski przy swojej ofierze, to, umknąwszy na wieś, ukryłby się przed podejrzeniami i, panowie przysięgli, oszukałby sprawiedliwość nie po raz pierwszy!) Potrafi on też kłamać doskonale: wie, o czym dla swego ocalenia zamilczeć powinien; toć walczyliśmy z jego uporem przez dwa dni nadaremnie: jednak się nie przyznał!.. On wybornie panuje nad sobą — zrzadka tylko dając folgę nerwom... dla obudzenia współczucia! Sądzę, że w życiu powszednim umiał doskonale zwodzić i żonę i przyjaciela. Zapewnie miał zawsze na pogotowiu jakąś zmyśloną historyjkę w rodzaju owej „operacyi“, którą nas uraczył. Słowem, jest to człowiek, któremu udawało się, dzięki przebiegłości niezwykłej, przez długie lata nosić maskę.

Czem więc było to, co zatrzymało jego wzrost duchowy, zabiło w nim ambicję, szlachetniejsze dążenia, pragnienie wybicia się, co zabiło jego energię na drodze życia?.. Panowie przysięgli! ja sądzą, że to był demon żądzы płciowej, bies lubieżności!.. Powiem gorzej, aby być bliższym prawdy: — niejaka *perwersja zmysłów!*

Nie udało się nam poznać jego życia w latach młodości. Ale wiemy, że do ostatnich czasów nie przestał on zwracać pożądliwych oczu na niedojrzałą dziewczętą. Świadectwo Barbary Gorgolinej jest nad wyraz charakterystyczne pod tym względem: rumieniła się ona pod jego spojrzeniem i uciekała przed nim.

A jednak zdołał on ukryć przed oczyma sąsiadów i towarzyszy swoje nikczemne żądze: wydawał się zawsze skromnym urzędnikiem, wzorowym mężem, poczciwym człowiekiem, rozdającym



cukierki dzieciom z uczuciami ojcowskimi. I zdradzić go mogła chyba — zdradziła go ostatecznie — ta laska z figurką nagiej kobiety, z którą nie rozstawał się, którą zapominał dopiero po nasyceniu swoich bydlęcych żądz! Laska — symbol tego, co zachodziło w tajemniczym mroku duszy podsądnego.

\*  
\*  
\*  
Albo weźmy to jego małżeństwo!.. Nie sędzę, aby przyjaciel Kleina, Wołkow, znał wszystkie szczegóły tej historii. Toć potrafił Klein ukryć przed Wołkowem — pomyślcie, przed swoim najlepszym przyjacielem! — jakiś podejrzaný wypadek ze swojego życia, coś niedobrego w stosunkach ze żoną, jakąś historję, dla zatarcia której bodaj wypadło pożyczyc z kasy bankowej kilkaset rubli!

Dla mnie w sprawie małżeństwa Kleina ważnem i charakterystycznym, jest tylko jedno: ożenił on się z 15-letnią dziewczyną, jeszcze nierozwiniętą; nie oszczędził jej zdrowia, bo nie chciał czekać rozwoju. Pociągały go zawsze nierozkwitłe pączki kobiece. To była jego perwersja — jego rozpustny popęd!

I kto wie, Panowie Przysięgli, czy to małżeństwo z młodą dziewczyną nie stało się już czemś koniecznem? Czy nie stał już wtedy Klein w obliczu groźby przykrego procesu? Czy nie był zniewolony zagładzić grzech ślubami?... Oczywiście, od naiwnego Wołkowa, wierzącego w sentymenty i szlachectwo duszy przyjaciela, nie mogliśmy się o tem dowiedzieć. Ale bodaj czy taki człowiek, jak Klein, zostawszy opiekunem ufnej sieroty, potrafił trzymać na wodzy swoje grzeszne namiętności!?



Nawiasem mówiąc, jego czuła przyjaźń z alkoholikiem mimowoli ujawnia, że pociągało go coś zawsze do ludzi zdeprawowanych...

\* \* \*

Czy było tedy czystem jego życie małżeńskie?.. Nie sądzę. Powiem więcej. Śledztwo sądowe odkryło jedno z cuchnących pęknięć tego życia. Skarga włościanki Eudoksyi Dmecowej, w której Klein oskarżony jest poprostu o deflorację swojej służącej, niepełnoletniej Natalii Dmecowej — jakkolwiek cofnięta przez matkę zdeflorowanej — stanowi nowy dowód przeciw podsądnemu. Cofnięta — to prawda! Ale już nazbyt dziwnie zgadza się data cofnięcia skargi — 17-ty Września 1906 roku, z datą pożyczki tak nagle, tak niezbędnie potrzebnych Kleinowi 500 rubli z banku — z Sierpniem 1906 roku... Czemu Klein nie chciał wyjaśnić przeznaczenia tych pieniędzy? czemu powołał się następnie na jakąś operację, co do której żadnych wyjaśnień dać nie potrafił? czemu zaplątał się w sprzecznościach, gdy Wołkow zaprzeczył, aby zdrowie żony Kleina wymagało kiedy operacji...

Adwokat Zielonyj odmówił wprawdzie dania jakichkolwiek zeznań w sprawie ugody między Kleinem i Dmecową — adwokacka tajemnica! — niechaj i tak będzie!.. Ale tem bardziej mamy prawo podejrzewać, że ta ciemna historia została zatarta... zatarta za pomocą pieniędzy... Boć inaczej chyba Dmecowa, cofając skargę przeciw Kleinowi, wskazałaby innego winowajcę...

Czy to nieporozumienie pomiędzy Kleinem i jego żoną, o którym mówił nam Wołkow — to jej zacięte milczenie w ciągu miesiąca — ta nie-



zgoda, która miała miejsce również trzy lata temu; po powrocie z daczy... więc w tym samym właśnie czasie... nie staje się zrozumiałą na tle skargi Dmecowej!?

I bodaj że pani Klein wzięła następnie do usług starowinę — służącą, aby zabezpieczyć swoje ognisko domowe od wypadków w rodzaju tego, który zdarzył się, gdy u Kleinów usługiwała 15-letnia Natalja Dmecowa... Wypadek ten wycisnął zapewne wiele łez żonie podsądnego... Te łzy, które w jej oczach widziała Wasniecowa — nie były chyba jedyne...

Dlatego myślę, panowie przysięgli, że życie Kleinów nie było podobne do bezchmurnej idylli, za jaką chciał nam podać je drub podsądnego... Jenó że pani Klein nie było przyjemnem przynosić swoją hańbę, swój ból, swoje rozczarowanie, łzy swoje, do oświetlonej sali publicznego sądu! Ale jej ciche łzy w pokoju przyjęcia u adwokata do spraw rozwodowych zdradzają to, o czem przemilczała przed wami nieszczęśliwa małżonka.

Zamaskowany cudzołożnik skryty lubieżnik, człowiek z przewrotnymi skłonnościami płciowymi — oto czem jest Klein, panowie przysięgli!

A tem śmieiej stawiam to twierdzenie, że w życiu podsądnego, że na jego sumieniu, postrzegam niejedną plamę haniebną!...

\*  
\*  
\*

Panowie Przysięgli!.. w <sup>\*</sup>Maju 1903-go roku w domu pod № 182-A na Kanale Katarzyny popełnioną została zbrodnia zupełnie analogiczna z obecną, tak samo piekielna i haniebna, acz koniec jej był bardziej tragiczny: ofiara zwierzęcej chuci umar-



ła! I oto, co jest dziwne: i w tamtym wypadku miejscem spożycia zakazanego owocu był strychni.. Sędziowie przysięgli, przestępca nie został odszukany naówczas — ale w tym domu... mieszkał wtedy Klein!..

A jakkolwiek wieloletni przyjaciel podsądnego starał się go wybielić, nie ośmielił się on przecie w obliczu sądu zadać kłamu prawdzie... nie miał odwagi zwrócić fałszywie podejrzenia w inną pożądaną dla przestępcy, stronę... nie odważył się rzec, że Pietrow w owym czasie zamieszkiwał u Kleina. Histeryczny krzyk podsądnego w tym momencie był jękiem człowieka, który poczuł, że nie uda mu się ukryć za cudzemi plecami przed groźnym spojrzeniem sprawiedliwości! Pamiętajcie, że Klein nie zechciał odłożyć sprawy dla zbadania ksiąg meldunkowych... Oczywiście nie oczekiwał ztamtąd ratunku.

Niegdyś potrafił on dobrze schować końce w wodzie -- odegrał jeszcze rolę dobroczyńcy wobec matki ofiary!.. Ale prawdopodobnie dręczyła go trwoga i złe sumienie: pospiesznie przeniósł się do innego domu... Lecz wspomnienie zadowolnionej dzikiej chuci żyło w nim; widział, że udało mu się uniknąć sądu i kary; uwierzył tedy, że i poraz wtóry może zbrodni dokonać bezkarnie: postanowił skopiować obraz własnego przestępstwa — i oczekiwał tylko chwili podatnej.

Taka chwila nadarzyła się w dniu 13 Lipca 1908 roku. Na strychni domu przy ulicy Grochowej № 78 w pazurach lubieżnika zaszamotała się nowa ofiara — biedna Masza!

Oto ta droga psychologiczna, po której pod-



sądny stoczył się ku nowej zbrodni... i tym razem trafił na ławę podsądnych!

\* \* \*

Zdawałoby się, że swój obowiązek oskarżyciela wypełniłem całkowicie. Odmalowałem wam konterfekt przestępcy i wskazałem ślady jego zbrodniczych dotknięć. Innemi słowy: pokazałem wam pochyłość psychologiczną, po której ten człowiek staczał się przez całe życie, i końcowy punkt jego ruchu, na mocy dowodów materialnych sprawy. Mógłbym rzec: strych z pożółkłym trupem małej Dary i strych z posiniałą w napadzie epileptycznym twarzyczką Maszy — oto dwa czarne punkty, które określają kierunek okropnej prostej linii życiowego ruchu Kleina.

Ale, sądząc ze sposobu prowadzenia śledztwa przez obronę, uczyni ona rozpaczliwy wysiłek, aby dowieść, że... dwa punkty nie określają kierunku prostej, albo — żeby nie zarzucono nam zbytku uszczypliwej ironii — że droga Kleina stanowi linię nie prostą, lecz łamaną, która w godzinach obu zbrodni odchyłała się od wskazanych czarnych punktów. Innemi słowy, obrona powoła się na *alibi* Kleina.

Powiedzą nam; „cóż z tego, że udowodniliście psychologiczną możliwość zbrodni dla Kleina i obecność jego rzeczy na miejscu przestępstwa?! Skoro z pomiaru czasu okazuje się, że Klein w *momencie zbrodni* nie mógł być *na miejscu zbrodni*, ponieważ w tym samym momencie znajdował się *w innym miejscu* — to w oczach sumiennego sądu przepada waga psychologicznych danych i materialnych przesłak. Że ktoś mógł dokonać zbrodni — nie jest



dowodem, że jej dokonał. Że czyjeś rzeczy znalazły się na miejscu zbrodni — to nie dowód, że był tam sam właściciel. Podejrzenie ginie, gdy istnieje pewność *alibi*.”

Otóż pragnąłbym dowieść wam, panowie przysięgli, że to powołanie się obrony na *alibi* (przewidując je) nie wytrzyma krytyki. Zamierzam pozycję oskarżycielską obwarować przeciw szturmowi z tej strony. Odpáruję z góry ciosy obrony na gruncie *alibi*. A wtedy fundament dla wyroku skazującego Kleina okaże się niezachwianym!.

\* \* \*

A więc zbadajmy kwestję momentu przestępstwa.

... Wasniecowa, jadąc na banhof kolei Mikołajewskiej, widział dziewczynkę na ulicy, podwiózł ją nieco; Surguczow wkrótce potem odprowadził ją do wrót jej domu.

Wasniecowa wyjechał z domu o godzinie 5-ej po południu. Ten fakt ustalony został przez śledztwo. W tej mierze zgadzają się zeznania Wasniecowa, jego żony i ich służącej, Aleksandry Winnickiej, która zostawiła strych otwartym nie nadługo przed wyjazdem swojego pana. (Oczywiście przeciw wagą tych zeznań, w podstawie których leży godzina odjazdu pociągu Mikołajewskiej drogi — nie może być zeznanie mało inteligentnego Surguczowa, który nie poznał Wasniecowa na śledztwie i zapomniał czas, kiedy po raz ostatni widział Maszę, pomieszawszy godziny swego śniadania i obiadu).

Z drugiej strony, ściśle określenie czasu przez lekarza, Zawolżina — Strieleckiego, nie pozostawia wątpliwości, że dziewczeczka Afanasjewych znale-



ziona została, po dopełnieniu na niej ohydneho gwałtu, około godziny 7-ej.

A zatem zbrodni dokonano pomiędzy 5-ą a 7-ą godziną wieczorem. Temu napewno nie będzie przeczyć i obrona. To fakt niewątpliwy.

\* \* \*

Ale granice czasu, kiedy przestępstwo mogło być dokonane, dla Kleina okazują się węższymi. Według zeznania Wołkowa, wyszedł on z banku ze świadkiem mniej więcej w zwykłym czasie t. j. około piątej, i zaszedł z nim razem nasamprzód do apteki — tę część świadectwa Wołkowa przyjmuję bez zastrzeżeń. Według zeznania tego samego świadka, Klein z restauracyi udał się w kierunku dworca Finlandzkiej Drogi żelaznej, mniej więcej na 25 minut przed odejściem pociągu do Jeziorków. Pociąg odchodził o 6 godz. 5 minut — przeto Klein, aby zdążyć do pociągu, musiał wyjechać z restauracyi o godz. 5 minut 40. I tę część zeznania Wołkowa przyjmuję.

Potwierdzają ją dwie okoliczności — notatka w kronice „Petersburskiego Echa“ i świadectwo żony Kleina. Obalać wypadkową wzmiankę gazeciarską, w której wprost zaznaczono, że Klein jechał z mostu Litiejnego w kierunku dworca — byłoby jawnem bezsensem. Wobec tego, świadectwo żony podsądnego nie wniosło do sprawy nic nowego. Mąż jej zjawił się w Jeziorkach w zwykłym czasie t. j. o 6-ej min. 40, co znaczy, że wyjechał pociągiem o godz. 6 m. 5. Nie przypuszczam ani na chwilę, aby ta kobieta mogła mówić nieprawdę. Można przebaczyć mężowi, który zdradził przysięgę wierności małżeńskiej — to prawda; ale nie mo-



gę wyobrazić sobie nawet najmocniej kochającej kobiety, która wybaczyłaby zdradę w tak nikczemnej formie — która zgodziłaby się trwać w związku małżeńskim z człowiekiem, gwałcącym dzieci. Bodaj, możliwem by to było, gdyby chodziło o kobietę rozpustną, o uczuciach pierwotnych, charakteru nikczemnego. Potrzebujęż mówić, że żona podsądnego takiego wrażenia nie sprawia?...

Pewny ton jej głosu, oczy patrzące jasno, zwrócone, że tak powiem, przez cały czas badania w oczy sądu (umyślnie śledziłem je z uwagą) — nie pozostawiają ani cienia wątpliwości, że mówiła prawdę. Jest ona nieświadomą ofiarą swego męża — nie zaś świadomą współniczką jego walki ze sprawiedliwością. Sądzę, że ona sama przejęła się wiarą w niewinność swego męża — wydaje się jej, że nie popełnił tego przestępstwa, gdyż jakoby nie miał po temu czasu. Wie od Wolkowa, że wyszedł z nim razem, razem z nim udał się do restauracyi — wie, że przed szóstą wyjechał z miasta, aby w zwykłym czasie przyjechać do niej. Nieszczęśliwa, chwytła za słomkę, aby odepchnąć widmo potwornej zdrady!...

Nas przecie nie krępują uczucia — małżeńskie, lub przyjacielskie — my szukamy prawdy, gotowi zjarzyć jej w oczy, jakąkolwiek się okaże.

\* \* \*

Więc jeżeli Klein popełnił zbrodnię, mógł jej być dokonać tylko pomiędzy piątą a szóstą po południu — nieco po piątej, gdy dziewczynka wysiadła z dorożki Wasniecowa i powróciła do domu, a najpóźniej dwadzieścia minut przed szóstą, kiedy podsądny udawał się na kolej.



Chwila dla przestępstwa okazała się wybornie dobraną.

W bramie bawiła się Masza, dopiero co przyprowadzona przez Surguczowa, jeszcze wstrząśnięta upadkiem przed kopytami końskimi, gotowa przyjąć wszelką pieśczętę, a zwłaszcza od znajomego jej pana, rozdającego dzieciom cukierki. Bramy nikt nie pilnował. Starszy stróż wyjechał na wieś. Afanasjew udał się do cyrkułu zameldować o wyjeździe Wasniecowa. Drugi stróż, Kodlubajew, jeszcze znajdował się przy rewizyi w zamkniętem mieszkaniu Susłowej. Schody w całej oficynie jakby wymarły. Naprzeciw Susłowej puste mieszkanie, gdzie schły świeżo malowane ściany. Na drugim piętrze — pani Jefinienko wyjechała, pozostawiwszy tylko starą Katarzynę, która bodaj zdrzemnęła się, bodaj zajęła się praniem bielizny. Naprzeciwko w mieszkaniu Kleinów, pozostawał tylko śpiący martwym snem Pietrow i lubo zajęta przy chorym, lubo siedząca w swoim pokoju stara francuzka. Na trzecim piętrze — po jednej stronie — zamknięte mieszkanie Wasniecowych; pani Wasniecowa wyjechała niemal zaraz po wyjeździe męża i zwolniła wcześniej służącą. Po drugiej stronie zamknięte mieszkanie porucznika Rozenkranca; ani pana, ani deńszczyka nie było w domu. Wreszcie, na czwartym piętrze — zatarasowane od wewnątrz mieszkanie Korowinej, drżącej o swoje skarby — i naprzeciwko śpiąca pijanym snem w zamkniętej izbie prostytutka Głafira Kosaja. W takich warunkach łatwo było prześlizgnąć się niepostrzeżenie wraz z Maszą po schodach na strych.

\*

\*

\*



Cała kwestja sprowadza się tedy do tego, czy Klein był w owym czasie — pomiędzy 5-tą a 6-tą w domu?

„Byłem“ — przyznaje sam podsądny.

„Był“ — stwierdza przyjaciel jego Wolkow.

„Był“ — powiada stróż, Kodłubajew.

„Był“ — mówi francuzka, Joiffrin.

„Był“ — zapewnia Warja Gargolina.

„Był“ — zgodnie z tem świadczą Susłowa i Archimonow.

Ale każde z tych zeznań opatrzone jest przez świadków pewnemi komentarzami, które wymagają szczegółowej analizy — aby ziarno prawdy odłączone zostało od plew mimowolnego lub umyślnego fałszu.

\* \* \*

„Byłem“ — mówił podsądny na pierwiastkowym śledztwie, „ale po to tylko, aby zanieść lekarstwo choremu słudze“. O tem, jak ozwał się w nim poszept pokusy, jak pchnął go ku niewinnemu dziecku, jak pociągnął ofiarę na miejsce zbrodni — od podsądnego pragnącego uniknąć kary, oczywiście się nie dowiemy.

„Był“ — powtarza Wolkow i dodaje w ślad za podsądnym — „ale nosił tylko lekarstwo dla Pietrowa“. I tu ulegając uczuciu przyjaźni — prawdopodobnie w przekonaniu o niewinności Kleina — odstępuje on mniej więcej od prawdy. „On nie mógł w owym momencie spełnić zbrodni, ponieważ nie miał do tego czasu. Zdążyłem zaledwie wypalić jednego papierosa, gdy Klein już powrócił“.

Cała tedy obrona Kleina przez Wolkowa sprowadza się do tego twierdzenia: „ja palę papierosy



bardzo *prędko*". Twierdzenie nader elastyczne. Cóż znaczy „prędko”? A czy nie zagadał się Wołkow w sklepie z jakimś subjektem, lub przypadkowym kundmanem. Toć że on lubi pogawędzić. Przypuśćmy, że przeczekał 10—15 minut — czas, zupełnie wystarczający do dokonania zbrodni. Mógł-że być niecierpliwym? Wiedział przecie, że Klein poszedł do chorego... I czyliż już tak dobrze zapamiętał, że wypalił tylko jednego papierosa?... Zresztą, jak długo pali jednego?...

Budować całą obronę Kleina na twierdzeniu jego *najlepszego* przyjaciela, że podsądnemu brakło czasu dla dokonania zbrodni, podczas gdy wszystkie inne dane sprawy mówią przeciw Kleinowi — jest to wystawiać przeciw kulom armatnim pancerze z pajęczyny!

A kto wie?.. może podsądny, obierając dla przestępstwa chwilę, gdy oczekiwał nań przyjaciel, już mówił sobie: „Kto uwierzy, że w takiej chwili dokonałem zbrodni?!“ Oto, jak chytrność Kleina z góry przygotowywała ów argument obronny, który rzekomo miał się stać potrzaskiem dla sprawiedliwości!...

Ale gotów jestem iść jeszcze dalej. Ton zeznania Wołkowa był tak gorący, portret Kleina pod pędzlem tego świadka nabrał kolorów tak jasnych i miękkich, obraz małżeńskiego pożycia Kleinów, wbrew prawdzie, był tak zupełnie pozbawiony cieniów, — że trudno mi wierzyć w bezstronność Wołkowa. On chce przedewszystkiem ocalić przyjaciela!

Oto czemu przypuścić wolno, że Wołkow nie oczekiwał wcale na Kleina w sklepie tytoniowym,



ale w restauracyi. Możliwą jest rzeczą także, że Klein z restauracyi na chwilę pojechał do chorego — powrócił następnie dopić butelkę szampańskiego z solenizatantem. Wówczas do stałego rozdrażnienia płciowego Kleina przyłączyłby się jeszcze rozpalający wpływ alkoholu.

Kłamstwo Wołkowa nie zdziwiłoby mnie wcale. Byłoby to kłamstwo długoletniej przyjaźni, oparte na kredycie moralnym, który zjednał sobie Klein u Wołkowa.

Ale Wołkow nie ośmiela się kłamać tam, gdzie zdradziłby się natychmiast. Przyznał on, że Klein wyszedł z apteki z laską, a wyjechał z restauracyi na dworzec bez laski. Już Kodłubajew widział go bez laski... Cóż się z nią stało?...

Nie zdając sobie sprawy z tego, Wołkow mimowoli „zdradza“ swego przyjaciela, mówiąc o jego złem usposobieniu w restauracyi, przy kieliszku szampańskiego, kiedy Klein — jakby zdawać się mogło — winien był oddawać się weselu wraz z druhem — solenizatantem.

„Martwiła go choroba Pietrowa“ — to dziecinne wyjaśnienie nie wytrzymuje krytyki. Toć-że sam Klein oświadcza: „lepiej byłoby, gdyby Pietrow umarł“. Cóż za dziwne słowa w stosunku do służącego, o którego Klein dbał tak mocno, któremu dopiero co zaniósł lekarstwo! Czy nie czujecie panowie przysięgli, że to nonsens, który wymyka się z ust człowiekowi, wstrząśniętemu dopiero co dokonaną zbrodnią — słowa bez związku, wymawiane przez człowieka, którego sumienie jest nieczyste, który sam nie wie, co mówi...

\*

\*



Niewątpliwie, znajdował się on wówczas w ciężkiem usposobieniu.

„On nie był ani blady, ani czerwony — oświadcza w swoim wymownym języku stróż Kodłubajew, który zauważył wyslizgującego się z wrót i zgiętego pod ciężarem przestępstwa. Tak też być musiało! Zalewała go naprzemian czerwień rozszalałej lubieżnie krwi i śmiertelna bladość przerażenia na myśl, że jeżeli zbrodnia odkryje się w tej chwili, zdolają go pochwycić jeszcze w bramie. Jak uciekinier, spieszy on przejść na drugą stronę ulicy, jakkolwiek do restauracyi na Włodzimierskiej byłoby mu dogodniej iść tą stroną, po której znajduje się dom jego na Grochowej, jak widać na planie miasta...

„Zawołałam na niego“ — opowiada francuzka, która widziała go na moment przedtem w jego mieszkaniu. „On nie odpowiedział“. — Tak jest! nie słyszy jej. Może jeszcze w uszach jego brzmi zagłuszony jęk dziecka. Chowa twarz przed swoją lokatorką w szafie z odzieżą żony. Pamięta on, że obiecał wziąć coś dla żony — zarzutkę, — ale w głowie jego tak miesza się wszystko, że zapomina czego szukał, jak na chwilę przedtem zapomniał swoją laskę na strychu. On nie zajrzał do Pietrowa — dodaje francuzka — ba! trudno mu było myśleć o tem. Chwila, kiedy, zdążając do mieszkania, napotkał we wrotach, lub, co prawdopodobniejsza, przed sienią oficyny maleńką Maszę, która zaglądała tuż w okno Susłowej podczas rewizyi — stała się dlań fatalną. Pokazując małej torebkę z cukierkami, pociągnął ją za sobą na górę...

\*

\*

\*



Oba zeznania — Kodłubajewa i francuzki — są tak obrazowe, tak wiernie malują pewne szczegóły, których zmysleć niepodobna, że ani na chwilę wątpić nie można, że Klein uciekał po dokonaniu zbrodni... Uciekał — podniósł kołnierz palta i kapelusz nasunął na oczy — krył się!..

Susłowa i Archimonow, którzy również widzieli Kleina wychodzącego w tym właśnie czasie z domu, nie zauważyli w nim, co prawda, tej zmiany. Ale — nie ulega wątpliwości, że będziecie raczej dowierzać oczom rozsądnie i trzeźwo odpowiadającego Kodłubajewa i bystrym spojrzeniem francuzki, niż pijanym oczom Archimonowa i zapłakanyim oczom Susłowej, która... nadomiar ma pewne obowiązki wdzięczności względem Kleina...

\* \* \*

Oczywiście nie zbije was z tropu ta okoliczność, że zarówno Kodłubajew, jak i francuzka, błędnie wskazują godziny pobytu Kleina w domu.

Niepowtarzalność momentów czasu i niemożność znajdowania się w jednym czasie w dwóch miejscach, czynią z *alibi* najmocniejszy dowód obrony sądowej. Dla tego kwestja czasu wymaga najbardziej sumiennej analizy w procedurze śledczej.

Ale nie zapominajmy, że nie wiele osób potrafi dobrze określać czas — że niewiele osób zwraca nań uwagę świadomie i często — że pamięć nasza w tej mierze skłonną jest do błędów o skali nader szerokiej, — że zrzadka tylko śledztwo dostarcza nam solidnych punktów oparcia dla określeń czasu, np. moment odejścia lub nadejścia pociągu... (zresztą i te punkty niekiedy nie są dość stanowcze, boć i pociągi się spóźniają).



Dlatego niepodobna przywiązywać wagi do wszelkich określeń czasu, których dostarczają śledztwu świadkowie. Należy z wielką uwagą wybierać wśród sprzecznych określeń te, które mają najpoważniejszą podstawę, przywiązane są do najpewniejszych momentów, wyrachowane i wytłomaczone najszczegółowiej. Taką solidną wagę mają w danej sprawie określenia Wasniecowa i d-ra Zawołżyna...

Natomiast, jakkolwiek uważny i sprawny, sądząc z zeznania, jest świadek Kodlubajew, ścisłości jego w określeniu czasu niepodobna zawierzyć. Oczywiście myli się on, jak bez wątpienia omylił się Surguczow. Ten ostatni odniósł błędnie moment spotkania z Maszą, biegnącą do domu po odjeździe Wasniecowa t. j. *po 5-ej*, na cztery, pięć godzin wstecz, ku południowej godzinie, — *Kodlubajew odnosi moment spotkania z Kleinem na godzinę, dwie, naprzód.*

Pomyłka Kodlubajewa jest zrozumiała i łatwo daje się usprawiedliwić. Zmierzch letni jest u nas jasny — zmiany światła w ciągu wielu godzin wieczornych niewielkie, a Kodlubajew oczywiście sądzi o czasie według nieba. Zważcie, iż moment spotkania z przestępcą przenosi on nawet na godzinę *ósmą*, t. j. na chwilę, kiedy już Masza była znaleziona, kiedy po podwórzu rozeszła się wieść o zbrodni i domownicy zbiegli się w mieszkaniu Maszy, gdzie już znajdował się lekarz; — a pomyłka jego stanie się jeszcze oczywistszą dla nas. Nie o 8-ej ani o 7-ej widział on Kleina. Widział go pomiędzy piątą i szóstą, kiedy Klein niewątpliwie zachodził do domu!

\*

\*

\*



Wydaje się mi, że niema potrzeby zatrzymać się przydłużej na świadectwie Margarety Joifrin co do czasu jej spotkania z Kleinem fatalnego dnia 13 Lipca w godzinach popołudniowych. Wskazuje ona taki moment, gdy Klein niewątpliwie znajdował się w drodze do Jeziorków. Jej wspomnienia opierają się na rachubie godzin lekcyi. Ale mogła ona zejść do domu pomiędzy jedną a drugą lekcją — dawała je w pobliżu — mogła też przepuścić lekcję, choćby ze względu na chorobę Pietrowa, do którego odnosiła się z widocznem współczuciem, albo wogóle tego dnia wróciła do domu wcześniej. Takie drobiazgi po upływie dziesięciu miesięcy, zapomina się z łatwością.

\* \* \*

Pozostaje do analizy zeznanie Barbary Gargolinej. Sądzę, że nie zbije ono was z tropu. W tem zeznaniu mogłoby mieć wagę jedno — że widziała ona Kleina w obiadowej porze na schodach oficyny domu № 78 przy ulicy Grochowej — gdyby fakt ten nie był już ustalony przez wiele innych źródeł.

Ale na zeznaniu tego swawolnego i lekkomyślnego... dużego dziecka co do okoliczności tego spotkania nic budować nie można. Jestem mocno przekonany, że zarówno obrona, jak i oskarżenie, muszą wyrzucić to zeznanie za pokład. W istocie, Warja mówi: „Klein schodził na dół... w rękę miał laskę... wytrąciłam mu ją nieumyślnie i, zbiegłszy po schodach, podniosłam i podałam“! Ale wy wiecie, że to niemożliwe... toć ta laska została na strychu.

Nie sądzą, aby ten wypadek miał miejsce, kiedy Klein wchodził na górę. W takim razie Warja



zapomniałaby tylko kierunek. Lecz i to jest niemożliwe... na górę wchodził Klein z Maszą.

Prawdopodobnie wypadek z wytraconą laską miał miejsce kiedyindziej — ale wrażliwej wyobraźni dziewczyny, która ujrzała laskę na strychu, wydało się, że widziała ją tegoż dnia w ręku Kleina. Tego rodzaju przeniesienie wspomnianego obrazu z pewnego momentu na inny stanowi jedną z najczęstszych omyłek naszej pamięci.

Ale... wobec tak oczywistej zdolności tego świadka do przekręcania rozmaitych momentów, czuję się upoważniony jak najbardziej stanowczo zaprotestować przeciw jej twierdzeniu, że widziała ona tego dnia w godzinach popołudniowych porucznika Rozenkranca. Skoro myli się ona najwidoczniej, że w ręku Kleina znajdowała się jeszcze w owej chwili laska, to — sędzę — mogło się jej również przywidzieć, że widziała wówczas porucznika. Laska — panowie przysięgli — była już wtedy na strychu, a porucznik Rosenkranc znajdował się w drodze do więzienia X. z obowiązku służby!

Cała opowieść kokieteryjnej dziewczeczki razi nieprawdopodobieństwem. Gdyby uciekała ona w istocie przed porucznikiem, jakoby czyniącym zamachy na jej różowe usteczka — to nie zawróciłaby, aby podnieść laskę, gdyż obawiałaby się, że wpadnie w ręce wchodzącego na górę swego rzekomego prześladowcy, mieszkającego o jedno piętro wyżej, niż Klein. A więc... fantazje Wari Gargolinej wypada wyrzucić za pokład śledczego okrętu!

\*  
\*  
\*

Zatrzymałem się nieco przydłużej na analizie tego zeznania, gdyż . . . może ono okazać się ważnem







posiadała wagę niezmierną — czyliż uwierzycie, panowie przysięgli, że w takiej chwili zbłądził z drogi? Przyjechał do więzienia na czas, około wpół do szóstej — to zaświadczone przed wami stanowczo. Nie nałożył więc drogi...

Ale, panowie, jest coś ważniejszego nad martwe wskazania zegarowej strzałki, do której obro-  
na odniosła się tak nieufnie. Porucznik Rosenkranc oświadczył się tego dnia córce kapitana Feodosjenko. Twierdzenia wskazówki psychologicznej nie mogą być mylne. Na cyferblacie serca ludzkiego niema przerw ruchu, możliwych na zegarku. Panowie przysięgli, czy w istocie uwierzycie, aby rozpustnik, który dopiero co zniszczył młode życie wstrętym oddechem chorobliwej chuci, mógł tegoż wieczora złożyć oświadczenie miłości czystej dziewczicy? Istnieją granice dla potworności moralnych. To niemożliwe!...

\* \* \*

Albo, poszukując oczyma sędziowskimi winowajcy, zatrzymacie-ż je na figurze młodego i szczerego prostaka, Surguczewa, który tak serdecznie zachował się wobec skaleczonej na bruku dziewczeczki?

Przypomnijcie sobie, że Surguczew sam zjawił się u sędziego śledczego, aby zeznać, że widział Maszę niezadługo przed dokonaniem na niej gwałtem. Gdyby miał sumienie nieczyste, oczywiście zmilczałby... A jeżeli w pewnej chwili śledztwa, przeczuwszy, że... z ławy obrończej może paść nań cień podejrzenia, napłótl coś przeciw Klejnowi, co nie odpowiada okolicznościom faktycznym — to było to tak naturalne, jak... rozdrażnienie porucz-



nika Rosenkranca, który pod torturą badania znalazł się w pozycyi człowieka, zmuszonego bronić się przed podejrzeniem o najhianiebniejszą zbrodnię... Być świadkiem, panowie przysięgli, jest niekiedy ciężej, niż być podsądnym — bo podsądny ma możność bronić się, a świadek nieraz zmuszony jest udawać, że nawet nie zauważył, jak go w moralnym sensie sadzają na ławie podsądnych!

\* \* \*

Podejrzenie, które — sadząc z zapytań jednego z panów przysięgłych — mignęło na początku śledztwa co do udziału w zbrodni Susłowa, upadło samo przez się: w chwili zbrodni znajdował się on pod strażą w mieszkaniu, w którym odbywała się rewizja, albo — jeżeli zawierzyć zeznaniu jego matki — był w drodze do cyrkułu, w otoczeniu policyi...

\* \* \*

A zatem... pozostaje tylko jedna jeszcze osoba, której obrona gotową będzie przypisać rolę aktywną w obecnym dramacie sądowym. Przewiduję, że obrona wyda na tym gruncie oskarżeniu bój generalny. Jednak nie zamierzam jej w tym wypadku dawać repliki. To będzie bitwa beznadziejna... przegrana z góry... rozpaczliwa próba ocalenia podsądnego... próba, która powieść się nie może...

Przykuty paralizem do łoża, osłabiony paroksyzmem *delirium*, przedwcześnie postarzały, z trudem wlokący nogi Pietrow — wogóle, mojem zdaniem, nie był stworzony do roli gwałciciela. Ale na domiar przypomnijcie sobie, że według zapewnień samego Kleina, w chwili jego przybycia do domu, t. j. między piątą a wpół do szóstej, Pietrow



spał snem letargicznym — przypomnijcie, że wcześniej jeszcze, około godziny czwartej, kiedy Masza bawiła się jeszcze na dworze, widział go w stanie śpiączki dr Zawołżyn - Strieleckij — przypomnijcie, że według wskazań lekarza, taka śpiączka ciągnie się zwykle przez kilka dni, — że doktor Zawołżyn na drugi dzień znalazł chorego w tym samym stanie bezruchu... Chyba dość będzie po temu dowodów, że Pietrow fizycznie nie był w stanie dokonać tej zbrodni...

Powiem nadto, że i z moralnego punktu widzenia — obraz starego grajka na bałajajce, posiadającego pewne dziwaczne przyzwyczajenia, zabierającego kolorowe wstążeczki dzieciom, które otaczały go zawsze ufnością, bo, widać, kochał je miłością czystą — ten obraz nie godzi się z rolą gwałciciela.

Bodaj-że wydała się wam dziwną pewna okoliczność — to, że Pietrow powiesił się na powiązanych wstążeczkach i podwiązkach. Mnie nie uderzyło to wcale. Jedno więcej dziwactwo alkoholi-ka — nic więcej..

Byłoby nonsensem przypuścić, że te podwiązki należały do maleńkiej Daryi. Czyżby zachowały się one przez tyle lat... jak to wydało się dziecinnej wyobraźni Barbary Gargolinej? I po co? Aby przypominać przestępcy o tem, co musiałoby niepokoić jego sumienie? aby wywoływać obawę wykrycia zbrodni?! Mógłbym powiedzieć, że Klein je zachował — i jakoś znalazł je Pietrow w mieszkaniu swego pana... Ale unikam wszelkich naciągań. Rzeczy mają się daleko prościej.

Te podwiązki upuściła któraś z małych słu-



chaczek żartownisia - „bałałajszczyka“. Podniósł je. Słyszeliście od Głafiry Kosej, że lubił zdobić się niemi, niby branzoletkami. Zabawne przyzwyczajenie żołnierza, który bywał na południu Rosyi i w życiu wojskowem spotykał nieraz towarzyszy z obrączkami w uszach... To wydaje mi się prawdopodobniejszem od fachowych hipotez „dziewicy“ Głafiry. Coś, widać, pociągało go ku barwnym drobiazgom. Toć udało mu się jakoś „ściągnąć“ podwiązki francuzki, czem wprawił w taką konfuzję wstydlive serce starej panny, że wydało się jej koniecznem przez *auto-da-fe* zaprotestować przeciw kompromitacyi...

Jeżeli w tej całej zabawnej historii jest jakiś ciekawy objaw psychologiczny z odcieniem dramatycznym — za wyjątkiem śmierci, która zawsze sama przez się jest dramatyczna — to chyba następująca okoliczność:

Wydaje mi się, że przyczyna samobójstwa Pietrowa kryje się bynajmniej nie w zamroczonym stanie jego umysłu po obudzeniu... Pietrow, wedle zeznania Wołkowa, już nieraz popadał w stan podobny... To nie był zatem paroksyzm wstrętu do samego siebie w duszy starego alkoholika!

Nie! to musiało być przerażenie innego rodzaju... Zbudzony Pietrow napewno dowiedział się zaraz, co zaszło podczas jego śpiączki... Dowiedział się o zbrodni syna swojego „kriepostnego“ pana — towarzysza lat dziecinnych — człowieka, niegdyś ocalonego przezeń z wody — obecnego wego gospodarza — tego, kogo przywykł kochać i poważać!... I oto stary żołnierz-grajek, który tak gorąco kochał małe dzieci i dzielił z niemi mi-



łość do kolorowych wstążeczek — drgnął przerażony... Jego chory mózg nie wytrzymał tej wiadomości...

Nie miał prawa, nie mógł nic powiedzieć swojemu panu. Ale myślą, symbolicznie, posyła mu znak swojego bólu i oburzenia — do jego celi. Oto wieszka się na sznurku, zaimprovizowanym z wstążek i podwiązek dziecięcych — wieszka się na strychu, tam, gdzie jego pan dokonał ohydnej zbrodni, na myśl o której ścina się lodem krew w żyłach wszystkich ludzi, kochających dzieci naturalną i czystą miłością!...

On uszedł na tamten świat, aby niewidzieć gwałciciela — i pozostawił wam, panowie przysięgli, surowy obowiązek sprawiedliwej zapłaty za pokalanie niewinnego dziecięcia!...

---







## MOWA ADWOKATA.

Panowie Sędziowie przysięgli!

Jeżeli nie pójdę krasomówczemi śladami prokuratora i nie opiszę wam zgrozy swojej na myśl o zgwałceniu dziecka, ani gniewu na myśl o winowajcy takiego gwałtu — to wierzajcie mi, proszę, panowie przysięgli, powodem tego nie będzie to, iż mniej czuję krzywdę, sprawioną małej Maszy na progu jej życia, lub że boję się o los podsądnego, którego z urzędu wypada mi bronić dziś wobec was!

Moje serce otwarte jest dla uczuć tkliwych nie mniej, niż serce prokuratora, który raczył wyrazić radość, że „poszczęściło się wam ujrzeć Maszę w stanie ataku epileptycznego.“ Co się mnie tyczy, nie widziałem w tem żadnego szczęścia, raczej cierpiałem, patrząc, jak dziecię dla tryumfu metody „eksperymentalnego śledztwa,“ doprowadzone było w tej sali do stanu konwulsyi. A ból mój — wierzajcie — nie miał w owej chwili nic wspólnego z obawą o los podsądnego, gdyż atak u dziecka, chorego na padaczkę, nie jest, mojem zdaniem, argumentem zdrowej oskarżycielskiej logiki...

Ja wogóle boję się patosu. Odpowiada on pewnej uroczystej stronie życia, ale wyśrubowuje uczucia, podnosi oczy nasze ku niebu i... nie pozwa-



la widzieć wielu drobnych szczegółów rzeczywistości. Ztąd nie miałbym odwagi mówić, jako o jakimś prawie natury, o rumieńcach na twarzy młodych dziewczic na myśl o zgwałceniu dziecka, bo przypomniałbym sobie ...choćby twarz młodej Wari, której *casus* ten we wspomnieniu wydał się zabawnym ... choćby objawy dobrego humoru na sali w czasie śledztwa! Nie sędzę również, aby ten Tatarzyn, który tak chłodno i spokojnie mówił tu o gwałceniu dzieci nie był tym „przeciętnym porządnym mężczyzną,” na którego oburzone sumienie powołuje się prokurator.

Nie chcę przez to twierdzić że zgwałcenie dziecka nie jest zbrodnią oburzającą. Byłby to cynizm. Ale inna rzecz — oburzać się, a inna — rozumieć! Jestem pewny, panowie przysięgli, jakkolwiek wyda się to wam paradoksalnem, że można oburzać się na zgwałcenie dziecka i być równocześnie zatwardziałym rozpustnikiem, wyborowym don Juanem!

Albo-ż sędzicie, że ogrodnik nie obrywa pączków z litości ku nim? Nie, on czeka ich rozkwitu, aby skorzystać z pysznie rozwiniętych róż. Człowiek rozumny oszczędza delikatne źdźbła owocowych drzew, gdyż pragnie nasycić się z czasem dojrzałymi owocami. Opieka nad młodemmi zajęciami na mocy przepisów o polowaniu, nie jest bynajmniej miłością ojcowską dla młodych stworzonek — to tylko racjonalne gospodarstwo. Otoczeniu doskonały miłośnik płci niewieściej nie pojdzie z myślą o nasyceniu zmysłów do *sześcioletniego dziecka*, chociażby oczy jego chciwie zatrzymywały się na każdym pięknym ciele kobiecem.



Pierwiastek moralny w naszych poglądach na granice wieku w miłości płciowej zbiega się tym sposobem z pierwiastkiem rozumowym.

I zdaje mi się, panowie przysięgli, że człowiek, który chucią swoją sięga po dziecię — nie jest tylko człowiekiem niedorozwiniętym moralnie, człowiekiem o rozhułakanych namiętnościach. Nie! to przede wszystkim człowiek tępy — z instynktami choremi — a jeżeli jego niepowściągliwość łączy się z jaką taką świadomością, to musi to być człowiek głęboko nieszczęśliwy!

A skoro prokurator maluje wam Kleina, jako człowieka rozumnego, nawet chytrego, — to, zdaje mi się, tem samem wykluczoną jest myśl oskarżenia go o wykonanie przestępstwa, które — zgódźcie się, panowie przysięgli — podobnem jest do potwornego głupstwa, dowodzi braku wszelkiej oceny krytycznej, właściwej ludziom ze zdrowemi zmysłami. Gdybym w sumieniu swoim uznał Kleina za istotnego winowajcę, to przeciw piorunom wymowy oskarżyciela, nawołującego do pomsty bez litości, powołałbym się na miłosierdzie, które winiśmy zawsze ludziom, co poddali się atakowi okropnej choroby. I zdaje mi się że usłuchalibyście raczej mojego głosu, niż głosu prokuratora, albowiem, jeżeli ma on słuszność, że „prawem moralnego świata jest odpowiedź na zbrodnię karą“, „pełną miarą zapłaty“ — to wówczas księga miłości i przebaczenia, Ewangelia, znalazłaby się za granicami świata moralnego! A mniemam, że wy, panowie przysięgli, nie zgodzilibyście się wyrzucić za pokład moralności Ewangelii, — ku czemu doprowadzi-



łoby was przyjęcie za pewnik wspomnianego  
przezemnie frazesu z mowy prokuratora!...

.....  
Ale na szczęście nie mam potrzeby wypraszać  
u was miłosierdzia dla winowajcy; ja żądam od  
was sprawiedliwego stosunku do niewinnego...

Albowiem Klein — według mego głębokiego  
przekonania — jest niewinny!

\* \* \*

I gdyby tak pan prokurator mniej... patetycz-  
nie odniósł się do obecnej sprawy, to wiele rzeczy  
ujrzałyby w zupełnie innym swietle. Wówczas prze-  
dewszystkiem ten dom, w którym zdarzyła się zbrod-  
nia, nie wydałby mu się „cichym petersburskim do-  
mem, wyrwanym ze spokojnego snu swojej po-  
wszedniej egzystencji“. Piękny mi cichy domek,  
w którym w biały dzień przewracają podłogi i roz-  
bierają piec, szukając bomb i rewolwerów, —  
w którym sześciolatnie dzieci, co tak zachwyciło  
prokuratora, bełkocą słowo: „lewizja“, nabywają  
wiadomości z przepisów o wzmocnionej ochronie  
zanim nauczyły się wymawiać wszystkie litery, —  
w którym pobożne staruszki ochraniają zdobycze  
z lichwy żelaznemi sztabami na drzwiach, — w któ-  
rym wędrują nieuchwytni złodzieje, — w którym al-  
koholicy w ataku *delirium tremens* wybijają szyby, —  
w którym żony, zaledwie mąż znalazł się za drzwia-  
mi, natrętnie przywołują młodych oficerów, — w któ-  
rym służące pełnią funkcje „postillon d'amour“, —  
w którym stale zamieszkuje, a czasem upija się do  
utruty przytomności kapłanka wolnej miłości, —  
w którym przejrzałe nauczycielki francuzkiego ję-  
zyka znajdują się w podejrzanym stosunkach do



starych żołnierzy,— w którym ludzie wieszają się na strychu! I pomyślcie!—wszystko to w jednej oficyynie.. Dobre pojęcie, jak widzicie, ma prokurator o cichym petersburskim domu i o spokojnym śnie powszedniej egzystencyi!..

A ja bynajmniej nie mówię tego dla żartu, lub drwiny! Według mnie, cała prokuratorska mowa, której hołd oddaję za piękno, jakkolwiek prokurator skromnie postawił swój dar krasomówczy poniżej histerycznego ataku Maszy — cała pełną jest podobnych, rażących błędów przeciw rzeczywistości. A jeśli-ć prokuratorowi ten dom petersburski wydał się cichym — to może zrozumiecie, dlaczego Klein wydał mu się winowajcą ohydnej zbrodni!

\* \* \*

Wypadnie Wam wybaczyć mi, panowie przysięgli, jeżeli zajmę się wraz z wami rozbiórką — cegła po cegle — dziwaczego gmachu oskarżycielskiego, w którym, na rozkaz krasomówstwa prokuratora, laska przybrała formę wieńczącej gmach kopuły!

.....

Psychologia, podobnie jak pałka — mówił Dostojewski — ma dwa końce. Nie będę obalał tej tezy. Jest ona trafną.

Ale gdy ktoś pokazuje *jednocześnie* oba końce tej pałki, każąc im *krzyczeć* o winie podsądnego,— to taka psychologia napełnia mnie przerażeniem.

Zauważcie: z jednej strony, prokurator wraz z matką maleńkiej Afanasjewej żali się, że „z małej nic nie będzie“, że zmieniła się ona strasznie, gotowa jest krzyczeć bez powodu, bodaj bez przer-



wy znajduje się w stanie aury epileptycznej; z drugiej — dziecko okazuje się żywym, śmiałym, bojącym się tylko panów „z białymi brodami“. Z jednej strony, prokurator wraz ze wszystkimi kumoszками domu na Grochowej № 78 uznaje, że „dzieweczka nadzwyczajnie zgłupiała“; z drugiej — podziwia jasność jej myśli w czasie pierwiastkowego i sądowego śledztwa, jej trafne określenie blondynów, jako ludzi „z białymi brodami“ (ja sądziłem dotychczas, że biała broda to siwa), polega na jej opowieści „jak ją wabili“, tak „dokładnie“ zanotowanej przez sędziego śledczego, i nakazuje wam ślepo zawierzyć instynktowi i rozumowi „zgłupiałego dziecka“!

Mnie zaś dziewczeczka ta wydała się dosyć zważną i bystrą — pokrzepioną znacznie po upływie 10 miesięcy od chwili strasznego wstrząśnienia — oczywiście chorą, — ale jeżeli choroba nie jest konstytucyjną, (mogła istnieć wcześniej niezauważoną), to miejmy nadzieję, że Masza z czasem wyleczy się. Jestem większym optymistą od prokuratora, ale zdaje się, mam jednakowe z nim prawo do prognozy.

Głosu stróżki i sług, oplakujących „popsutą na całe życie Maszę“ — nie uważam za równoznaczny z głosem ludu, a tem bardziej z głosem Boga! W ogóle w pojmowaniu Opatrzności różnię się mocno z prokuratorem i obawiałbym się pomyśleć, że Opatrzność nie dbała o to, aby nieszczęśliwej Maszy nie uczyniono krzywdy i bólu, ale nadzwyczajnie troszczyła się o to, aby Klein zostawił przy zgwałconej laskę. Opatrzność, zajęta gromadzeniem poszlak dla sędziego śledczego i prokuratora — wy-



znaję skromnie — jest mi niepojętą. Widać, prokuratorzy mają swego osobnego Boga!

\* \* \*

Obrona na nieszczęście, nie może pochwalić się w danym wypadku miłościwą opieką takiego specjalnego bóstwa, ale ja postaram się zwrócić ku temu, co jest najbardziej boskiem w człowieku—do waszego rozumu, panowie przysięgli. A może przed tem *forum* uda mi się dowieść, że wszystkie trzy poszlaki, o których mówił prokurator, ukute są ze stali mniej hartowanej, niż sądzi oskarżyciel... Okaże to szczegółowa analiza danych tej nader zawilej sprawy.

Bo prostą zdała się ona oskarżycielowi tylko dlatego, że on ją sam uprościł z góry powziętą ideą o winie Kleina — i wyrzucił poprostu wszystko, co nie pasowało do niej!...

\* \* \*

Nie dowierzał on „zapłakany” oczom Susłowej, ale zaspane oczy Kodłubajewa, które widziały Kleina „ani bladego, ani czerwonego” — podobaly mu się bardzo. To nie przeszkadzało prokuratorowi z „ani bladego, ani czerwonego” Kleina zrobić i bladego i czerwonego... wbrew Kodłubajewowi! W przejściu Kleina na drugą stronę ulicy — wraz z Kodłubajewem prokurator widzi ucieczkę, bo nie chce pamiętać, że Klein szedł do dystrybucji, gdzie oczekiwał nań Wołkow... Ba, zeznanie Wołkowa prokurator poprostu podaje w wątpliwość... Natomiast oczywiste fantazje Kodłubajewa i francuzki, pomimo błędnego wskazania godzin przez tych świadków — co dowodzi, że wylęgły się one już



po ujawnieniu zbrodni — znalazły przychylnie przyjęcie ze strony oskarżyciela...

\* \* \*

Obronę swoją poprowadzę odmienną drogą, niż ta, którą obrał prokurator. On przez pryzmat poszlak spojrział na duszę podsądnego — i zamajaczyły mu wszędzie, na całej szerokości życia Kleina, u góry i dołu, o poranku jego małżeńskiego życia i o smętnym zachodzie fatalnego dnia 13-go Lipca, pożądliwe oczy cudzołożnika i gwałciciela. On pokazał wam naprzód brudne widmo zbrodni i czarny jej cień przez pryzmat poszlak rzucił na duszę podsądnego. „Brudny czyn mógł być dziełem jeno brudnego człowieka“ — rozumuje on trafnie. Klein jest winien gwałtu, sądząc według materialnych poszlak — a więc Klein musi być „nędznym człowiekiem“. I oto, nie uwierzywszy niczemu, co dobrego świadkowie rzekli o Kleinie, uznawszy za kłam lub omyłkę wszystkie zeznania na jego korzyść, namalował portret potwora barwą smoły...

Prezes. (z lekką surowością). Panie obrońco! czy nie mógłby się Pan obejść bez tego rodzaju metafor?

Obróńca (pochylając głowę). Postaram się... A zatem, odmalował portret podsądnego wiadomym wam kolorem, zawołał: „taki człowiek mógłże nie wykonać tej zbrodni?“... I to się nazywa argumentacją?! Ależ to *circulus vitiosus* — zaczarowane koło — *petitio principii* — dowodzenie winy psychologią, opartą na uznaniu z góry tej winy!..

Panowie przysięgli! Kiedy ręka rozsądnego ogrodnika obcina zbici rozłożyste gałęzie, aby za-



puszczonemu parkowi nadać wygląd wytworny—to jest zrozumiałem! Niepodona jednak nie oburzać się, kiedy w celu otrzymania strzyżonego parku z więziennymi kratami i aleją, prowadzącą na katorgę, rozłożyste gałęzie duszy ludzkiej, rosnące ku niebu, obcina są ręką barbarzyńską, kiedy...

Prezes. Panie obrońco! pan całkiem zapominasz się! Będę zniewolony odebrać panu głos, jeżeli raz jeszcze...

Obrońca. *Pardon!*... Uniosłem się... Ale kiedy... kiedy, panowie przysięgli, miękie serce prokuratora...

Prezes. Pozostaw pan serce prokuratora w spokoju.

Obrońca. Zostawię!... Prokurator mówił wam, że położenie świadka gorszem bywa od pozycyi podsądnego, gdyż podsądny może się bronić. Nie będę temu przeczył. Ale, panowie przysięgli, nie bacząc na szerokie przywileje, które — jak widzicie — udzielone są przez sąd obronie, wyobrażam sobie, jakich mąk moralnych musi doznawać podsądny, zanim obrona podniesie głos swój za niego, kiedy w ciągu bitych dwóch godzin słyszy, jak całe jego życie, wszelki ruch najczystszych głębin jego duszy, wszystko dobre, co uczynił — bez litości oddane jest na podeptanie... Przepraszam! kiedy to wszystko oświetlane jest z trybuny oskarżycielskiej!...

Prezes. Bliżej sprawy, panie obrońco!...

Obrońca. Słucham... już jestem blisko... Otóż pozwólcie, panowie przysięgli, że przed analizą poszlak, namaluję wam duchowy portret Kleina — według danych śledztwa — podług zeznań dyrektora



Banku, Merca, który nie był przecie przyjacielem Kleina,—podług zeznań Wołkowa, którego świadectwo brzmiało taką szczerością, że chyba nikt z was, sędziowie przysięgli, nie pomówi go o cień kłamstwa!

Czyliż jego wszystkie odpowiedzi nie tchnęły taką otwartością, jak jego twarz? Czy zająkiwał się, lub mieszał? Czy nie odpowiadał szczerze? Czy nie ważył odpowiedzi z rozsądną sumiennością? „On pragnie ocalić Kleina“—mówi prokurator. Ale czy przemilczał o nieporozumieniach małżeńskich Kleina? „Dał się zwieść Kleinowi“—ależ z pewnością jest on znacznie inteligentniejszy od Kleina. „Jest wieloletnim przyjacielem podsądnego“. Tak, ale dlatego, że Klein zasłużył na przyjaźń.

Nie oszustwem, nie chytrą — jak mówi oskarżyciel. Klein mógł się wydać chytrym — tylko Katarzynie Pilenko. Ja — wyznaję — tej chytrą w nim nie zauważyłam...

„Nie przyznał się?“—cóż z tego?—a jeżeli nie ma się do czego przyznawać? Jeżeli dowodem winy ma być zapieranie się — to niema na świecie niewinnych!...

Jego „chytne kłamstwo“—gdzież ono?... W tem, co mówił o operacji... Przecz więc tak łatwo przejrzał to kłamstwo prokurator?! Jego „wybiegi“? — nie znam ich. Wiem tylko, ile kosztowało mnie pracy, zanim wydobyłem z niego imiona świadków, którzy mogli coś zaświadczyć na jego korzyść...

Oto trzeci dzień upływa, jak za mojemu plecami siedzi ten pogwałcony człowiek. Trzeci dzień



uczuję mgłę, która rozpościera się w jego zmęczonym mózgu. Jest milczący. Niemal się nie broni. Sądzi naiwnie, że sama niewinność starczy za pancerz na sądzie. Jest cichy — tak cichy, jak był w życiu. Na jego cierpiącym obliczu, które zakrywa od czasu do czasu rękoma, nie masz maski... Z poddaniem czeka wyroku — jeno chwilami krzyczy histerycznie, kiedy nóż tortury śledczej zbyt mocno zagłębi się w jego sercu...

\* \* \*

Ale kimże jest Klein?...

Syn zamożnego obywatela Ostzejskiego — powiadają wam — który otrzymał świetne wychowanie, ale zatrzymał się w rozwoju: dzięki wyjątkowej odrazie do pracy, demonicznym żądom, biesom rozpusty, zagrząził w trzęsawisku grzechów!...

Ale z kąd prokurator czerpie te wiadomości?... Toć to poprostu antyteza zeznań świadków!...

Nie, panowie przysięgli!

Klein jest synem obywatela, którego majątek podpaliła jakaś szalona ręka... Nieszczęsny sierota... Biedny potomek bogatego rodu szlacheckiego... Nie otrzymał wykształcenia, do którego urodzenie zdawało się dawać mu prawo... Dzięki wyjątkowej pilności i cierpliwości zdobywa miejsce urzędnika banku ze skromną pensją.. Nie posiada wybitnych zdolności... Bodaj robota nie przychodzi mu łatwo... podobnie jak gra w szachy... Odprysk bogatej szlacheckiej rodziny, może nawykłej pędzić żywot w zbytkach i próżniactwie, nie był przeznaczony do pracy, do ślęczenia nad księgami buchalteryjnymi... Ale on sam urobił siebie... Jego sumienność wprawia w podziw kolegów... jego punktualność







mogłyby darzyć pieczęcią miłości małżeńskiej człowieka, który pokalał dziecko. Zauważyliście — (ja również bacznie patrzyłem na nią) — przerażała ją tak mocno myśl, iż człowiek, któremu zobowiązana jest szczęście całego swego życia, którego przywykła kochać i poważać, siedzi na haniebnej ławie podsądnych, w odzieży aresztanckiej, że nie spojrziała nań ani razu!

Oczekuje go — panowie przysięgli — za progiem więzienia, gdy wyrok wasz zmyje zeń piętno podejrzeń — bała się, że wybuchnie płaczem — a oskarżyciel bodaj łzy te przypisze jej nieufności do męża. Chciała pokazać wam, że jest zupełnie spokojną o los niewinnego, pewną tryumfu sprawiedliwości!..

A trzecim jasnym momentem procesu był ów, kiedy Wołkow opowiadał historję małżeństwa Kleina. Nie pamiętam — może zresztą dla tego, że jestem młodym i niedoświadczonym obrońcą — nie pamiętam, aby wypadło mi słyszeć w sądzie kiedyś opowieść bardziej wzruszającą. Nie śmiem jej powtarzać... W prostych, naiwnych wyrazach zeznania Wołkowa, ukazała się wam smutna twarzyczka sieroty, skazanej na zgubę, na chłód i głód, na bruku wielkiego miasta, w ciżbie ludzi obojętnych — i zabłysły łzy przed wami, jak brylanty serca, litościwe łzy Kleina — i przesunęła się milcząco uboga procesja żałobna, w której brały udział tylko trzy osoby: córka sybirskiego wygnańca i dwóch mężczyzn, którzy zajęli się pogrzebem kobiety, co w drodze do swego męża spotkała miłosierniejszą od ludzi śmierć!

Klein pojął za żonę sierotę... Oto pierwsza



jego zbrodnia — w nieubłaganym rejestrze prokuratora. Widzieliście, jak pędzel prokuratorski przeszedł zamaszystemi poprawkami po tym czystym i skończonym obrazie... Nie będę charakteryzował tego rozmachu... krępują mnie konwenanse trybuny... Ale, panowie przysięgli — prokurator zapomniał, że przyszła pani Klein nie była szczęśliwą córką zamożnego kapitana Feodosjenko, która może pod okiem matki wyczekiwać dnia ślubu i w dziewiczej swojej komnatce przyjmować narzeczonego, aż wypełnią się jej lata...

Tak, opiekun zapragnął jej oddać rękę i serce możliwie najprędzej — przyjąć ją pod swój dach małżeński... Jest li to zbrodnia? Czy tak postępują rozpustnicy?!... Jeżeli by Klein zechciał skrzywdzić sierotę — cóż byłoby ponad to łatwiejszego? Zginęłaby, jak bezskrzydła ptaszyna, wyrzucona przez burzę z gniazda. Jakoby spieszył zagładzić swoją winę?!... A gdzież ta wina?... Urodziła się przecież w fantazyi prokuratora!... Nikt z nas o niej nie słyszał... Nie! czystą była miłość Kleina — i nie przyniosła krzywdy pani Klein. Słyszeliście: zaświadczyła sama, że była szczęśliwą żoną...

\* \* \*

Prawda — napomykano tutaj, że w życiu małżeńskim Kleina bywały nieporozumienia. Lecz cóż w tem dziwnego? Tylko ten, kto widział zawsze bezchmurny błękit, twierdzić będzie, że możliwym jest niebo małżeńskiego życia bez mgły, bez obłoków, bez chmur, bez chwilowych burz...

Prokurator zapragnął w życiu Kleinów dopatrzyć się niemal piekła... Zaznaczyłem już nieraz tę skłonność oskarżycielskiej trybuny do pesymi-



stycznego światopoglądu. Ta skłonność pozwala prokuratorowi zapominać np. o takiej *drobnostce*, że Pietrow ocalił Kleinowi życie — i zezwała mu na piętnowanie grzesznej przyjaźni Kleina z alkoholi-kiem! Ale prokurator w danym wypadku buduje swój ciemny gmach oskarżeń, obywając się bez rusztowań ze śledczego materiału... To powietrzny zamek, który topnieje w świetle prawdy...

\* \* \*

Odrzucam z oburzeniem insynuację, opartą tylko na luźnym zestawieniu dat, — że Klein jakoby uwiódł swoją nieletnią służącą i zamazał sprawę pieniędzmi. „Skoro nie wiem czegoś, mam zawsze prawo przypuszczać najgorsze“ — oto dewiza oskarżycieli.

Ale mnie się wydaje, że nawet ludzie, siedzący na ławie podsądnych, mają prawo posiadać w życiu swoim zagadkowe rysy, których nie mogą, lub nie chcą wyjaśnić — i które nie podlegają rentgenizacji z trybuny prokuratora. Rzeczą prokuratora jest dowodzić, ale nie zgadywać szarady psychologiczne.

Skoro Dmecowa cofnęła swoją skargę i adwokat jej nie zechciał dać w tej kwestyi wyjaśnień — to tajemnica tej sprawy nie może być rozbijana bez ceremonii domysłów, opartymi na wypadkowym zbiegu zwłaszcza nader rozciągniętych dat („w lecie“, „mniej więcej w tym miesiącu“).

Któż z was, sędziowie przysięgli, z ręką na sercu ośmieli się powiedzieć, że Dmecowa, cofnąwszy skargę, wyrzekła się prawdy? Na jakiej zasadzie, wobec masy skarg szantażowych na gruncie



„uwiedzenia“ — uwierzycie w słuszność cofniętej skargi?!...

— Bo nie wiecie, na co Klein potrzebował pieniędzy?.. A jeśli potrzebował ich na... ucieczkę teścia?!... Bo niewiedomo wam, czemu pani Klein zamykała się i nie mówiła z mężem?... Może była chora i kaprysiła... Jakto, a czemu Klein nie powiedział nic przyjacielowi o rzeczy tak intymnej, jak kobieca choroba jego żony?!.. Zaiste, prokuratorowie mają dar dziwić się wszystkim!... Z duszy podsądnego pragną uczynić klosz szklany i obserwować wszystko, co wewnątrz zachodzi...

A przecież oświadczenie adwokata Zielonego, że nie zna Kleina — dowodzi jasno, że nie było między nim a podsądnym żadnych zmów i umów na gruncie sprawy Dmecowej... I gdyby nie zdarzyła się ta okrutna zbrodnia, która ciężarem podejrzania przygoździła Kleina do ławy podsądnych — gdybyście znali Kleina tylko z opinii Merca i Wołkowa — czy nie rzeklibyście z całym spokojem: „Dmecowa cofnęła skargę, bo skarga była fałszywą!“

\* \* \*

Ale w tej sprawie jest jeszcze jeden tragizm... jeszcze jedna tajemnica...

Właściwie — tajemnicą innej sprawy.

Czemu jednak rzucono ją na zagadkową szalę obecnej?... w jakim celu? jakim prawem?

Dawno spróchniały kości małej Daryi w mogile. . Sprawę o gwałt nad nią przykrył archiwalny pył.. Na aktach pozostał znak zapytania... Tajemnica tej sprawy zdrwiła z doświadczenia naszych sędziów śledczych, ze zręczności naszych



agentów policyjnych, z pychy naszej Temidy... Winowajcy nie znaleziono!

Zdawałoby się: — należy pogodzić się z tym rezultatem, skoro nie odkryło się nowych danych w tej właśnie sprawie, nie znalazło podstawy do jej wskrzeszenia, do ponownego śledztwa... Zdawałoby się!...

Jednak oskarżyciel Kleina sądzi inaczej. Mrok obecnej sprawy pograżyć w mroku tamtej — to znaczy, jego zdaniem, wszystko wyjaśnić. Przymocować jedną zagadkę do drugiej — to obie rozstrzygnąć zarazem...

Ale jakim prawem?

Czy wolno z trybuny oskarżycielskiej oskarżać i nie oskarżać zarazem? — wybaczcie to słowo: insynuować, miast oskarżać?!.. Nie macie odwagi rzucić wprost w oczy Kleinowi oskarżenia o gwałt nad Darją, bo nie macie do tego żadnych danych — więc oskarżacie ukośnie! — dokładacie ciężarek z tamtej sprawy na szalę obecnej... i mówicie: wytrzyma!

Lecz dopóki Klein nie stoi przed sądem, jako oskarżony o gwałt nad Darją — tajemnica tamtej sprawy nie może zaważyć nawet ciężkością włosa na szali obecnej!...

A jednak oskarżyciel pragnie poprowadzić was po tej właśnie niemożliwej drodze!... Z podejrzania o winie Kleina w sprawie Maszy czyni się wniosek o winie Kleina w sprawie Daryi, w której nie ma żadnych dowodów przeciwko niemu, aby następnie naodwrot z winy Kleina w sprawie Daryi wnioskować o winie Kleina w sprawie obecnej!... Oto ta prosta linia, która, zdaniem prokuratora, łączy dwa czarne punkty zbrodni...



Dobrze!... gotów jestem przyjąć wyzwanie na tym gruncie. Gotów jestem policzyć się z marą tamtej — obcej sprawy. Godzę się z prokuratorem... Ten, kto dokonał jednej z tych zbrodni, winien jest drugiej. Analogia pewnych rysów przestępnych naprowadza na tę myśl...

Ale jeżeli tak jest, to w końcu mojej mowy dowiodę wam sędziowie, że podejrzenie o pierwszą zbrodnię pada z całą mocą na inną osobę — a wówczas stanie się dla was jasnym, że zbrodnicza linia, o której mówił prokurator, nie zaczyna ruchem swoim o Kleina, znajduje się w innej płaszczyźnie — i bieg jej od jednego gwałtu do drugiego woła do was o winie innej osoby!...

\* \* \*

Tymczasem dowiodłem wam chyba wyraźnie, że ani sprawa, cofnięta przez adwokata, ani druga, umorzona przez sąd — nie mogą rzucić cienia na jasne tło, na którym widnieje postać podsądnego, człowieka pełnego zalet, według charakterystyki świadków — cichego, pracowitego, miękiego, tkliwego, beznamietnego...

Strasznie pomyśleć, że jego czysta miłość dla dzieci—wywołana bodaj przez to, że los mu odmówił potomstwa — posłużyła w oczach prokuratora za nowy węzeł w oskarżycielskiej sieci...

Ale zgódźcie się ze mną, panowie przysięgli, że jeżeli nie bierzemy za podstawę z góry powziętej myśli o winie Kleina, jeżeli nie podążamy od szorstkich materialnych poszlak do charakterystyki, jak to uczynił prokurator — lecz naodwrot, od psychologii podsądnego, opartej na danych śledztwa, zmierzamy ku rozbiorowi poszlak — to coś nam



szepce z nieodpartą mocą, że w całej tej sprawie kryje się jakieś potworne nieporozumienie.

Materjalna prawda nie może przeczyć psychologicznej. Prawa duchowego świata są tak samo konieczne, jak prawa fizycznego. Wiecie, że żelazo rozdziera miękie tkanki, ale nie uwierzycie, że dotknięcie róży zadaje cios śmiertelny.

Dla tego nie uwierzycie, że czysty oddech Kleina mógł zmienić się nagle w jadowity napój bydłęcej żądz...

Znając jego duchowy wizerunek — zechcecie wraz ze mną szukać innej drogi ku wyjaśnieniu nieszczęsnego zbiegu poszlak, bo droga, którą idzie oskarżenie, nie może zdać się wam prawdziwą!... Przeczy ona prawdzie duszy ludzkiej.

\* \* \*

Ale przedewszystkiem pragnę wam dowieść, że psychologiczna niemożliwość winy Kleina wzmacnia się przez niemożliwość fizyczną — przez *alibi* podsądnego.

A jeżeli uda mi się dowieść na mocy ścisłej rachuby czasu, że Klein nie był na miejscu zbrodni w czasie jej dokonania — to, jak wskazał sam prokurator, waga wszystkich poszlak sprowadzoną zostanie do zera.

Przestępstwo dokonane zostało pomiędzy godziną 5-tą a 6-tą wieczorem. Zgadza się zupełnie na to zdanie prokuratora. Jeżeli bowiem przypuścić, że dokonano go pomiędzy 6-tą a 7-mą, to Klein absolutnie nie mógł go dokonać, gdyż o tym czasie był już po za granicami Petersburga.

Dlatego prokurator nastaje na czasie pomię-



dzy 5-tą a 6 tą. Bardzo dobrze!.. Przyjmujemy to przypuszczenie...

Ale o 5.40 już Klein musiał wyjechać na dworzec, żeby się spóźnić—i nie miał czasu zawrócić do domu; spóźniłby się niechybnie. Nie zawrócił. Dowodzi tego także wzmianka kronikarska w „Echu Petersburskim“. We właściwej porze, około 6-ej, był na Litiejnym moście. Wyjechał o 6 m. 5.

W restauracyi Klein z Wołkowem przesiedział, według zeznania tego ostatniego, około pół godziny. Weźmy nawet liczbę mniejszą—minut 20. Więc o 5.20 Klein wchodził do restauracyi na ulicy Włodzimierskiej wraz z Wołkowem.

Dziesięć minut co najmniej liczyć wypada na drogę od domu Kleina przy ulicy Grochowej do restauracyi. To znaczy, że Klein wyszedł z domu przy ulicy Grochowej *o godzinie 5.10 minut!*

Spróbujmy rachunku z innej strony. Mniej więcej o pół godziny przed 5-tą wyszedł Klein z Wołkowem z banku. Weźmy przypuszczenie gorsze dla nas—że wyszedł o 20 minut przed 5-tą, o kwadrans.

Droga z banku do domu Kleina trwa minut 10. Jakich 10 minut trzeba było, aby zawrócić do apteki na Kazańskiej, poczekać na lekarstwa. A zatem Klein wstępował do swojego domu mniej więcej o 5 m. 5. Jak wskazuje Wołkow—przebył w domu około pięciu minut. Wypada więc, że wyszedł *o 5.10 minut!*

Rachuby według jednego i drugiego sposobu, jak widzicie, zgadzają się. To nadaje im większą pewność.



Teraz obliczcie, kiedy Masza wróciła do domu, Wasniecow zabrał ją o 5-ej. W pięć minut potem wracała ulicą — umyślnie biorę liczby najmniejsze, na niekorzyść Kleina. Surguczow podnosi ją, gdy wpadła — zabiera do sklepu Konopliannikowej. Pani Konoplannikowa pociesza małą, opatruje jej skaleczone kolano. To trwało — według świadectwa Surguczowa — co najmniej kwadrans. Nie mogło trwać krócej: Surguczow pobiegł po plaster dla małej do apteki na Kazańskiej. Droga w jedną stronę trwa 7, 8 minut; tyleż — napowrót.

A zatem Masza powróciła do domu najwcześniej o 5.20 minut.

To znaczy, panowie przysięgli, że kiedy Klein wyszedł z domu w godzinie obiadowej, Maszy na podwórzu jeszcze nie było! Wróciła co najmniej w dziesięć minut potem!...

Kiedy więc Klein mógł dokonać przestępstwa?

Prokurator jakby uczuwa tę niemożliwość...

Każe on więc Kleinowi, pijanemu, z restauracyi zachodzić do domu — i powracać znowu do przerwane go obiadu z solenizantem. Jest to krzyczące nieprawdopodobieństwo. A zatem pomiędzy 5 a 5.40 wypadłoby Kleinowi odbyć tę samą drogę — od Grochowej do Włodzimierskiej — trzykroć (dwa razy tam, raz z powrotem), co wymaga pół godziny czasu. Kiedyż jadł i pił z Wolkowem?... Musiałby mieć skrzydła... lub w ciągu sekundy wprowadzić Maszę, zgwałcić i uciec!...

Ale, być może, obliczenia nasze wydadzą się prokuratorowi zbyt dowolnymi. Cyfry hypotetyczne nie mają u niego łaski. Nie dowierza on rachubom czasu, opartym na zeznaniach świadków. Świad-



kwowie — mówi — myślą się tak często, wskazując godziny...

Zgoda!... lecz na innej drodze otrzymamy ten sam rezultat.

Susłowa widziała, jak Klein przed wyjściem zapukał do okna Archimonowa i rozmawiał z nim. Ale Susłowa nie pamięta, czy było to w czasie rewizji, czy już po niej... Lecz kwestja ta — jak dowiedę, posiadająca wielką wagę—daje się rozstrzygnąć w inny sposób.

Archimonow oczywiście już po rozmowie z Kleinem wyszedł do traktjerni — bo z traktjerni wzięto go do cyrkułu, z kąd wrócił do domu dopiero późnym wieczorem dzięki orędownictwu Afanasjewa. Z traktjerni widział, jak prowadzono aresztowanego studenta Susłowa. Z pewnością utykający na nogę Archimonow nie mógłby wyprzedzić policyi. Oczywiście tedy, kiedy Klein rozmawiał z Archimonowem, u Susłowej odbywała się jeszcze rewizja. Klein więc wyszedł w czasie rewizji. A przypominam, panowie przysięgli, że Susłowa słyszała, jak jej syn, odchodząc, wołał do dziewczynki: „żegnaj, Masza!“

Oto macie więc dowód niezbity, że już po odejściu Kleina Masza, cała i zdrowa, bawiła się na dworze...

Powiem jeszcze: trudno przypuścić, aby w chwili, gdy odbywała się rewizja, gdy w mieszkaniu Susłowej była policja, gdy zapewne z podwórza niejedne oczy zaglądały do okien rewidowanego mieszkania, — przestępca zaryzykował i poprowadził Maszę na strych tej samej oficyny.

O 5.10 wyszedł Klein — o 5.20 Surguczow











zu, w sklepie Merzliakowa, cukierki, którym nada-  
jecie znaczenie wabika. I nie z tego tylko domu,  
lecz i z sąsiednich. Przestępca dawno mógł upa-  
trzeć swoją ofiarę u wrót, lub na ulicy...

Słyszeliście zresztą—(to fakt stwierdzony przez  
sledztwo) — Maszę darzyły temi cukierkami, prócz  
Kleina, inne osoby — Surguczow i Kosaja...

A może w dniu tym dał je Maszy Surguczow—  
wszakże dziwnie chwiejne były jego odpowiedzi  
w tym przedmiocie. Starał się upewnić was, że  
dawał dziecku jabłka—może obawiał się podejrzeń,  
związanych z przyznaniem, że karmił dziecko cu-  
kierkami ze sklepu Merzliakowa. On wie, jak...  
podejrzliwi bywają prokuratorowie!...

Przypuście teraz, że żwawa dziewczeczka „po-  
lazła“ na górę już z cukierkami w rękach — do-  
stawszy je bądź od Surguczowa, bądź od Kleina,  
bądź od kogoś innego jeszcze — i zwabiono ją na  
strych jakimś innym sposobem... przyrzekając coś  
pokazać. Czyż to nie możliwe?

Aby określić istotną wagę poszlaki, należy je,  
panowie przysięgli, wziąć z osobna — zważyć od-  
dzielnie od innych—postawić w obliczu wszystkie-  
go, co mówi przeciwko niej. Tylko taka analiza  
może dostarczyć sumieniu sędziowskiemu pewnych  
podstaw do wyroku...

Pcłóźcie na jednej szali wag namalowany  
przezemnie portret psychologiczny Kleina i dowo-  
dy jego *alibi*—i spytajcie, czy mogą tę szalę prze-  
ważyć cukierki, rzucone na drugą...

Nigdy!... śmieszną jest rzeczą mówić o ska-  
zaniu Kleina na mocy tej poszlaki!... I gdyby nie  
było tak straszne, że o tem poważnie mówi oskar-



życiel — nie zajmowalibyśmy się tak długo fabrykatami Merzliakowa...

\* \* \*

Ale jest poszlaka — widzicie, że mówię z wami szczerze — poszlaka, która ma niebezpieczną dla podsądnego wagę.

Laska — jego laska...

I wcale nie dlatego, że laska z „taką“ figurką znalazła się w rękach Kleina. Jeżeli prokurator widzi w niej symbol drapieżno-płciowych instynktów, to — panowie przysięgli — w Petersburgu mamy sporo kandydatów na gwałcicieli!

Wołkow — uczciwy i Bogu ducha winny Wołkow — którego imię, dzięki Bogu, nie spotyka się w rejestrach osób, co były pod sądem — na mocy psychologii prokuratora, będzie kandydatem pierwszej rangi na to przestępstwo... Bo to on tę laskę podarował Kleinowi...

Pamiętacie, że aptekarzowi podobała się również ta laska. Zapytywał Wołkova, gdzie można dostać podobną. Mamy więc nowego kandydata na gwałciciela...

Nic symbolicznego w tej lasce niema. Ona mówi tak mało o skłonnościach Kleina, jak — za pozwoleniem — brelok w formie trupiej czaszki, który widzę na prokuratorskim łańcuszku od zegarka, nie świadczy o jego pragnieniu śmierci... Ta laska — to tuzinkowy i tani fabrykat, znajdujący się w wielu rękach... I nie byłoby nic niemożliwego w tem, żeby fatalna laska, którą znaleziono na strychu, była własnością innej osoby — prawdziwego gwałciciela. a laska Kleina przypadkowo zawieruszyła się...



Wiem, że to byłby wypadek dziwny. Wiem, że wy, panowie sędziowie, niechętnie wierzycie w dziwne wypadki. Nie odważyłbym się budować obrony na tem jednym przypuszczeniu. Ale i ta hipoteza nasunęła mi się — wraz z mnóstwem innych — w pomroku tej kwestyi... Bo to jest kwestja mroczna, zawila — ta „kwestja laski“, panowie... Niewątpliwie zgodzicie się ze mną, jeżeli zważycie rozbieżność zeznań świadków w tej mierze...

Gargolina widzi Kleina, wychodzącego z laską — Archimonow widzi laskę w ręku Kleina przez szybę, tuż u wrót domu przy Grochowej — Kodłubajew już jej nie spostrzega w rękach Kleina, wychodzącego z wrót — Wołkow nie widzi laski Kleina w restauracyi.

Więc to jakaś laska cudowna... Pojawia się ona i ginie momentalnie...

Złowrogie fatum, które zawisło nad głową Kleina, chce, aby ten szczegół grał taką wielką rolę w jego sprawie, aby jego honor, jego los zależały od tego drobiazgu...

Tak jest! — ta laska, którą prokurator przyrównał do kopuły oskarżenia, jest raczej — jakkolwiek wyda się to dziwnem — fundamentem oskarżycielskiego gmachu... Gdyby nie znaleziono jej na strychu, gdyby trójka kobiet — prostytutka Katarzyna, dewotka Korowina i młodociana Warja — nie rozkrzyczały na całe podwórze: „Klein winien!“ — z pewnością nikomu z lokatorów przy ulicy Grochowej nie przyszłoby do głowy, że cichy i uczciwy, dobroduszny i miły Klein może być winowajcą tak ohydnej zbrodni!... Krzyk Wari: „to laska Kleina“ — daje początek całej sprawie!...



I oto teraz ten szczegół: „Kto, kiedy widział łaskę w ręku Kleina?“ — nabiera olbrzymiej wagi w sprawie... jakkolwiek — zgódźcie się, sędziowie przysięgli, w zwykłym biegu rzeczy, mało kto zauważa, czy ktoś ma w ręku łaskę i jaką jest ta łaska. Tu możliwe są tysiączne omyłki — złudzenia pamięci — zapomnienie lub fałszywe wspomnienia... A na tym ruchomym gruncie my pragniemy zbudować wyrok, skazujący człowieka na całe lata ciężkich robót!...

Jeżeli przeto odrzucicie przypuszczenie, że łaska, znaleziona na strychu, wypadkowo podobną była do łaski Kleina, a łaska Kleina zaginęła bądź w Jeziorkach, bądź w banku, po powrocie — (byłby to fatalny zbieg okoliczności!) — to wypadnie wam postawić sobie pytanie:

„Czy łaska Kleina nie mogła się dostać na strych innym sposobem? — czy jedynie Klein musiał ją *tam* pozostawić?“

Pytanie proste, ale wieje odeń chłodem katorgi. W zależności od tego, jak odpowiecie na to pytanie — otworzą się przed Kleinem wrota turmy ku wolności, lub ku kopalniom sybirskim...

Dlatego na tem pytaniu musicie skoncentrować całą waszą uwagę.

\* \* \*

Skoro zeznania świadków wzajem przeczą sobie, ktoś z nich musi się mylić...

Możecie zatem uwierzyć Kodłubajewowi i Wołkowowi i powiedzieć sobie: Klein po wyjściu z domu udał się do restauracyi *bez łaski*...

Omyliła się przeto Warja, twierdząc, że tego dnia widziała Kleina, schodzącego *z łaską* — tak



też sądzi prokurator. Omyliły się pijane oczy Archimonowa — jak wyraziłby się prokurator... Klein bez laski szedł po podwórzu...

Cóż z tego?...

Czy to znaczy, że musiał laskę zostawić na strychu?...

A jeżeli w pośpiechu, zakłopotany myślą o Pietrowie, którego niespodziewanie zastał w stanie śpiączki — pozostawił laskę w przedpokoju... Może zapomniał zamknąć drzwi... Może zabrała ją ręka złodzieja, który tegoż dnia okradł porucznika Rosenkranca... Może któreś z dzieci, wizytujących Pietrowa, poniosło laskę na strych... Może to była sama Masza, która wszędzie chodziła sama, zaglądała we wszystkie kąty — i udając się z wizytą do Głafiry Kosej, wstąpiła po drodze do mieszkania Kleina, zastawszy drzwi uchylone... Mógł je ktoś następnie zamknąć...

Lecz przypuście naodwrot: Warja i Archimonow — widzieli Kleina, wychodzącego z laską; pamięć myli natomiast Kodłubajewa i Wołkowa... Cóż to znaczy?... Czy nie wskazywałoby to właśnie, że Klein, wychodząc, wziął z domu inną laskę — (Wari wydało się, że widziała wówczas znaną jej laskę z figurką) — a tamtą pozostawił w przedpokoju... Skoro spokojny wyszedł z *inną* laską — to oczywiście nie mógł pozostawić tamtej na strychu... Inaczej poczułby niebezpieczeństwo — wróciłby na miejsce zbrodni, aby zabrać *corpus delicti* — zdradziecką laskę z figurką...

\* \* \*



Ale nasuwa mi się jeszcze jedna hipoteza, bodaj najprawdopodobniejsza ze wszystkich. Godzi ona wszystkie na pozór sprzeczne zeznania...

Nie widzę powodu, aby tak bez pardonu — jak pragnie prokurator — „wyrzucać za pokład“ świadectwo Wari Gargoliny. Zbyt charakterystycznym jest również świadectwo Archimonowa, aby to uderzenie laską w szybę było wymysłem fantazy świadka. Może też zaobserwował dobrze Kodłubajew, że Klein szedł przez ulicę *bez laski*. I Wołkowska pamięć nie omyliła, że Klein już z restauracji na dworzec wyjeżdżał bez laski...

Jakże pogodzić te dwie pary różnych zeznań?...

Jest po temu sposób nader prosty... W zeznaniu Susłowej mieści się klucz zagadki... Susłowa widziała przecie kiedyś, że Klein dawał swoją laskę dzieciom do zabawy. Zwróciliście uwagę: laska ta jest dobrze już stara; rączka trzyma się nieszczególnie; posrebrzenie zeszło — nie przedstawia ona wielkiej wartości...

Czy więc nie mogło się zdarzyć, że w chwili, kiedy Klein odchodził od okna Archimonowa, nawinął mu się pod nogi jakiś dzieciak — i wyprosił laskę. Jeżeli prokurator sądzi, że Masza już mogła być w owej chwili w domu, mogła to być ona sama... Jeżeli nie było jej jeszcze, mogło inne dziecko dać Maszy podarowaną, lub pożyczoną (z obowiązkiem odniesienia do mieszkania) laskę Kleina...

Tak daje się usunąć zagadkowa sprzeczność w zeznaniach świadków. Klein wychodzi z mieszkania z laską — oddaje ją na podwórzu jakiemuś dziecku — i z wrót domu wychodzi bez laski...



Kiedy laska jego następnie znajduje się na strychu pod nóżkami zgwałconego dziecka — Klein długo nie chce przyznać się do winy. Wie on dobrze, jak często to, co jest prawdą, wydaje się nieprawdopodobieństwem.

Nie uwierzą mu, że mógł podarować, lub pożyczyć starą laskę!.. Bo i któż kiedy wierzy podsądnym?!..

„Nie moja rzecz!“ — oto pierwszy odruchowy okrzyk instynktu samozachowawczego, gdy podejrzliwe oczy zatrzymują się na podsądnym z zapytaniem: „czy rzecz znaleziona na miejscu zbrodni — jest twoja“?..

Lecz póki nic innego prócz tej laski nie zwraca się przeciw podsądnemu, póki otwiera się szeroka perspektywa przypuszczeń, że laska mogła być podarowana, pożyczona, ukradziona, samowolnie wzięta przez inną osobę — nie możecie, panowie przysięgli, z ręką na sercu powiedzieć: Klein ją zaniósł na strych! Klein jest winien!“

\* \* \*

Więc któż jest winien, jeżeli nie on?

.....

Panowie przysięgli! — jam tylko obrońca — jam nie oskarżyciel. Moim obowiązkiem było wskazać wam wszystko, co mówi na rzecz Kleina, co mówi przeciw jego winie.

Nie moją rzeczą jest szukać prawdziwego winowajcy. Jeżeli sumienie wasze na mocy dowodów, które rozwinąłem, nie pozwoli wam obwinąć Kleina — mój obowiązek będzie spełniony, jak należy.

Wszelako gotów jestem iść na spotkanie drę-











rzy nie siedzą na ławie podsądnych... Czyż gęstszy cień nie upadnie na porucznika?

Panowie przysięgli!... porucznik tego dnia w godzinach podejrzanych — był w domu przy ulicy Grochowej № 78. Widziała go Gargolina... widziała go jak wchodził... Nie widzę zasady, aby tak wprost, w całości, wyrzucać za pokład zeznanie Wari Gargolinej, ponieważ nie podoba się ono oskarżycielowi. Można omylić się co do szczegółów—czy widziało się laskę, czy nie... Ale nie co do tego — czy widziało się jakąś osobę...

Zresztą czyż porucznik nie zdradził sam siebie? czy nie wydały go jego rozdrażnienie, jego pomieszanie, jego fałszywe odpowiedzi, jego przemilczenia?

Dzielny kapitan, którego zegarek „prawie“ dobrze chodzi — ale czasami się zatrzymuje — a czasem pewnie spóźnia — nie zauważył opóźnienia swego *przyszłego zięcia*...

Ale on był tam... był „obstalowany“ telefonicznie przez Saszę... Był w tym samym czasie, kiedy z obowiązku swego, z oficjalnym pakietem, winien był jechać do więzienia — był wówczas, gdy jego spóźnienie mogło kosztować życie wielu ludzi! — był po 5-ej... był przed wpół do 6-tą!

Człowiek, który dla romansowej awantury lekceważy swoje obowiązki — który przed nierządnicami chlubi się ze swoich zwycięstw nad serduszkami ładnych mężatek — który nie wstydzi się prostytutkom pokazywać fotografię damy swego serca, taki człowiek zdolny jest do różnych ekscesów!...

Widzę go, jak wchodzi po schodach — jak zatrzymuje się u drzwi Wasniecowej — lecz dzwo-



ni napróżno: Wasniecowa, nie doczekawszy się go, wyjechała — i oto ogarnia go rozdrażnienie zawiedzionej namiętności...

I jeżeli w tym momencie nawinęła mu się Masza, która może szła na górę do swojej znajomej Glafiry — szła z cukierkami Surguczowa — z laską, którą dopiero co dał jej Klein, (gdyby w istocie Klein rozminął się z Rosenkrancem, jak twierdzi Gargolina) z laską, którą mogła zresztą sama wziąć z mieszkania Kleina (gdyby raczej wydało się wam, że Klein ją zostawił) — to... pytam was, panowie przysięgli, czemu nie przypuścić, że stała się ona ofiarą rozdrażnionych zmysłów porucznika?...

Oto prokurator wyjaśnił wam, że miłośnicy szesnastoletnich dziewcząt osobliwie skłonni są do gwałcenia dzieci. A wszakże nie tylko Klein — wszakże i Rosenkranc rzucał „dziwne“ spojrzenia na Gargolinę, nawet polował na nią na schodach. Nie tylko Klein — i porucznik także konkurował do nierozwiniętej fizycznie panienki!

Z punktu widzenia psychologii prokuratorowskiej, mamy tu cały arsenał dowodów, które oskarżycielowi podobało się porównać z kulami armatnimi... Ba! zgódźcie się, że psychologia milego porucznika przewyższa tu psychologię Kleina. „Cyferblat jego serca“ — jak wyraził się prokurator — posiada sporo wskazówek. Miły porucznik podąża na *rendez-vous* do Wasniecowej, na schodach ugania się za Gargoliną... wieczorem tegoż dnia oświadcza się panie Feodosjenko!

Czy biedna Masza nie grała tu roli tragicznego intermezzo?...



Panowie przysięgli!... jest jeszcze jeden szczegół, któremu niepodobna odmówić wagi.

Na schodach — nie u drzwi Głafiry Kosej bo to dałoby się *inaczej* wytłomaczyć: względami „znajomości“, prawie „przyjaźni“, sięgającej aż do zwierzenia się z tajemnic serdecznych—ale wyżej nieco, więc po drodze na strych... znaleziony został najątruz pugilares porucznika...

Kto upuścił go?... Złodziej? którego nikt nie widział, nikt nie schwycił? — o którym mówi tylko porucznik! — czy... sam porucznik, który nie pamiętał o pugilaracie, ale pamiętał o tem, aby najątruz Kleina oczernić przed Aleksandrową?!...

Czernił go jeszcze — przed sędzią śledczym — bez żadnych danych...

Czy przez lekkomyślność tylko, czy może... z dobrze zrozumianego własnego interesu?!...

\*

Porozumiejmy się!

Ja nie twierdzę bynajmniej, że porucznik Rosenkranc jest winien tej ohydnej zbrodni...

Chciałem wam tylko pokazać, jak gęste cienie podejrzenia mogą padać na tych, których prokuratura uznaje za niewinnych i... broni gorąco! Cienie nie mniej gęste, niż te, które padają na podsądnego. A jeżeli nie postrzeżliście tego odrazu, to dlatego, że najczarniejsze cienie odrzuca zwykle ława podsądnych,—i w mroku jej często nie rozpoznają oczy nasze niewinnych!...

\*

Pugilares porucznika, porzucony w dniu zbrodni blisko strychu, gdzie dokonano zbrodni — wart jest łaski Kleina, jako poszlaka...



Ale jeżeli wierzycie, że podrzucił go nie porucznik, lecz złodziej — to musicie przyznać, że obrona Kleina zyskuje przez to nowe szanse...

Gwałciiciel może być nam nieznanym... Może być nim osoba niewiadoma — jakiś mularz, pracujący na dole w tejże oficynie — jakiś czuły przyjaciel Glafiry, który obecnie za kradzież odsiaduje więzienie — złodziej, który okradł owego dnia porucznika...

Może pukał długo do mieszkania bogdanki, śpiącej snem alkoholiczno-kamiennym — wałęsając się po schodach w próżnym oczekiwaniu, zajrzał do szuflad porucznika o piętro niżej — zeszedł jeszcze o piętro niżej i wcisnął się do mieszkania Kleina; coś go spłoszyć mogło (może w mieszkaniu już była francuzka) i zdążył pochwycić tylko laskę ze „srebrną“ galką z przedpokoju... Powrócił znów na czwarte piętro — lecz drzwi Glafiry były zamknięte; ale u drzwi mógł znaleźć małą Maszę, która — jak mówiła jej matka — wszędy „polazła sama”... Czy nie pociągnął jej na strych i nie dokonał nad nią gwałtu?...

A potem uciekł przez dach, lub schował się w mieszkaniu prostytutki?...

Wszystko to jest możebne...

Śmiem nawet powiedzieć, panowie przysięgli, wszystko to jest stokroć możliwe, niż to, że Klein jest winien tak ohydnej zbrodni!

\* \* \*

Ale to, co rzekłem, nie wyczerpuje szeregu możliwości w tej sprawie.

Panowie przysięgli! otwarcie wyznam, że gdy przygotowywałem się do obrony Kleina, byłem



przekonany, że istotnym winowajcą jest porucznik Rosenkranc. Ku temu zmierzały moje pytania — ztąd byłem może nieco okrutny względem tego świadka.

Ale ostatnie chwile śledztwa sądowego odkryły przed nami nowe perspektywy.

Na plan przedni wystąpiła nowa postać, która cieniem swoim pokrywa i Kleina i Rosenkranca i Surguczowa i niewiadomego złodzieja...

Wszystkie promienie oskarżycielskiego światła — tak sądzę — skoncentrowały się w ostatnim momencie na postaci alkoholika Pietrowa, ex-żołnierza i grajka, mającego dziwaczny zwyczaj zabierania dzieciom wstążek i podwiązek — i jak słyszeliście, gustującego jeszcze we wdziękach kobiecych, choćby wątpliwej wartości...

Gdyby oczy prokuratora nie były tak wyłączne skierowane na Kleina, to może zauważyłby on, że stosunek Pietrowa do Glafiry nie nosił barwy platonicznej. Zainteresowałby się też może, czemu panna Joiffrin uczuła tak żywo potrzebę spalenia swoich podwiązek. Nie chciałbym kompromitować... w oczach prokuratora przejrzałej guwernantki, dającej lekcje... szansonistkom, ale... jej podwiązki w rękach podoficerskich stanowią pewien szczegół pikantny, mówią o ogniu miłości, poszukującej jakiegokolwiek surogatu — a ów co był pod ręką, w mieszkaniu, z którego gospodarstwo często wyjeżdżali, wydał się jej nader dogodnym...

Ale Pietrow, zdaje się, posiadał pewne dziwaczne zwyczaje — nie pobudzały go bezpośrednio wdzięki kobiece — należał, widać, do typów



z galerii Kraft-Ebbinga — w miłości wymagał pewnych akcesoriów...

Były niemi—jak wyjaśniła nam fachowo Glafira — wstążeczki, podwiązki — zwłaszcza dziecinne...

Zkąd zrodziło się w duszy Pietrowa to dziwne przyzwyczajenie?

Ono musiało powstać w dalekiej przeszłości...

Panowie przysięgli! — jestem przekonany, że podwiązki, które Glafira widziała na rękach Pietrowa — to były podwiązki nieszczęsnej maleńkiej Daryi!

Pietrow zgwałcił — zabił to dziecko!

Od owej chwili nie rozstawał się z ukradzionymi swojej ofierze podwiązkami. Męczyła go żądza — ale długo nie miał odwagi do nowego przestępstwa, które nasyciłoby jego przewrotne instynkty. Żył wspomnieniami o zgwałconem dziecięciu. Widział je w potwornych swoich marzeniach. W stosunkach z innymi kobietami, dotykał owych podwiązek, aby wskrzesić marę ostrej zbrodniczej rozkoszy...

Ale przyszła chwila, kiedy mu to wystarczyć nie mogło...

Postanowił powtórzyć to, co raz już bezkarnie uczynił!

Oto owa linia prosta, o którą tak troszczył się oskarżyciel, o której rozprawiał tak wymownie!

Panowie przysięgli! — oskarżyciel ma słusność: ten, kto zgwałcił Darję, winien jest zgwałcenia Maszy!

Prosta linia, przechodząca przez dwa czarne



punkty — jest linią zbrodniczego pochodzenia Pietrowa!...

\* \* \*

Dlaczegoż więc spojrzenia z trybuny oskarżycielskiej nie zwróciły się na Pietrowa? dlaczego prokurator nie zrzekł się oskarżenia Kleina?!...

Słyszeliście:

„Pietrow był chory — Pietrow spał... Lekarz skonstatował stan śpiączki“...

Tak jest!... Lecz czy Pietrow nie mógł się przebudzić, a potem zasnąć znowu?..

„Taka śpiączka zwykle ciągnie się przez kilka dni“... „Zwykle“ — a więc „nie zawsze“! Jak długo „*musi*“ się ciągnąć — gdzie lekarz, który to rozstrzygnął?! A co, jeśli *może* trwać parę godzin? jeśli przerywa się?

Czy badaliśmy stan Pietrowa przez ekspertów? Cóż wiemy o nim napewno? Lekarz na przypadkowe pytanie sędziego dał parę luźnych wiadomości — to wszystko. A może Pietrow mógł powstać z łoża w jakimś stanie snu lunatycznego?..

To niemożliwe — mówią nam... bez dowodów! Oto, co się nazywa pajęczyną argumentacyjną!

Lecz przypuście, że Pietrow, zbudziwszy się, ujrzał u swego łoża Maszę, która przyszła posłuchać jego piosenek — i ośwładnęła nim szalona chuć...

Powiadacie: „był słaby“... Ale kiedy po kilku dniach obudził się podobnie słaby, starczyło mu przecie siły dźwignąć się na strych, gdzie się powiesił...

Słaby był? — trudno mu było dostać się na strych, gdzie, jak pamiętał, spełnił ongi zbrodnię bezkarnie.



Doskonale! — widzi zatem w kącie dopiero co pozostawioną przez Kleina łaskę—tę samą łaskę, z której korzystał już nieraz, gdy udawał się na górę do Głafiry Kosej... W jedną rękę bierze łaskę —drugą pociąga Maszę, która się go nie boi — i udaje się na strych...

Potem powraca wyczerpany zbrodnią—i zapada w sen kamienny na dni kilka...

Tak jest, to tak musiało być!... Przeciwno wszystkim ewentualnościom tej sprawy ta jedna zdaje się powstawać, jako realność...

Potwierdzają to fakty:

Pietrow budzi się — dowiaduje, że za jego zbrodnię wzięto do więzienia jego pana i przyjaciela—owłada nim przerażenie — nie śmie on przyznać się wprost — nie śmie spojrzeć w oczy tej sprawiedliwości, przed którą ukrywał się tyle lat... Ale sumienie go męczy—sumienie zmusza go, aby świadomie czy nieświadomie uczynił symboliczne wyznanie...

I oto Pietrow wiesz się na tem samym miejscu, gdzie rozbestwiony znęcał się swoją pieszczotą nad nieszczęsną Maszą—wiesz się na tych podwiązeczkach, które przed wielu laty zdjął z nówek nieszczęsnej Daryi..

Bo to on je wówczas zdjął i zachował!

Wółkowowi wydało się, że Pietrow *nie* mieszkał wówczas na kanale Katarzyny — ale to jego zeznanie tylko zaświadczyło o jego dobrej wierze, skierowane wyraźnie przeciw Kleinowi stanowi dowód przeciw nieufności prokuratorskiej względem „świadectw przyjacielskich“.

Ale w tej sprawie — jak wskazał prokurator—



uczyniono tyle pomyłek w określeniach czasu, że na pamięci Wołkowa o fakcie, mającym miejsce pięć lat temu, trudno polegać.

Zamierzałem rzecz tę sprawdzić — ale wypadłoby w tym celu odłożyć sprawę. Podsądny prosił mnie, nalegał, abym tego nie czynił. Oświadczył mi, że nie jest w stanie znieść dłużej mąk oczekiwania...

Zgodziłem się...

Bo przyszło mi na myśl, że ten krzyk, który wydarł się z piersi Kleina — te słowa jego, pełne rozpaczliwej mocy: „on mieszkał wtedy!“, rzucone w ostatniej chwili śledztwa — zabrzmiały z taką męczeńską siłą szczerości, że nie wątpicie chyba, iż podsądny powiedział prawdę...

Są chyba wypadki, kiedy niema konieczności powoływać się na meldunkowe księgi cyrkułu, zwłaszcza, że zdarzają się w nich braki i pomyłki... są wypadki, gdy świadectwo podsądnego może wystarczyć...

Panowie przysięgli!... pozwólcie, że myśl moją wypowiem do końca...

Wydaje mi się—myślę, że Pietrow odkrył tajemnicę swej zbrodni Kleinowi — że bodaj uczynił to owego wieczora, kiedy sądził, że umiera — a od tej chwili Klein uczuł się skrępowany tajemnicą umierającego.

Zgaduje on teraz, kto jest winowajcą w sprawie Maszy... Ale obecnie ciąży na nim podwójna tajemnica—teraz jest to już tajemnica samobójcy!—tajemnica święta przyjaciela, który ongi ocalił mu życie!

Klein jest zbyt szlachetny, aby wydać tę ta-



jemnicę... Pewnej chwili odmówiły mu siły — histerycznym swoim okrzykiem podniósł skraj tajemniczej zasłony... lecz błąd swój postarał się zaraz naprawić. Wbrew najwybitniejszym własnym interesom, zrzekł się skontrolowania faktu, który niewątpliwie przemawia na jego korzyść. Sądzi, że inaczej zdradziłby tajemnicę zmarłego...

Panowie przysięgli! — oto przed wami znajduje się nie przestępca, ale męczennik...

Wasz uniewinniający wyrok nie potrafi go nigdy wynagrodzić za te męki, które zniósł niewinnie.

Ale tem prędzej winniście otworzyć mu drogę do żony, którą tak tkliwie kocha, która czeka go w trosce i bólu długie miesiące — tem prędzej winniście powrócić mu honor i wolność!...

#### OSTATNIE SŁOWO.

Prezes. Podsądny Edwardzie Edwardowiczu Klein, wstańcie. Co macie do dodania na swoją obronę?

Klein. Nic.

---







## MOWA PREZESA.

Nie będę ukrywał przed wami panowie sędziowie przysięgli, że sprawa, którą wypada wam sądzić obecnie — stanowi zagadnienie trudne i niezmiernie skomplikowane. Pod tym względem godzę się w zupełności z obrońcą...

Wszystkie sprawy, które wypadło nam rozstrzygać podczas obecnej sesyi, nie mogą iść w porównanie z tą jedną. W tamtych nie było nic zagadkowego. W tej zaś, jakkolwiek zdawała się ona z początku jasną i prostą — w miarę śledztwa sądowego mrok stawał się coraz gęstszy.

Stoicie wobec ewentualności skazania niewinnego — i nie wątpię ani na chwilę, że przyłożycie wszystkich starań ku temu, aby znaleźć prawdę. Albowiem rzec sobie: Sprawa jest zagadkową i dla „ulżenia“ swemu sumieniu wynieść wyrok uniewinniający — nie byłoby to godnem tej roli, którą zazwyczaj was prawo, powołując do udziału w funkcjach sprawiedliwości...

Jesteście sędziami!... Winnicie przeto pamiętać o tem, że przestępstwo, za które sądzony jest Klein, należy do gatunku największych i najniebezpieczniejszych: zwraca się ono przeciw stworzeniu bezbronnemu, przeciw dziecku — przestępca działa z tem większem zuchwalstwem, że nie obawia się, iż ofara go wyda...



Nie zapominajcie, że nie zawsze ofiara wychodzi z rąk gwałciciela w tym stanie, co Masza — a nie można rzec, aby i ona przyplaciła ten wypadek lekko: jej choroba ciągnąć się może lata — dotknięcie rozpustnika może ciążyć nad nią przez całe życie.

Lecz bywają skutki gorsze. Przypomnijcie śmierć maleńkiej Daryi...

Przestępca wówczas nie został schwytany — społeczność nie zabezpieczyła się przed jego zbrodniczemi namiętnościami za pomocą środków prawnych...

I oto wydaje się nader prawdopodobnem, że bezkarność pierwszego przestępstwa przyniosła, jako straszliwy owoc — drugie!

Zarówno oskarżyciel, jak i obrońca, zgadzają się na to. Tylko jeden powiada wam: nieukarany Klein dopuścił się gwałtu po raz wtóry... Drugi powiada to samo ze zmianą nazwiska: Kleina na Pietrowa.

Słowem, zdaniem każdej ze stron, mamy tu owoc z jednego drzewa.

Oto czemu nie możecie być pobłażliwi dla przestępcy, skoro przyjdziecie do wniosku, że znajduje się on w rękach sądu... Albowiem miłosierdzie wasze z czasem mogłoby okazać się wyrokiem śmierci dla jakiejś nowej ofiary, w rodzaju biednej Daryi!...

Nie wątpię przeto, że nie uchylicie się od waszego obowiązku — i że podpiszecie wyrok skazujący ręką tak spokojną, jak radosną wyniesiecie z sali obrad uniewinniający, gdy przekonanie wasze przechyli się w tę właśnie stronę...



Ciężką jest wasza odpowiedzialność, panowie przysięgli — ale niemniej ciężką wydaje mi się moja w chwili, gdy zamierzam dać wam ostatnie wyjaśnienie.

\* \* \*

Co prawda — zadanie moje jest bardzo ułatwione... słyszeliście obszernie i wyczerpujące mowy obu stron... Były one tak wypukłe... tak wymownie oświetlały materiał sądowy — każda ze swego punktu widzenia, — że nie widzę potrzeby grupować i zestawiać dowodów obu stron... Wy to sami potraficie uczynić...

Chcę wam tylko nieco w tem dopomódz... Ale właśnie tu ogarnia mnie lęk... Boję się, abym przy zestawieniu argumentacji oskarżenia i obrony nie uchybił mimowoli swojej obiektywnej roli, nie uczynił przypadkiem nacisku na argumenty tej lub owej strony, przeważając w ten sposób szalę... Boć przechylić ją w tę lub w ową stronę — to rzecz waszego sądu...

Moją rzeczą jest głównie: przypomnieć wam o tych zeznaniach, które mogą okazać się pożytecznymi przy rozważaniu sprawy, a zostały pominięte bądź przez jedną, bądź przez drugą, bądź przez obie strony... Winienem też zwrócić waszą uwagę na pewne poprawki faktyczne, o ile jedna lub druga strona odchyliła się w rozumowaniach swoich od materiału śledczego, dawszy się mimowoli pociągnąć fantazyi w kierunku swego bądź oskarżycielskiego, bądź obrończego celu...

Nie chciałbym uchybić wyczerpującym i kra-







wieść, że kryją się w niem sprzeczności wewnętrzne... Jeżeli, zdaniem waszem, to jedno, że Wołkow jest przyjacielem Kleina, nie może zasadniczo unieważniać wartości jego zeznania — to winniście osądzić, czy prokurator wykazał takie sprzeczności wewnętrzne w świadectwie Wołkova... Boć inaczej nie miał prawa go odrzucać...

\* \* \*

Nie będę także ukrywał przed wami, że obrońca nader umiejętnie podważa każdą z poszlak w odrębności — i zupełnie godzę się z obrońcą, że na mocy żadnej z tych poszlak po szczególe niepodobna oprzeć skazującego wyroku...

Wszelako zaleciłbym wam rozważyć, czy poszlaki mogą podlegać analizie tylko po szczególe... czy nie nie znaczy łącznia poszlak, wskazujących jedno i to samo... Zastanówcie się nad tem, o ile możliwem jest *przypadkowe* połączenie wielu *przypadkowych* faktów, z których każdy kieruje się przeciw jednej osobie ..

Jeżeli każda z poszlak tłumaczy się jakimś przypadkiem, to jaki przypadek tłumaczy ich współistnienie?... W każdej sprawie w rodzaju obecnej należy zadać sobie pytanie, czy nie za wiele jest przypadków razem, godzących w jedną osobę?... Otóż pomyślcie, czy ilość poszlak, obciążających Kleina, nie jest większą od ilości tych, które wskazywać mogą na inne podejrzone osoby.

\* \* \*

Ale — i tu ostrożność nakazuje wyznać, że nawet na znacznej sumie poszlak materialnych i psychologicznych nie macie prawa się oprzeć, jeżeli znajdują one poważną przeciwwagę choćby w je-



dnem tylko, ale zupełnie wiarogodnym świadectwie na korzyść podsądnego.

Oto czemu radzę wam zastanowić się głęboko nad kwestją *alibi* — rozważyć wszystkie *pro* i *contra* — porównać obliczenia prokuratora i obrońcy...

A gdyby kwestją *alibi* wyjaśniła się na rzecz Kleina, jak to sądzi obrońca — to choćbyście nie byli w stanie wyjaśnić sobie łączni materialnych poszlak — musicie schylić głowę przed zagadką, ale nie wolno wam wydać wyroku skazującego.)

\* \* \*

A w tej sprawie — to prawda — pozostało wiele punktów zagadkowych, ciemnych...

Zeznania świadków wydają się niby niemi, wydzierzgniętymi z haftu... Jak z tych postrzępionych nici odtworzyć obraz, które usnuło życie rzeczywiste?... Nie nadsztukowując fantazją, aby nie uchybić prawdzie?!...

Gdyby jednak udało się odtworzyć obraz, którego wszystkie punkty wytyczne, wszystkie główne linie zgodziłyby się z liniami śledztwa sądowego — dałyby ten sam układ przestrzenny i czasowy — miały to samo zabarwienie — i tworzyłyby w ogólnym zarysie, po zapełnieniu luk bez sprzeczności ze zeznaniami świadków, pewną całość logiczną i psychologiczną — to... czy nie mielibyśmy prawa uznać takiego obrazu za odbicie rzeczywistości?

Spróbujmy — może taki obraz uda się nam odtworzyć — nie pomawiając świadków o pomyłki lub fałsze umyślne — nie odrzucając niedogodnych dla nas zeznań — albo odrzucając je tylko wówczas, gdy cała suma innych, wiarogodnych zeznań, daje nam po temu niewątpliwe prawo...



Może będziemy szczęśliwsi w układzie tego obrazu, niż prokurator i obrońca, czyniący świadkom tak wiele zarzutów — za ich nieścistość...

A waszą rzeczą będzie osądzić, czy ten nasz obraz jest tylko szczęśliwym tworem wyobraźni... przypadkowo udatną budową z cegiełek śledztwa sądowego, — czy też jedynym, musowym, nie dającym się zastąpić przez żaden inny bez podeptania zasad logiki i praw psychologii — czy pożądane światło rzuca na wszystko, na wszelkie tajemnicze zakątki sprawy...

Spróbujmy taki obraz stworzyć.

\*                    \*                    \*

Oto mówimy ciągle o dniu 13-ym lipca — i wydaje się nam, że tylko fakty, które w tym dniu zaszły, mogą rzucić światło na sprawę. Mnie zaś interesuje mocno dzień poprzedni — dzień 12 Lipca — a raczej wieczór owego dnia — i noc...

Pamiętacie, tego wieczora Pietrow wrócił do domu pijany — szalony — w gorączce — rzucał się, hałasował, bił szyby...

Jeżeli obrońca ma słuszność, że to Pietrow przed wielu laty zgwałcił małą Darję i spowodował śmierć dziecka — to może te jego ataki — te chwile, gdy pił aż do szału — były momentami, kiedy budziło się jego uspijone sumienie i szukało zapomnienia...

Pod tą szorstką skórą żołnierską kryły się jakieś dziwactwa, anomalie, perwersje... Ukolysany dobrobytem w domu Kleina — ułagodzony pod czułą opieką pani Klein — tak często wesoły — pochopny do opowiadania anegdotek — „bałałajecznik“ i bawiciel dzieci — pomimo wieku, pomimo



choroby, przechodził jakieś burze zmysłów... Toć chwilami, opierając się na kiju, dźwigał nogi — odwiedzał lokatorkę z górnego piętra... Tu chore, nieposłuszne zmysły, spinał ostrogą piekielnego wspomnienia... Podwiązki, ukradzione zwłokom dziecka, przypominały mu o hyenowej orgii, budziły w przewrotnej duszy zachwyty miłosne, potworną rozkoszą ożywiały zwiędłą krew...

Czuły związek — jak, zdaje się, wolno przypuszczać — połączył go w ostatnich czasach z osobą nie pierwszej młodości i — jak mogliście zauważyć — niezbyt ponętnej powierzchowności: stara francuzka zagrzewała wstydlive panięskie serce na łonie podoficera. Tak wolno mniemać przynajmniej z tego względu, że do swoich okrutnych trofeów nie zawahał się on dołączyć podwiązek starej guwernantki.

Zdaje się, doznawał też jakichś rozkosznych sensacji, zdejmując dzieciom wstążeczki z głowy. — Czy ta rozkosz na długo jęła mu wystarczać, czy, że siły płciowe alkoholika osłabły w znacznym stopniu, czy, że zwyrodniona namiętność doznawała nasycenia w stosunkach prostytucyjnych, w romansach pokątnych, gdy na pomoc przychodził podrażniający widok i dotknięcie podwiązek — dość, że Pietrow otaczającym go dzieciom krzywdy nie czyni. Wystarcza mu lubieżne dotknięcie ich włosów i wstążeczek — czuje się z dziećmi dobrze, zabawia je grą swoją — i jest stoi niewinne stworzenia szczerze kochany...

Dwunastego Lipca, na tego nienormalnego człowieka, którego rozstrój płciowy znajduje się prawdopodobnie w związku z atakami letargii, jakiej







Płyną długie godziny nocy... Otwierają się skrytki zgorączkowanego mózgu alkoholika... Na spalone usta wybiega wyznanie... Pierwsze słowa wydarła zapewne gorączka. Teraz Pietrow — któremu wydaje się, że jest konającym — spowiada się przed swoim panem i przyjacielem. Chce zrzucić z piersi przed śmiercią ciężar niewypowiedzianej tajemnicy...

Klein słucha z przerażeniem i grozą..

Tak jest, ta noc — kiedy pan ze sługą pozostawali za zamkniętymi drzwiami, kiedy francuzka próżno starała się przez „grube ściany“ uchwycić coś z ich rozmowy — musiała być nocą spowiedzi.

Osądźcie, panowie przysięgli, sami, czy domysł ten jest zbyt śmiałym, czy przeciwnie, znajduje on upoważnienie w zeznaniach świadków. Mnie wydaje się wnioskiem z tych zeznań, rzuca światło na pewne tajemnicze szczegóły sprawy... Przypomnijcie! Nazajutrz rankiem Klein wzburzony wychodzi z pokoju chorego — zgorączkowaną głowę chłodzi wodą z lodem — i powtarza wyrazy, które przytoczyła nam francuzka: „Okropność! okropność!“

Przypomnijcie jeszcze: Klein lituje się nad chorym, o którego deprawacyi dowiedział się tej nocy — ma dlań dawne obowiązki wdzięczności: Pietrow ocalił mu kiedyś życie — lecz wstręt, oburzenie, a równocześnie litość nad cierpiącym okropne męki sumienia, wydzierają mu podczas rozmowy z Wołkowem te słowa z ust: „Lepiej byłoby dla niego, gdyby zasnął na zawsze!“

Zdaje mi się, że tylko ta jedna hipoteza tłumaczy zagadkowe odezwania się Kleina rankiem



wobec francuzki i po południu tegoż dnia wobec Wołkowa: Pietrow wypowiadał się przed Kleinem ze zbrodni, dokonanej niegdyś na maleńkiej Daryi Pawłowej!

I tu, zdaje się, także słuszność ma obrona: tajemnica Pietrowa, powierzona Kleinowi jakby na spowiedzi, jakby w godzinie przed śmiercią, musiała stać się świętością dla podsądnego. Klein tej tajemnicy nie miał prawa zdradzić... Jeno mimowoli wydał ją w końcu śledztwa swoim histerycznym okrzykiem, protestem przeciw pomyłce w zeznaniu Wołkowa. Tak jest, Pietrow mieszkał wówczas przy kanale Katarzyny № 192a — wierzę pod tym względem zupełnie Kleinowi — i on to zgwałcił nieszczęśliwą Darję!

\* \* \*

Jakie wrażenie uczyniła spowiedź Pietrowa na Kleinie?...

Musiało to być --jak rzekłem--wrażenie zgrozy, przerażenia... Widać to ze słów, które rankiem powtarza bezustannie...

Ale może uczucia, jakich doznał Klein, były bardziej złożone?...

Niewątpliwie... Prócz wstrętu do służki, doznaje on litości nad jego męką... Wychodzi z domu, kłopotząc się o chorego... Pragnie posłać dlań Kołtubajewa do apteki, ale stróż wymawia się brakiem czasu...

Zapewnie w banku Klein przez cały czas ma głowę zaprzątniętą troską o chorego. Wyszedłszy z banku wraz Wołkowem, który zaprasza go dla uczczenia swych imienin do restauracji, przede-



wszystkiem wstępuje do apteki, aby kupić jakiś przeczyszczający środek dla Pietrowa...

Idźmy teraz za krokami podsądnego, ściśle trzymając się zeznań świadków... Nie pomawiajmy ich zbyt pochopnie o błąd lub fałsz — tylko dlatego, że zeznania ich nie dają się dopasować do naszych przypuszczeń.

\* \* \*

A. zatem:

Wołkow wstępuje do sklepu tytuniowego. Klein, niosąc lekarstwo, udaje się naprzeciwko do swego domu.

Jest godzina — według obrachowań obrońcy, które wydają mi się zupełnie trafne — pięć, dziesięć minut po piątej.

W bramie nikt nie spotyka Kleina. Afanasjew rąbie drwa na drugim podwórzu. Kodłubajew znajduje się w zamkniętem mieszkaniu Susłowej, gdzie odbywa się rewizja...

Maszy na podwórku jeszcze niema... Jeszcze bawi się gdzieś na ulicy, wysiadłszy z dorożki Wasniecowa, lub znajduje się w sklepie Konopliankowej pod opieką jej i Surguczowa...

Klein wchodzi na górę... otwiera sam mieszkanie... Francuzki w domu niema... Znajduje się ona u generałowej Böhm, gdzie udziela lekcji od wpół do 5-ej do wpół do 6-ej...

Klein zachodzi do pokoju chorego — zastaje go w stanie śpiączki, w jakim widywał go niejednokrotnie. Wie z doświadczenia, że stan ten potrwa dni kilka, że tu nic poradzić niepodobna — wychodzi...

Wychodzi z laską! panowie przysięgli...



Z laską — bo oto, kiedy schodzi nalatuje nań Warja Gargolina, wytrąca mu laskę z ręki, podnosi, oddaje...

O kilka schodów niżej spotyka Klein porucznika Rosenkranca... Tak jest! panowie sędziowie — nie widzę powodu, aby nie wierzyć świadectwu Wari Gorgolinej. Porucznik zajechał na moment — zamierza pewnie wyjaśnić despotycznej swojej pani, która przez telefon „kazała“ mu przyjść po piątej, że nie może jej dnia tego służyć, przypuśmy towarzyszyć w podróży do Terjoków, bo jest zajęty... Jest kilkanaście minut po piątej — porucznik spieszy — zna wagę swego polecenia, acz nie wie nic o „terminie“ kapitana Feodosjenko — inaczej chyba nie nałożyłby drogi — (wierzę w lekkość serca nie przypuszczam) — krótko wyklada rzecz pani Wasniecovej — może zbyt krótko — może zostawia damę swego serca urażoną, nieufną — może na tem tle między obojgiem zaszło nieporozumienie, które wyjaśni nam, czemu porucznik tego wieczoru zwrócił swoje zapaly w inną stronę...

Ale mniejsza o porucznika!..

Nas interesuje podsądny..

Klein schodzi na dół — Susłowa, stojąca w oknie, widzi go, idącego przez podwórze — widzi, jak Klein puka laską w lufcik szewca — jak zamieniwszy z nim parę słów, zdąża ku bramie...

Wyszedł — nie podniósłszy kołnierza, nie nasunąwszy kapelusza na czoło — wyszedł jak człowiek o sumieniu czystym — nie napotkał w bramie Kodlubajewa, który wciąż jeszcze asystuje przy re-



wizyi... nie widział Maszy, której jeszcze nie przeprowadził Surguczow do domu...

Wstąpił do sklepu, gdzie czekał nań Wołkow — istotnie powrócił szybko — Wołkow słusznie upewniał nas, że nie zdążył wypalić papierosa — słusznie twierdził, że Klein nie miał czasu popełnić zbrodni...

Przy tej okoliczności rad jestem zwrócić uwagę waszą na to, że nie jesteście bynajmniej obowiązani wyjaśniać przejścia Kleina na drugą stronę ulicy *ucieczką, chęcią ukrycia się* — jak sądzi pan prokurator. Rad jestem, że tem drobnem wyjaśnieniem mogę niejako stanąć po stronie obrony Kleina, skarżącej się na podejrzliwość prokurator-skiej trybuny.

Teraz obaj przyjaciele podążyli do restauracyi — Klein jest zdehumorowany, znajduje się ciągle pod wrażeniem spowiedzi swego sługi — to wyznanie raziło go jak gromem — dziwaczne myśli przychodzą mu do głowy. Wołkow częstuje go szampańskim — wie wprawdzie, że Kleinowi wino szkodzi — ale szampańskie? — „dziecku można dać!“... „Szampańskie dobrze oddziaływa na usposobienie!“ Klein nie ociąga się tym razem... wypije z solenizantem całą butelkę...

Czas zeszedł szybko... Nie spostrzegli się — pora jechać na kolej. Godzina 5 min. 40 — Wołkow popędza przyjaciela. Boć jeżeli Klein spóźni się na pociąg, to straci kilka godzin — i dopiero późnym wieczorem trafi do żony...

Klein jest mocno podchmielony. Wypić pół butelki wina — to dla niego rzecz niezwykła. Woł-



kow wynajmuje mu dobrego dorożkarza — „lichacza“, żeby się nie spóźnił..

Klein wsiada do dorożki... *z laską*, panowie przysięgli — *z laską!* Toć Warja mu ją oddała... A, prawda: — Wołkow powiada, że laska została w domu!.. Ale Wołkow rozumuje: „skoro Klein wyjechał — a laskę jego znaleziono na strychu, to laska winna była zostać w domu“. Ale w tej jednej chwili... kiedy mówił te słowa... Wołkow, pewny siebie, pewny swego przyjaciela — zauważyliście może? — zmienił się na twarzy, spojrzał na podsądnego i.. powiedział zagadkowe wyrazy: „ja z tego wszystkiego nic nie rozumiem“.

Miało-ż to znaczyć, że nie rozumie, jak laska, zostawiona przez Kleina, dostała się w cudze ręce?... A może raczej w owej chwili Wołkow, mający ogromną pamięć drobiazgów — przypomniął, że... widział laskę w rękach przyjaciela w restauracji — może w dorożce jeszcze — i *tego* nie był w stanie zrozumieć?! Może w tej jednej, jedynej chwili — Wołkow, prawdomówny Wołkow, skłamał, pragnąc ocalić podsądnego? — uczuwszy niejasno, po raz pierwszy w ciągu śledztwa, chmurę, zbierającą się nad jego głową?! Skłamał — właśnie w owej chwili, gdy prokuratorowi wydało się, że jeno wtedy mówił prawdę — on prawdomówny we wszystkim innym, jak słusznie stwierdziła obrona wbrew zarzutom oskarżyciela...

Klein pojechał z laską — w kierunku dworca fińskiej drogi żelaznej, dążąc na pociąg, odcho-  
dzący o 6 m. 5 po południu...

„Lichacz“ pędził... Dowodem tego wypadek, opisany w „Petersburskiem Echu“.. Skręcając z Li-



tegoż mostu, dorożka, wioząca Kleina, o mało nie przejechała jakiejś kobiety...

Przykry wypadek, który na szczęście nie pociągnął za sobą żadnych złych skutków...

*Tak się zdaje, panowie przysięgli...*

Był to jednak wypadek fatalny...

W życiu ludzkim tak wiele zależy od drobnych napozór wypadków...

Był to—powiadam—zdaje mi się: wypadek fatalny... Zaraz wyjaśnię, dlaczego tak mi się wydaje...

Lecz wprzód pozwólcie mi nieco wypocząć...  
Ogłaszam przerwę na dziesięć minut.

\* \* \*

(Po przerwie).

Klein wyjechał o godzinie 6 m. 5 i przybył do żony na wieś o godzinie 6 min. 40...

Tak sądzi oskarżyciel—tak twierdzi obrona...

Takiem jest zeznanie żony podsądnego...

Spróbujmy na chwilę, panowie przysięgli, przypuścić, że żona Kleina... z tych lub owych względów... (o nich pomówimy później...) podała godziny przyjazdu męża na daczę—błędnie!...

Toć stara Marta, służąca Kleinów, która zga-dzała się na wszystko, od której przeto nie mogliśmy się nic dowiedzieć—zgodziła się na to, że pan jej przyjeżdżał niekiedy późno wieczorem!..

Przypuścimy, że tego dnia właśnie wyjechał pociągiem wieczornym o godz. 9 m. 20.

Zkąd to przypuszczenie?...—spytacie.

Wszakże Wołkow, troskając się o to, aby Klein się nie spóźnił, najął mu dorożkę pierwszej klasy... i dorożkarz spieszył mocno... Było jeszcze 25 mi-



nut czasu... Klein w samą porę powinien był przyjechać na dworzec...

Tak!.. Ale w kronikarskiej notatce „Petersburskiego Echa“, dostarczonej nam przez obronę — czytamy, że... oburzona na nieostrożną jazdę publiczność zatrzymała dorożkę i puściła ją dopiero po wylegitymowaniu się Kleina..

To zatrzymanie się na skutek wypadku... musiało potrwać kilka minut..

Kilka minut — nie wiele... Ale z tego powodu... Klein *mógł* się spóźnić na pociąg.

Jeżeli przybył choćby w minutę tylko po 6 m. 5 — jeżeli pociąg odszedł w swoim czasie — jeżeli, słowem, Klein spóźnił się, to... rzecz oczywista, nie wyjechał!..

\* \* \*

Panowie przysięgli!.. porozumiejmy się... Ja nie twierdzę wcale, że Klein *nie wyjechał*.. Ja pod tym względem nic nie wiem napewno!.. Ale opierając się na zeznaniu Wołkowa, że „Klein mógł się spóźnić“, i na przedstawionej przez obronę reporterskiej notatce, że zatrzymano go w drodze... robię tylko przypuszczenie, że Klein nie wyjechał..

I badam dalej..

Spóźnił się na pociąg..

Cóż mógłby w tym wypadku uczynić?..

Czekać na dworcu?... Miał przed sobą do następnego pociągu trzy bite godziny... Czekać byłoby za długo..

Ale i wracać do domu?... Po co? — jaki cel?..

A może było jednak po co wracać?..

Panowie sędziowie, przypomnijcie sobie, co mówił Wołkow... Klein mocno żałował, że zapo-



mniał wziąć z domu zarzutkę dla żony na chłodne wieczory... „Klein bardzo dbał o zdrowie żony“ — tak zeznawał Wołkow... Jego zalety, jako wzorowego męża, podniosła słusznie obrona... Klein prosił Wołkova, aby nazajutrz przywiózł zarzutkę pani Klein — „na daczę“. Ale Wołkow wymówił się — nie przyrzekł — miał obowiązki względem chorej krewnej...

Lecz oto teraz Klein ma przed sobą trzy wolne godziny. Nie wie, co z niemi uczynić... Może postanowił skorzystać z czasu i pojechać do domu po zarzutkę dla żony?.. Niema w tem nic nieprawdopodobnego... Przypuszcmy, że tak uczynił...

\* \* \*

Bierze dorożkę, lub wsiada do tramwaju...

Po upływie dobrej pół godziny staje przed domem.

Była godzina około wpół do siódmej... nieco później... pora, jak zauważył słusznie obrońca, stosowniejsza do zbrodni, niż poprzednia... Był to moment ciszy w domu. Już policyi nie było... Już rozjechało się więcej osób: panie Wasniecowa i Efimjenko... Na pierwszym piętrze stroskana Susłowa chowała gdzieś po pustych kątach łzy swoje... Na drugim stara Katarzyna zajęta była robotą. Naprzeciwko pograżony w śpiączce leżał Pietrow. Francuzka prawdopodobnie nie zdążyła jeszcze wrócić z lekcji, kończącej się o wpół do siódmej... od pani Weisblat. Na trzecim piętrze nikogo. Na czwartym zatarasowana Korowina z Warją i śpiąca po nocnej libacyi Glafira Kasaja... Na schodach nikogo...

W podwórzu znikły kroki studenta i prze-



brzmiały słowa jego: żegnaj, Masza! Afanasjew wysłany został przez kolegę do cyrkułu z meldunkami. Kodlubajew w drugim podwórzu wypoczywał nieco po rewizyi...

Masza bawiła się w bramie, lub na podwórzu... Było w pół do siódmej... Surguczow — jak trafnie wyliczył obrońca — już odprowadził małą do domu...

I oto Klein, wracający do domu, w owej chwili ujrzał Maszę... samotną!

Przynajmniej z zeznań świadków układa się taki obraz...

Czy w owej chwili ten człowiek cichy i dobry, skromny i uczciwy, przywiązany do swojej żony, z myślą o niej wracający do domu — dopuścił się ohydneho przestępstwa?.. Jak się stało, że naraż twarz jego zeszpecić się namiętnością, że wyciągnął z kieszeni cukierki, które nosił zawsze, którymi lubił darzyć dzieci — (wierzę obrońcy — bez złej myśli)? — Jak się stało, że na ten raz użył ich za wabika! — że pociągnął dziecko za sobą na schody?...

Czy taka potworność stała się?... czy była możliwością?!

*Nie wiem, panowie przysięgli!*...

*Na to pytanie musicie odpowiedzieć sobie sami..*

A odpowiadając na nie, musicie być w zgodzie z prawami, rządzącemi duszą ludzką, z psychologią Kleina...

Zanim odpowiecie: „Klein jest winien!“ — musicie rozważyć głęboko, czy Klein *mógł* dokonać tej zbrodni, czy był do niej zdolny...

A dlatego winniście zadać sobie śladem oskarżyciela i obrońcy pytanie: „kim był Klein?“



I odpowiadając na to pytanie, nie powinniście ująć Kleinowi ani jednej z tych zalet, o których tak szczerze i wymownie mówili Merc i Wołkow, obaj — świadkowie zupełnie wiarogodni... Nie należy nigdy czernić ludzi bez zasady... nawet, kiedy znajdują się na ławie podsądnych... Pod tym względem obrona ma zupełną słuszość — i podzielałam jej niektóre żale do prokuratora, który dał się unieść nieco zapałowi swojej obowiązkowej roli... (Przytrafia się to nieraz — i obronie!)

\* \* \*

Więc kim był Klein?...

Syn zamożnego obywatela guberni liflandzkiej...

Prokurator sądzi, że otrzymał dobre wychowanie, wykształcenie... Świadkowie nic nam o tem nie powiedzieli.. Sierota — (matka odumarła go wcześniej) — zdaje się, dobrego wychowania nie otrzymał... Nie posiadał i wykształcenia — na progu życia napotkał ruiny i zgliszcza... Nie miał na kształcenie się..

Jakie wyniósł zadatki dziedziczne z domu?... O tem trudno sądzić... Rodziny obywatelskie bywają różne — i różnych mają przedstawicieli w szeregu pokoleń...

Obawiam się, panowie przysięgli, że Klein nie był szczęśliwym dziedzicem na punkcie psychologii... Majątek jego ojca padł ofiarą ognia... Podpałała go jakaś oszalała chłopka... „Mówiono o zemście“ — dodaje Wołkow...

I oto cień podejrzenia przesuwa się mimowoli przez wyobraźnię... Czy późniejsza historia z Natalią Dmecową nie była widmem? — zmienionem przez



inny czas i inne okoliczności echem... jakiegoś dawniejszego ekscesu w rodzinie Kleina?... „Mówiono, że chłopka mściła się“... Za co?!... na kim?!...

Czy nie na ojcu Kleina?!...

W każdym razie odziedziczył krew chorą, zepsutą... Jeden kieliszek wina był dla niego trucizną. Pamiętajcie, co mówił Wołkow: jeden kieliszek wprawiał Kleina w stan dziwnego pobudzenia... Krew uderzała mu do głowy...

Może to był wynik przesyconych alkoholem nerwów — straszliwy spadek po sutych libacjach przodków? Z ręką na sercu wyznajmy, panowie, że za dawnych „dobrych czasów“, w bardzo przyzwoitych obywatelskich domach, odbywały się niekiedy orgie, podczas których strugami lało się wino... Więc bodaj przodkowie Kleina pili za wiele! — on przyszedł na świat ze słabą głową — reagował na kilka kropli alkoholu, jak na truciznę...

Czy w jego naturze tkwiły jakieś inne anomalie?... Nie wiemy.. Zdaje się jednak, że w jego naturze płciowej były pewne zboczenia, idiosynkrezje... przynajmniej pewne charakterystyczne popędy ..

„Ciągnęło go do nierozpuszczonych pączków kobiecych“ — to, zdaje się, trafnie określił prokurator..

Zagadkowa historia z piętnastoletnią Natalią Dmeczówną... miłość dla piętnastoletniej Mileny — miłość niewątpliwie czysta, ale niepowsięgliwa, nie umiejąca czekać — chciwe spojrzenia, rzucone na młodziutką Warję... Wszystkie zeznania świadków zgadzają się pod tym względem: nęciła go młodość — delikatna — nierozpowita jeszcze...



Nie mówię: demon, bies żądy — jak mówił oskarżyciel.. To wyrażenie wydaje mi się zbyt mocnem.. Ale — coś niebezpiecznego tlało na dnie duszy Kleina... w tajemniczej kuźni zmysłów...

Lecz na ogół — z wyjątkiem tego jednego wypadku, o którym napomykają akta w sprawie Natalii Dmecowej — (tajemnica adwokata p. Zielonego wydaje mi się dość przejrzystą) — otóż na ogół Klein trzymał zmysły swoje na wodzy... Prowadził życie skromne i umiarkowane — panował nad sobą — gorzkie doświadczenie z służącą Natalią, które zagroziło jego małżeńskiemu szczęściu, stało się dlań przestroga... Postępowaniem swoim w znacznej mierze usprawiedliwiał... charakterystykę obrońcy — jakkolwiek, zdaje mi się, nieco przeidealizowaną...

Bo — mówię — w tajemniczej kuźni zmysłów, w naturze Kleina, tlało coś niebezpiecznego...

Jak się stać mogło, żeby iskra z tej kuźni padła na niewinne ciałko dziecka?... — Czyż podsądny do owego czasu nie kochał dzieci uczuciem ojcowskiem?... Czy myśli jego nie były czyste, kiedy darzył dzieci słodyczami i uśmiechał się do nich życzliwie?

Jak rozgorzał w nim naraz płomień zbrodniczej chuci?... Jak się zdarzyło, że wystąpiła na jaw owa tępość, o której mówił obrońca na początku swej mowy — tępość, która nie rozróżnia wieku, w której zatracą się sąd o naturalnych granicach zadowolenia zmysłów?...

Przypomnijcie, panowie przysięgli, pewne zdanie, które padło w tej sali w czasie śledztwa...



Wydało się nam ono zabawne... A może w niem tkwi zatruty nerw całej tej zagadkowej sprawy...

To zdanie, które może posiada w danym wypadku wagę fatalną, wypowiedziała stara dewotka i lichwiarka, Korowina: *Mężczyznom opowiadać o takich rzeczach—to rozpalać ich chucie!*...

„Mężczyznom“—jak jakim... Ale Klein był naturą chorą, niezrównoważoną, skłoną do zbroczeń...

Czy to uczucie, którego doznał, słuchając wyznań Pietrowa, nie było bardziej skomplikowane, niż nam się wydało uprzednio? Czy nie poruszyły się jakieś tajne sprężyny w duszy Kleina?... Czy nie zadrgały podrażnione zmysły?... Acz zaprawione męką pokuty, gryzącemi wyrzutami sumienia—może wyznanie to mieściło w sobie przeczucia jakiejś ostrej rozkoszy, zrozumiałej tylko dla natur zwyrodniałych?... Może jak kropla zarazy padło na mózg Kleina?!...

...I bodaj to ziarno zarazy zbrodniczej nie wydało plonu natychmiast.. Chłodząc rozpaloną głowę nad ranem—jeszcze może Klein nie zdawał sobie sprawy z tego, że żyje w nim coś nowego—że zapadły w jego mózg obrazy, które w warunkach pomyślnych, rozwiną się z mocą fatalną... że w zanadrzach jego duszy czyhają teraz pragnienia potworne...

...I może ziarno trądu nie wydałoby owocu—może zanikłoby na zawsze—może zagłuszyłby je wstręt moralny do czynu Pietrowa, niewątpliwe zgorszenie i zgroza... gdyby nie wino!...

Wołkow omylił się!... Kleinowi nie należało dawać nawet szampańskiego wina... Klein z re-



stauracyi wyjechał „podchmielony“... Powracał do domu w stanie niezwykłego podniecenia... Trucizna alkoholu rozwijała drugą truciznę... Wzrok Kleina padł na Maszę — samotną... I w myśli Kleina — przez asocjację — obudziło się wspomnienie przestępnej rozkoszy Pietrowa na strychu... I straszne natchnienie doradziło mu — skopiować obraz zbrodniczej uciechy — nasycić zmysły tak, jak uczynił tamten, który ušedł od kary...

Są to wszystko przypuszczenia, panowie przysięgli... Kto kiedy zajrzał na dno duszy przestępnej?... kto zrozumiał wszystkie jej tajne sprężyny — wszystkie szczegóły puszczonego w zbrodniczy ruch mechanizmu?...

Czy Klein tak czuł? — czy tak myślał? — czy pod wpływem tych myśli pociągnął dziecko na strych? — czy to on zastał drzwi strychu otwarte? — czy to on dopuścił się zbrodni? — *nie wiem*...

Ta scena pokryta jest zasłoną tajemnicy... Nie śmiem zuchwale twierdzić, że udało mi się ją przejrzeć...

Za tą zasłoną kryje się twarz gwałciciela... Czy to twarz Kleina?...

Znowu nie wiem... wiem tylko, że jest ogromna różnica w obu zbrodniach... *Maszy przestępca nie zdjął podwiązek!*... które tak lubił Pietrow, gwałciciel Daryi!

Więc przypuście na chwilę, że na ten raz Klein był winowajcą... Spróbujcie śledzić jego dalsze kroki...

W momencie zbrodni nikt go nie widział... Czy widziano go w chwili ucieczki?... Czy to, co



wiemy od świadków, znajdzie się w zgodzie z przypuszczeniem o winie Kleina? *To* winniśmy zbadać...

\*  
\*  
\*

Czy to zatem Klein schodzi ze strychu drżącymi krokami przestępcy?...

Jest godzina mniej więcej trzy kwadranse na siódmą.. Klein zajdzie do mieszkania, po zarzutkę dla żony... To pamięta jeszcze—po to wracał przecież do domu. W mieszkaniu znajduje się już francuzka.. zawołała nań... on nie słyszy... Jeszcze cały znajduje się pod wrażeniem niespodziewanej swojej zbrodni.. Oszołomiony jest nią.. Twarz kryje w szafie z odzieżą żony... Szuka zarzutki—automatycznie... znalazł — zawinął w gazetę... Wyszedł, nie zajrzawszy do Pietrowa... francuzka rzekła prawdę. Zajęty jest teraz jedną myślą— o ucieczce...

Jeżeli tak działo się wszystko, to ma też słuszność francuzka, że widziała go o późnej godzinie... po powrocie z lekcji, która skończyła się o w pół do siódmej, i przed drugą, która przypadała na godzinę siódmą wieczorem...

Wymknął się z domu... Teraz starać się musi aby go nie poznano... Podniósł kołnierz — nasunął kapelusz...

Obecnie w bramie zajął stanowisko swoje Kodlubajew... Klein przesunął się koło niego, nie widząc go...

Kodlubajew zauważył Kleina... Zauważył, że w rękach miał zawiniątko — tak, miał je: francuzka widziała, że coś zawijał w gazetę — musiała to być zarzutka dla żony... Zauważył, że Klein nie ma laski — *teraz* laska została na strychu pod nóżkami szamocącego się w śnie epileptycznym dziecka...



Zauważył, że Klein wstąpił do sklepu tytoniowego Merzliakowa.. Jakże to wszystko dziwnie zgadza się z tem, co mówił nam tatarzyn Tuhaj: Klein rzadka palił papierosy -- ale czuł do nich pociąg w godzinach smutku... Taka ciężka godzina nadeszła dla niego... Spiesz się odurzyć się tytuniem...

Znów winienem się zastrzedz.—Nie powiadam, panowie przysięgli, że Klein był w domu pomiędzy szóstą a siódmą, że popełnił zbrodnię, że uciekał... Ale jeżeli tak było... to z tem przypuszczeniem harmonizuje zupełnie zeznanie Kodłubajewa— obraz ucieczki Kleina—i godzina, w której, według świadka, nastąpiło spotkanie.

„Godzina późna“... niezadługo przedtem, kiedy znaleziono Maszę na strychu—kiedy wieść o zbrodni rozeszła się po podwórzu... I Kodłubajewowi przyszło na myśl, że widział uciekającego przestępcę, zgiętego pod ciężarem zbrodni...

\* \* \*

Widzimy tedy, jak dziwnie zgadzają się zeznania Margarety Joiffrin i Kodłubajewa z przypuszczeniem naszym, że Klein spóźnił się na pociąg i powrócił do domu...

Jest przecie — sprawiedliwość wyznać to każe — jedno — bo innych niema — *jedyne* zeznanie, które przypuszczeniu temu przeczy...

Zeznanie żony podsądnego!...

Czyżby czyste jej oczy, patrzące prosto w oczy sądu, — skłamały?... Jak mogła kłamać z taką pewnością siebie — z takim spokojem — z taką finezją?.. Odpowiadając przecząco na pytanie moje: „czy Klein przywiózł zarzutkę“—odgadła zatem mądrze, że w odpowiedzi na to pytanie leżeć może cały cięż-



żar sprawy... że jej „tak“ zdradzi męża... że równać się będzie przyznaniu, iż mąż przyjechał dopiero późnym wieczorem na wieś po wpół do 10-ej — a przeto wracał jeszcze po zarzutkę do mieszkania na Grochowej. Więc gotową była dzielić łożę małżeńskie w dalszym ciągu — z człowiekiem, który gwałcił dzieci?... Chciała go wyrwać z rąk sprawiedliwości — dla siebie?!...

Potworność, którą odepchnął oskarżyciel...

I ja z nim razem tę tak potworną myśl odpycham..

Nie! Milena Klein nie chce podzielać łoża małżeńskiego z przestępcą... Milena Klein gardzi swoim mężem... Zdradziła swoją pogardę dla niego — nie spojrzawszy na podsądnego ani razu... Jej oczy, które nie zabłądziły ani razu w stronę męża, mówiły, że pomiędzy małżonkami wszystko skończone na zawsze!...

Ale Milena Klein zapragnęła ocalić swego męża... *To* była mu winna w imię dawnej swojej miłości — *to*, zdawało się jej, winną jest honorowi nazwiska, które nosiła — *tem* zechciała wynagrodzić męża za to, co dla niej uczynił... A uczynił dla niej wiele — dźwignął ją z nędzy — oddał hołd ostatni jej matce — skazaną na głód i chłód sierotę przytulił — dał jej kilka lat szczęścia..

Serce kobiety tego nie zapomina...

Szła — to źle... Zapewnie!... Ale skłamała pod musem szlachetnej wdzięczności.

Kłamała, poświęcając białość swojej duszy — kłamała, znalazłszy siłę do patrzenia prosto w oczy sądowi — zdobywszy moc ogarnięcia myślą wszyst-



kich potrzasków śledczych, zastawianych na niedoświadczonych kłamców w sądzie...

Bo to kobieta mocna... Zacięła się ongi w gniewie i oburzeniu na męża — nie mówiła doń prawie przez miesiąc...

Lecz wówczas — nie rozszedłszy się z nim — widać z góry wiedziała, że ten pierwszy grzech mu wybaczy... I myślała, jak go ocalić... Wydaje mi się, że prawdę rzekł adwokat Zielonyj, podkreślając mocno, że Kleina nie znał... Ale znał panią Klein... Panowie przysięgli — nie przypuszczam, aby pani Kleinowa chodziła do Zielonego celem wniesienia skargi rozwodowej... Ale może to ona była pośredniczką w sprawie ze swoją służącą... może to dzięki jej wstawiennictwu sprawa zakończyła się dla Kleina pomyślnie... bodaj ona zaniósła pieniądze...

Bo to kobieta mocna... która umie oburzać się — ale umie też przebaczać — a kiedy przebaczyć nie może, pragnie przynajmniej ocalić... Bo to kobieta bohaterska... bo w jej żyłach płynie krew ludzi bezwątpienia mocnych — ojca, który za *swoje* przekonania poszedł na katorgę! — matki, która porzuciła wszystko, aby iść na drogi tulacze za wygnańcem!.. Tak!

A więc — panowie przysięgli — ja nie dziwiłbym się, gdyby ta kobieta... potrafiła nas okłamać... Czy kłamała? — osądźcie sami...

Od waszej odpowiedzi na to pytanie — zależy wyrok...

Jeżeli Klein przybył do żony o godz. 6 min. 40 — to jest niewinny... Zbrodni dokonał ktoś inny...

Jeżeli Jadwiga Milena Klein ukrywa prawdę — wiedząc dobrze o tem, że mąż przybył na daczę



wieczorem,—po 9-ej to... panowie przysięgli, francuzka i stróż widzieli Kleina w godzinie późnej, około 7-ej, w domu przy ulicy Grochowej № 78...

Co robił tam?...

Zabrał zarzutkę—nic więcej?... Dlaczego sprawiał takie wrażenie, jakgdyby uciekał?... Dlaczego po jego odejściu znaleziono ofiarę z jego cukierkami i laską na strychu?

.....  
Czy i wtedy wyda się wam winnym raczej jakiś tajemniczy złodziej?...

Albo Pietrow?...

Jego samobójstwo dowodzi jego winy—powiada wam obrońca...

Może ma słuszność,... Ale jaką była ta wina?... Może to było współnictwo myśli.. zaraza zbrodni!...

Czy Pietrow, obudziwszy się i dowiedziawszy o przestępstwie na strychu — nie doznał przerażenia na myśl, że jego pan powtórzył jego zbrodnię?! Pietrow poczuł się duchowym ojcem nowego gwałtu — i zgrozą przejęty skoczył w pętlicę stryczka, w ostatniej chwili składając jego formą hołd swoim chorym upodobaniom.

\* \* \*

Rozważcie to wszystko...

I jeżeli przyjdziecie do wniosku, że Klein jest winien — podpiszcie wyrok skazujący pewną ręką!

Waszą rzeczą jest zbadać, czy są w danej sprawie okoliczności łagodzące... Możecie je przyznać..

Ale... jeżeli Klein, waszem zdaniem, jest winien — nie uwolnijcie go od kary dlatego, że w je-



go stanie chorobliwym znajdziecie okoliczności łagodzące winę..

Bo... jeżeli Klein jest winien — to bodaj oczekuje on z waszej ręki skazującego wyroku...

Tak jest!...

...Z zachowania się podsądnego, wnoszę, że on bynajmniej nie broni się energicznie przeciw karze...

Zachowuje się raczej biernie.. cały ciężar obrony przerzucił na ramiona swego adwokata...

Jeżeli nie chce się przyznać — to bodaj dla tego, że pali go wstyd... że niema odwagi wobec siebie, wobec ludzi, publicznie rzec okropne wyrazy:

„Zgwałciłem dziecko!“

Chciałby, aby zawsze-c pozostał jakiś cień wątpliwości..

Ale wie chyba, że niema do czego i do kogo wracać... Przeczytał wyrok w twarzy swojej żony — widział, że oczy jej nie zaświecą mu już nigdy... Wie, że dla niego wszystko skończone... Gotów jest przyjąć wszelką karę...

Dlatego to — zda mi się — w ostatniej chwili zaprotestował przeciw sprawdzeniu, czy Pietrow mieszkał w czasie zgwałcenia Daryi Pawłowej na kanale Katarzyny w jego mieszkaniu. Jakby przełękł się, że — jeżeli jego twierdzenie okaże się prawdą — szala sądna zbyt mocno przechylił się na jego stronę — że gwałciciel Daryi wyda się także gwałcicielem Maszy...

Nie śmie on powiedzieć prawdy, ale nie chce też tryumfu fałszu...



Powiadam: — nie jestem tego pewny — tak mi się wydaje...

Bo tak słabo bronią się w sądzie tylko ci, co są niewinni, albo ci, którzy wyczekują kary, ponieważ dręczy ich sumienie, ponieważ w życiu nie pozostaje im już nic więcej...

Pamięć o zbrodni pecha ich na nową drogę — pełną cierniów pokuty ..

Czy Klein jest z tych, co wyczekują kary, jako łaski — nie śmiać w głos przyznać się do winy, — czy też jest niewinny? — to rozstrzygnąć jest waszą rzeczą, sędziowie. Zechciej pan przyjąć, panie starszy przysięgłych, arkusz, na którym postawione zostało pytanie:

*Czy Klein jest winien?*

Nie wątpię, że odpowiecie panowie na to pytanie z całą sumiennością, po gruntownem rozważeniu wszystkiego, co mówi na korzyść podsądnego... ażeby winny nie uniknął kary... ażeby niewinnemu nie stała się krzywda... ażeby tej sprawiedliwości, której funkcjonarjuszami jesteśmy wszyscy, stało się zadość!...

---

### ZAKOŃCZENIE.

Sędziowie przysięgli wolnym krokiem przeszli do sali obrad.

Na ławie podsądnych pozostał siedzący Klein z twarzą ukrytą w dłoniach... Po palcach jego spływają łzy...

. . . . .



Ułynęła godzina... dwie... trzy... Wreszcie  
zapalono lampy..

Ciężkie milczenie panuje w sali sądowej...

.....

Wtem ostro dźwięknął dzwonek elektryczny...

Publiczność z kurytarza rzuciła się do sali...

Dzwonek oznacza, że — wyrok gotowy...

Sędziowie koronni, prokurator, obrońca zajęli  
swoje miejsca. Podsądny powstał błady...

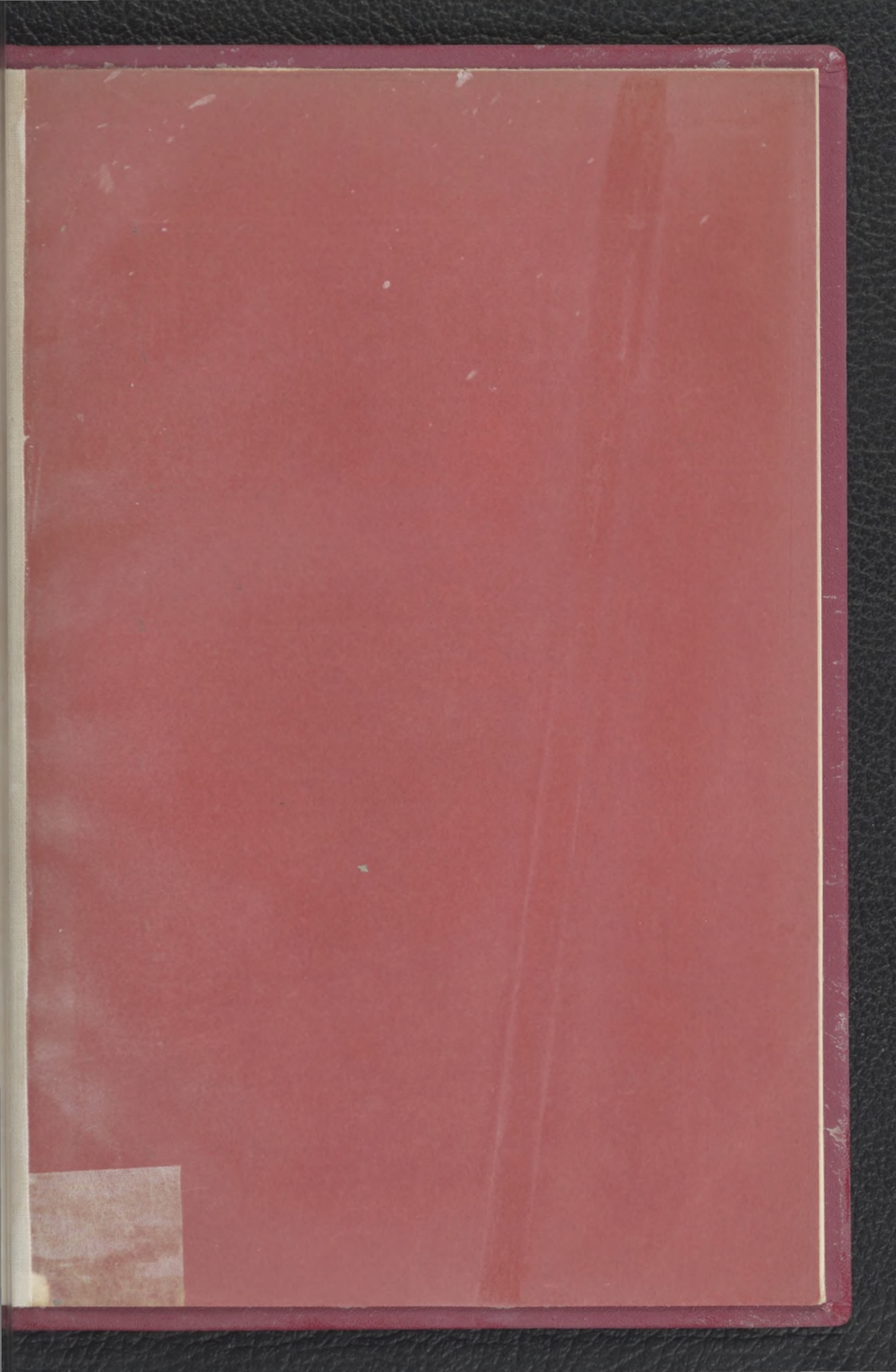
Sędziowie przysięgli powoli, kolejno, wycho-  
dzą ze swego pokoju.

Starszy trzyma w ręku wyrok...



Pisałem w Birkenwerder  
w Maju i Czerwcu r. 1909.







---

---

# Wolne Słowo

TYGODNIK

SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI

---

---

i NAUKOWY

---

---

POD REDAKCJĄ

LEO BELMONTA.

---

---

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Marszałkowska 77 m. 17.

==== Telefon № 118-98. ====

---

---

**Przedpłata z dodatkiem wynosi:**

w Warszawie z odnośzeniem,

na Prowincji i Cesarstwie z przesyłką:

kwartalnie . . . . .	Rb. 1.75 k.
półrocznie . . . . .	„ 3.40 „
rocznie . . . . .	„ 6.60 „

Zagraniczni abonenci dopłacają za przesyłkę kwartalnie  
kop. 15, rocznie kop. 40.

Numer pojedynczy kop. 15. — podwójny kop. 25.

Rocznik „Wolnego Słowa“ (52 numery) w Administracji  
po cenie niższej z przesyłką rb. 5.

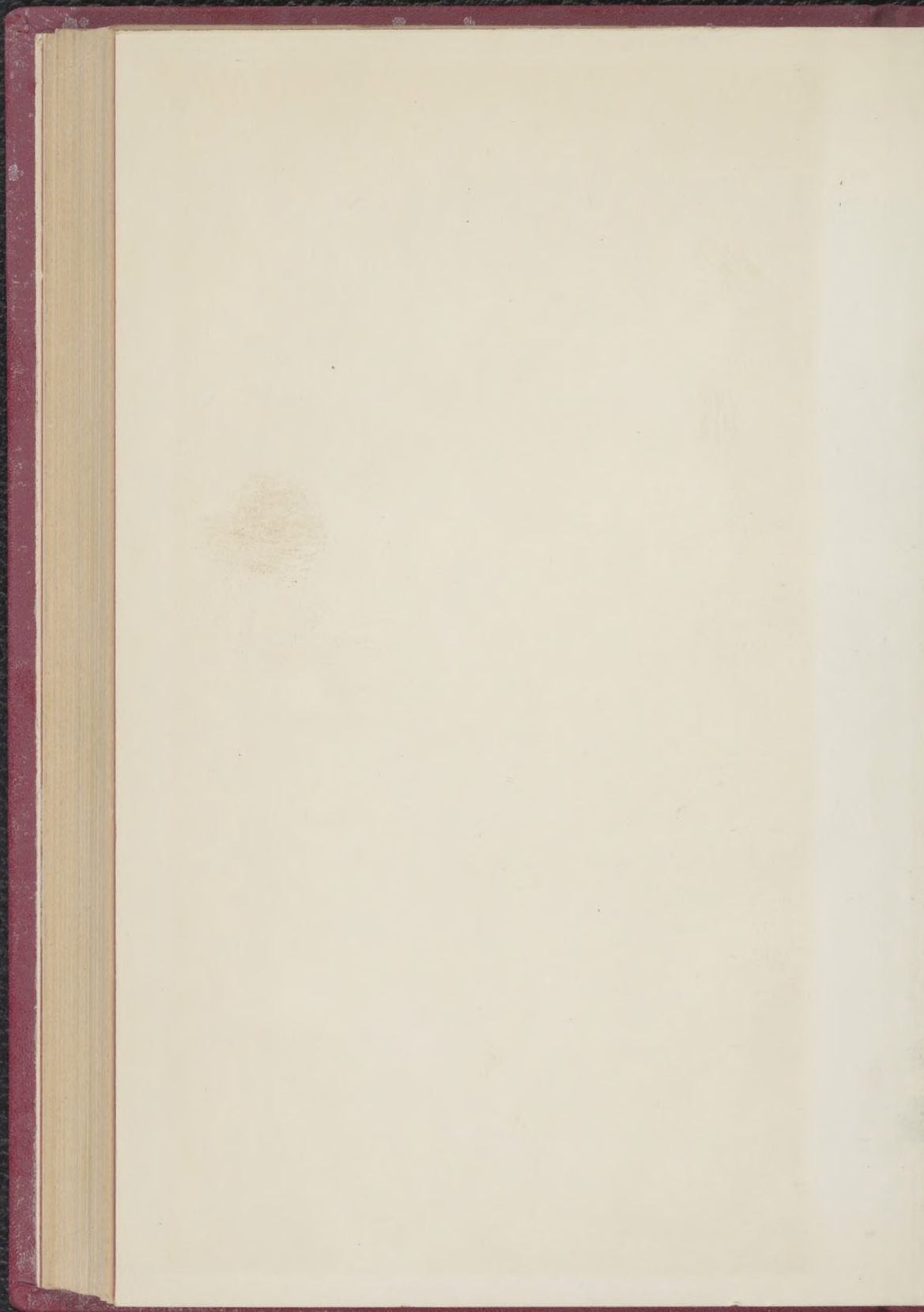
---

---

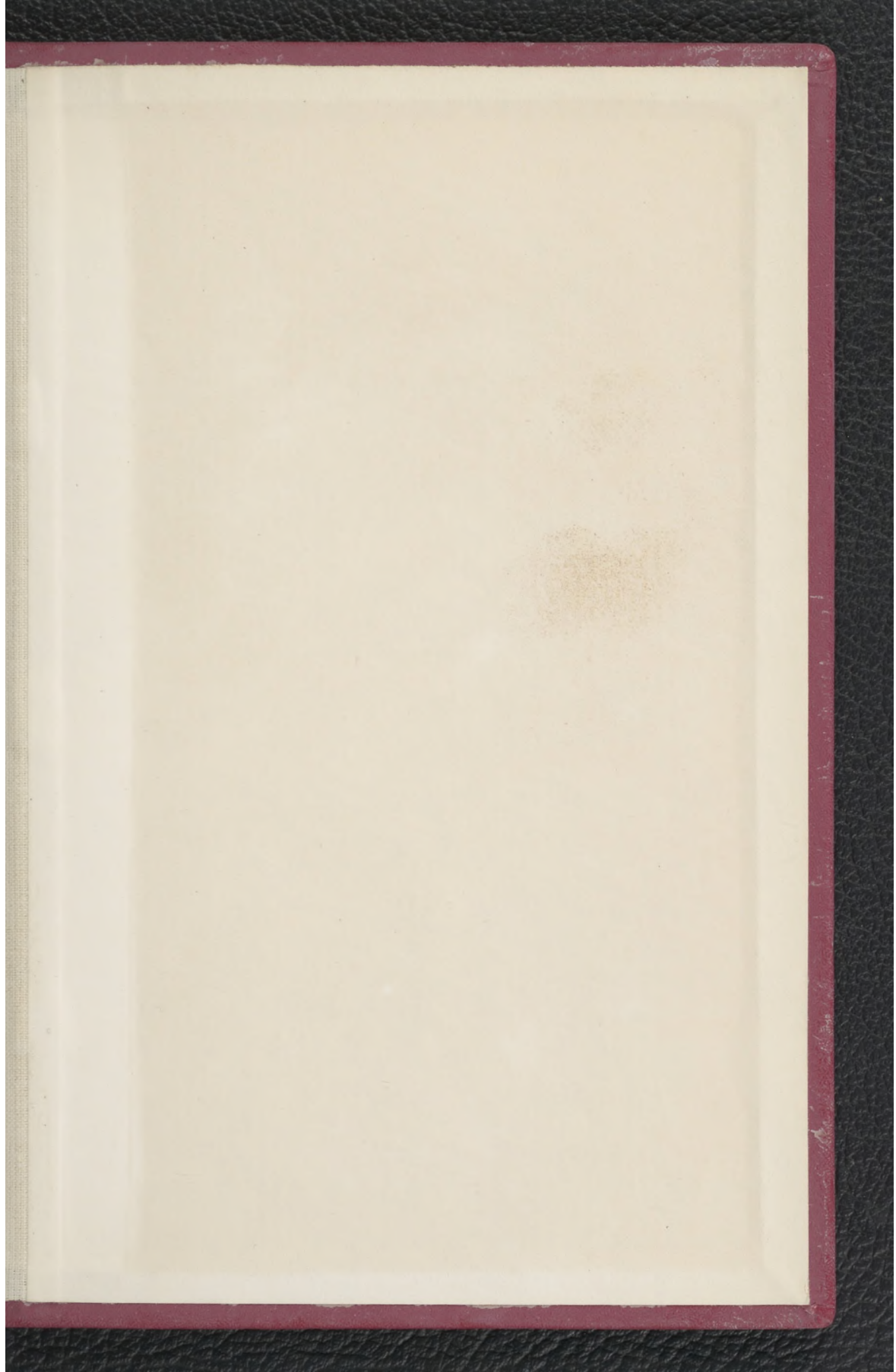
















2000651

---

---

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017207247